



**Stefanie Zweig**

**P O W R Ó T**

**NA ALEJĘ**

**ROTHSCHILDÓW**

**Stefanie Zweig**

**P O W R Ó T**  
**NA ALEJĘ**  
**ROTHSCHILDÓW**

Przełożyła Katarzyna Sosnowska

WYDAWNICTWO MARGINESY

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

1 – Nie oglądaj się!

2 – Niebezpieczeństwo i wybawienie

3 – Powrót, lecz nie do domu

4 – Czyste sumienie i słonina

5 – Cuda się jednak zdarzają

6 – Spotkanie przy drzwiach

7 – Grom z jasnego nieba

8 – Imponderabilia

9 – Gościnne występy doktora Friedricha Feuereisena

10 – Pożegnanie i nowy początek

11 – To nie może być prawda

Przypisy

Tytuł oryginału: HEIMKEHR IN DIE ROTHSCHILDALLEE

Przekład: KATARZYNA SOSNOWSKA

Redaktor prowadzący: ADAM PLUSZKA

Redakcja: ANNA MIRKOWSKA

Korekta: AGNIESZKA RADTKE, JAN JAROSZUK

Projekt okładki, opracowanie graficzne i typograficzne, łamanie: TO/STUDIO

Zdjęcie na okładce: © Margie Hurwich / Arcangel Images

*Heimkehr in die Rothschildallee* Copyright © 2010 by LangenMüller at F.A.

Herbig Verlagsbuchhandlung GmbH, München

All rights reserved.

[www.herbig.net](http://www.herbig.net)

Copyright © for the translation by Katarzyna Sosnowska

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,

Warszawa 2016

© Library of Congress, Romerberg and Nicholas Church, Frankfurt on Main (i.e. Frankfurt am Main), Germany

[www.loc.gov/item/2002713664/](http://www.loc.gov/item/2002713664/)

Warszawa 2016

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-65282-37-8

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a

01-540 Warszawa

tel. (+48) 22 839 91 27

e-mail: [redakcja@marginesy.com.pl](mailto:redakcja@marginesy.com.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Pamięci mojego ukochanego ojca,  
który od dzieciństwa uczył mnie  
dostrzegać obie strony medalu.

Rodzina była podporą i iskierką nadziei,  
której potrzebowali ci, co wypadli  
poza bieg życia, by się nie poddać.  
Tylko najbliżsi wiedzieli, kim byliśmy  
wcześniej. Stanowili most między  
przeszłością a teraźniejszością.

=

1

## NIE OGLĄDAJ SIĘ!

19 października 1941

Poranna mgła spowijała domy we frankfurckiej dzielnicy Ostend. Odciskała się jesienne na zwiędłych kwiatach w przydomowych ogródkach oraz na gęstych żywopłotach chroniących domy przed obcymi spojrzeniami. W oparach poranka nie było jeszcze widać przysadzistych dębów ani potężnych kasztanowców, które rosły przy ulicy, nadając jej spokojny, leniwie wiejski charakter. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, z duszącej szarej mgły wyłoniła się sylwetka Wielkiej Hali Targowej. Chwilami widok tego imponującego budynku wydawał się uspokajać przerażonych i wyczerpanych ludzi, pędzonych niczym bydło do rzeźni. Padło kilka westchnień ulgi, jakieś „ach”, dwoje dzieci, które nie wiedziały o niczym, klasnęło w dłonie. Łaska pozostawania poza rzeczywistością trwała jednak nie dłużej niż jedno uderzenie serca.

– Dalej, przekłete żydki! – ryknął potworny głos.

Wielka Hala Targowa, duma frankfurczyków, została zbudowana w latach 1926–1929. W tamtym czasie jej architekturę uważano za unikatową i prekursorską. Budynek znany był w całych Niemczech, stał się symbolem nowych czasów, czasów wolności, ale jesienią 1941 roku nawet najodważniejsi nie śmieli już przywoływać publicznie tamtych chwil nadziei i przełomu.

Dla tych spośród żydowskich mieszkańców miasta, którym nie udało się go w porę opuścić i poszukać ratunku za granicą, podziwiana niegdyś hala stała się stacją końcową dla wszelkiej nadziei. Mimo że nikt oficjalnie nie miał prawa wiedzieć o tak zwanych *Judenaktionen*<sup>[1]</sup> i deportacjach Żydów, dla wszystkich było jasne, co czekało tych nieszczęśników. Wsadzano ich do piwnic, by kolejny raz sprawdzić, czy nie mają jakichś kosztowności, ciągle od nowa poniżano i szykanowano, odmawiano im jedzenia i wody, bestialsko torturowano i na koniec wysyłano w wagonach bydłowych na wschód. Nikt nie wiedział dokąd. Codziennie pojawiały się nowe pogłoski,

wzajemnie sprzeczne, w które ludzie i tak nie wierzyli, ponieważ jeszcze nie nadszedł czas panowania spraw niewiarygodnych. Mimo to każdy czuł, że z Wielkiej Hali Targowej nie ma powrotu. Frankfurt, ukochane miasto rodzinne, zerwało ostatnie związki ze swoimi Żydami, ostatecznie wyrzuciło ich ze swojej wspólnoty, uznało za wyjętych spod prawa.

Wielka Hala Targowa, ze swą szeroką fasadą i licznymi oknami, przez jedną niezwykłą chwilę dawała zrozpaczonym odwagę potrzebną, by się do końca nie załamać i nie położyć na ulicy, i tam po prostu umrzeć. Widok znajomego budynku niósł otuchę, na którą ci nieszczęśnicy jeszcze sobie pozwalali. Każdemu, kto mimo wszystkich cierpień, jakie go spotkały, nie dopuszczał do siebie obrazów tego, co czeka ich na koniec życia, ta fałszywa otucha podsuwała historie z czasów, w których nie poniżano ich ani nie prześladowano. Były to historie pełne żywych obrazów, kojące dusze i łagodzące strach.

Zmieniło się tempo marszu tej kolumny udręczonych ludzi. Kroki silnych wydłużyły się, nawet słabi stawiali je mocniej i z zaangażowaniem. Dzieci uczeplone rąk matek podniosły głowy i pokazały twarze. Na końcu drogi odważyły się zadać pytania, na które nie było już odpowiedzi. Jakaś kobieta, chociaż siwa i niedołączna, nagle ruszyła ze swoją wielką walizką do przodu, już nie kaszłała i nie zatrzymywała się. Widać było, że jej waliza ważyła więcej niż dozwolone pięćdziesiąt kilogramów, ale siwa kobieta trzymała ten owinięty cienkim sznurkiem bagaż, jakby to była lekka torba podróżna. Machała nim, jak przedwojenne panie z towarzystwa machały podczas swych beztrudnych podróży leciutkimi pudłami na kapelusze. Nagle wybuchła śmiechem. Histeryczny rechot wydobywał się z jej szeroko otwartych ust. Kobieta zaczęła biec, wpadła na starszego mężczyznę z plecakiem, minęła dwie matki z trójką małych dzieci, wyprzedziła utykającą staruszkę w znoszonych butach ortopedycznych, pchającą stary wózek dziecięcy z dobytkiem. Przez chwilę biegła obok czterech brodatych mężczyzn, którzy nie otwierając ust, kierowali swe modlitwy do tego, w którego nadal wierzyli. Wreszcie oszołomiona biegaczka dotarła na sam przód kolumny. Zatrzymała się i obejrzała w stronę zrozpaczonych ludzi. Machnęła lewą ręką, na której dyndała wielka biała letnia torba, sprawiała wrażenie, jakby chciała zachęcić towarzyszy niedoli, by poszli jej śladem. W tym momencie rozległ się ostry głos człowieka w mundurze:

– Dalej, śmierdziuchy. Albo zaraz wam dam popalić, wy icki.

To był głos diabła – nawet dzieci o tym wiedziały. Budził panikę i wywoływał

śmiertelne przerażenie u tych niegdyś mile widzianych, pewnych siebie obywateli, którzy nie mogli pojąć, że teraz otwarte były dla nich tylko bramy piekła. Do transportu wyklętych frankfurtczyków dołączono także Żydów z okolic. Sądzieli oni, że w wielkim mieście, królestwie anonimowości, łatwiej unikną prześladowania niż w rodzinnych wioskach, gdzie wszyscy ich znają. Po paleniu synagog 9 listopada 1938 roku<sup>[2]</sup> Żydzi z okolicznych wsi i miasteczek ściągnęli do Frankfurtu. Ale i ci nieszczęśnicy, których los zależał teraz od zabezpieczających transport władczych członków SA<sup>[3]</sup>, zostali o świcie wyrwani ze swego ostatniego schronienia. Były nim mieszkania, w których od początku wojny przymusowo kwaterowano Żydów. Z miesiąca na miesiąc żyło się tam coraz gorzej, a nadzieja na poprawę umierała codziennie tysiącem rodzajów śmierci. W tych nędznych pomieszczeniach, określanych oficjalnie mianem „domów żydowskich”, 19 października 1941 roku policja i gestapo odebrały Żydom ostatnie pieniądze oraz wszystkie inne cenne rzeczy, jakie jeszcze im pozostały, a także ubrania, sztucce i naczynia, nawet garnki i pościel – a na końcu klucze. Wygnańcy utracili resztki swojego i tak niepewnego bezpieczeństwa. Nie mieli adresu ani tożsamości.

Już od dawna żydowskie dowody osobiste stemplowano w Niemczech literą „J” – jak *Jude*. 19 września 1941 roku weszło w życie rozporządzenie będące preludium do ostatniego aktu tej tragedii. Od sześciu lat Żydzi musieli nosić na ubraniu żółte gwiazdy i byli określanii jako „podludzie”. Materiał z napisem *Jude* musiał być tak przyszyty, by jego nosiciel mógł zostać natychmiast i przez każdego rozpoznany jako Żyd. Z sześcioramiennej gwiazdy Dawida, będącej od wieków symbolem judaizmu, uczyniono w Niemczech piętno. Oznaczała poniżenie, wykluczenie, prześladowanie i śmierć. Sprzed pozbawionej drzwi budki telefonicznej mundurowy rzucił rozkaz: „Marsz!”. Jego głos brzmiał jak zapowiedź piekła. Zniewoleni ludzie wstrzymali oddech i wbili wzrok w ziemię. Czuli, jak umierają ich ciała, a głowy stają się lekkie, ale nikt z udręczonych nie próbował bronić się przed śmiercią. Gdy komuś pozostała jedynie walizka w dłoni, nie patrzy on w niebo i nie oczekuje od Boga ni posłuchania, ni pomocy.

Tylko głos szatana, stukot jego butów, przekleństwa, obsceniczne wyzwiska i groźby, nie do końca zrozumiałe dla tych, którzy byli ich celem, upewniały udręczonych, że śmierć ich jeszcze nie wybawiła. Iskra życia, już tylko tłąca się w popiele, zaczęła gasnąć. Nikt nie wyciągnął pomocnej dłoni, nikt nie powstrzymał diabła, nikt nie wstydił się, że jest człowiekiem. Szatan pocierał czoło, bo bolała go głowa, i myślał o swojej matce. W niedzielę obiecała mu przyrządzić gulasz i knedle.

Zakwiliło jakieś niemowlę. Jego skarga była zbyt cicha, by zwrócić na siebie uwagę



na ziemi, i zbyt słaba, by dotrzeć do niebiańskich obrońców dzieci. Starszy mężczyzna, który tulił dziecko do siebie, przerażony wcisnął je pod swój czarny, gruby płaszcz i zdawało się, że chciał coś powiedzieć. Kobieta idąca po jego prawej stronie wyciągnęła rękę do płaczącego wnuka, lecz jej mąż, którego oczy były już martwe, a serce obrócone w kamień, zdecydowanie odepchnął towarzyszkę życia. Nie słuchał jej, chociaż słyszał, jak krzyczała, i zamknął oczy na jej los, gdyż żywił jeszcze nadzieję, że on sam i dziecko umkną przeznaczeniu.

Kobieta zaczęła lamentować. Na koniec słychać było tylko ciche jęki. Jeszcze pochodziły ze świata, w którym ludzie mogli wykrzyczeć swoje cierpienia. I wtedy, gdy kobieta już prawie umilkła, jej głos znowu stał się ostry i głośny. Jej pełna strapienia, blada twarz zniknęła jak kartka zanurzona w wodzie. Czoło, oczy i nos nie miały ani kształtu, ani koloru, ale usta, wydając z siebie wrzask, otwarły się szeroko – były jak dziura w spienionym morzu, jak smoliste, upiorne piekło.

Staruszka błagała w języku swojego dzieciństwa o litość. Obiema rękami obejmowała cienką szyję, była zdyszana, prawie straciła oddech. Szara chustka na jej głowie się rozwiązała. Przez chwilę materiał opadający na bruk wyglądał jak flaga, podobny do szybującego w przestworzach papierowego smoka, który lekko wraca na ziemię. Chustka spadła w kałużę. Staruszka postawiła walizę i mimo bólu pleców schyliła się, by podnieść cenny kawałek ciepła. Już sięgała ręką mokrego bruku, gdy nagle się pośliznęła. Przez ułamek sekundy chwiała się, jakby jej ciało nie mogło się zdecydować, gdzie upaść. Potem runęła na ziemię niczym ścięte drzewo i nie mogła już wstać.

– Dobrze ci tak! – wrzasnął człowiek w mundurze SA. Jego szeroka twarz była czerwona. Gdy wytrząsał z siebie złość i przenikającą go do szpiku kości nienawiść, długa blizna nad jego prawym okiem robiła się fioletowa. Podkutym butem nadepnął na leżącą na ziemi rękę. Zrobił szeroki zamach i dwukrotnie kopnął kobietę w plecy. Zawyla jak bity łańcuchem pies i nie mogła się odwrócić. Jej mąż, który nadal trzymał dziecko pod płaszczem, spróbował pomóc jej wstać. Przesunął się nieco w jej kierunku, wyciągnął lewą dłoń, ale potwór w mundurze go odepchnął.

– Jeszcze raz coś takiego zrobisz, pierdolona zdiro! – zaskrzeczał. – Nie ze mną takie numery.

Wyciągnął spod kurtki pejcz i trzasnął nim nad staruszką. Wystarczył jeden raz. Kobieta, która ostatkiem siły próbowała się podnieść, ostatecznie upadła. Leżała na ulicy bez ruchu, jej twarz była przyciśnięta do bruku. Nikt do niej nie podszedł, nikt nie wiedział, czy jeszcze żyje.

– Jazda – rzucił diabeł w skórze młodzieńca. Jego głos był spokojny i stanowczy. Brzmiał zadowoleniem i opanowaniem, w uszach równych mu ludzi był to po prostu głos bliźniego.

Dłużyły mu się godziny płynące od chwili, gdy zaczął poganiać bezbronnych i bezsilnych ludzi w stronę piekła. Poprzedniego wieczoru tłumaczył koledze, którego znał jeszcze z początków ruchu, że „każdy niemiecki mężczyzna musi wiedzieć, jak nauczyć Żydów moresu”. Ten ceniony przez przełożonych członek SA nie doznał jednak oczekiwanego zaspokożenia w dręczeniu i maltretowaniu – ani na początku, ani na końcu tego długiego marszu. Uległy dyspozytor nieludzkiego traktowania musiał włożyć o wiele więcej wysiłku w popędzanie wyczerpanych kobiet, przestraszonych dzieci i potykających się starców, tych wszystkich nędzarzy, których widok tak go raził, niż kiedy zaczynał jako poganiacz ludzkiego bydła prowadzonego na rzeź. Nie tylko w bezsenne noce przychodziło mu na myśl, że bicie Żydów na ulicach było zadaniem, które tak samo dobrze mógłby wykonywać pierwszy lepszy wioskowy głupek, a tym bardziej różne miglance z biur. Zakrawało to na kpinę i bezczelność, że człowiek w mundurze SA zajmował się Żydami, którzy „nie mieli na tyle pomysłu, by się ulotnić na czas”.

– Oni padają – skarżył się po swoim pierwszym transporcie towarzysowi – jak tylko się na nich dmuchnie. Ale nawet kiedy nie można wypełnić swojego obowiązku wobec ojczyzny tak dobrze jak człowiek ze zdrowymi kończynami, ma się moralne prawo do przysłużenia się sprawie.

Ten człowiek już pierwszego dnia wojny zapomniał o zachowaniu dyscypliny, którą był winien Führerowi i ojczyźnie. W euforii na wieść, że Niemcy wreszcie będą mogli objawić odwagę i siłę nieustraszonych na polu walki, wypił najpierw cztery piwa, a potem pół butelki borówkowej nalewki własnej roboty. O dziesiątej wieczorem, gdy wyśpiewując na całe gardło pieśni wojenne, chciał się wysikać z mostu do Menu, zleciał z samej góry żelaznych schodów. Upojony zwycięstwem żołdak złamał obie nogi i rozwalił sobie twarz. Teraz jego prawa noga była krótsza, a przy każdej zmianie pogody bolał go łeb.

– Długo jeszcze? – wrzasnął żądny walki mundurowy. – Wy śmierdziuchy! – Popchnął jakąś dziewczynkę, może czteroletnią, walnął pejcem o ziemię i splunął z niesmakiem. Ślina pieniała mu się na ustach. Poczłł gorzki smak piołunu i zaraz potem nagłą potrzebę ponownego skopania jakiejś kobiety. – Tym razem dorwę jakąś młódkę – wrzasnął przerażająco we mgle.

Nazywał się Georg Maria Griesinger. Gdy rano spoglądał w lustro, nie unikał

widoku własnej twarzy. Codziennie czuł dumę, że po swoim uwłaczającym wypadku mógł w ogóle stanąć na wysokości zadania, i to naprawdę nie gorzej niż szczęśliwcy z dwiema zdrowymi nogami.

– Twój syn nie musi iść na front, aby wypełnić swój żołnierski obowiązek – wyjaśniał matce, gdy miał dobrze wypełniony żołądek i ponownie sięgał po wódkę pędzoną przez wuja z Fischbach. – Walkę o przyszłość Niemiec trudniej jest prowadzić w domu niż na wschodzie. Możesz mi wierzyć.

Matka nie zwykła przeciwstawiać się mężczyznom. Co do zasady przyznawała najmłodszemu synowi rację z pełnym przekonaniem. Tylko w duchu pytała, dlaczego jego bracia nie dostali takiej samej szansy – walki na bezpiecznym posterunku. Herbert, chłopak, któremu nikt nie mógł się postawić, zginął w Polsce. Günther, który miał takie dobre świadectwo szkolne i właśnie został przyjęty do cechu malarzy, poległ we Francji. Co wieczór i oczywiście podczas niedzielnych nabożeństw dziękowała Bogu, że chirurg, który zajmował się złamanymi nogami jej najmłodszego syna, nie sprawdził się tak, jak można było oczekiwać po niemieckim lekarzu w niemieckim szpitalu.

Mimo nierównego kroku i ataków astmy, które już w młodości uczyniły z niego odludka, Georg Griesinger miał siłę i głos, jakich wymagano od człowieka, który zajmował się Żydami.

– To pasożyty i wrogowie ludu – tłumaczył matce. – Wyniucham ich jak pies zające. Żyda wywęszę na kilometr.

– Robiłeś to już jako dziecko – potwierdziła matka. – Zawsze to w tobie podziwiałam.

Przełożeni zgadzali się, że po wypadku, którego dokładne okoliczności nie były szerzej znane, nadal można było liczyć na Georga Marię Griesingera. Jego koledzy również daliby sobie za niego rękę uciąć. Każdy z nich był gotowy przysiąc, że Schorschi, jak go nazywali, nie miał żadnych słabych stron.

– A na pewno nie tak jak niektórzy, co preferują front wewnętrzny i paplają o bohaterstwie jak baron von Münchhausen po piątym kieliszku. Ci to mają nie po kolei w głowie.

A jednak w pewne dni, zwłaszcza gdy zanosilo się na burzę i stare blizny bolały go tak mocno, jakby były świeżymi ranami, Griesinger nie był człowiekiem, po którym można było się spodziewać naprawdę wielkich rzeczy. Nie widział wtedy za dobrze w ciemności, a o zmierzchu wydawało mu się, że drzewa się nad nim uginają. Gęste krzaki wodziły go za nos i często w ciszy słyszał samoloty, które jednak nie pojawiały

się na niebie. W jego koszmarach świat stawał się jeszcze bardziej chaotyczny. Griesinger widział w nich wierzby płaczące i czarne łabędzie z łańcuchami na szyi i często powracał do niego sen, w którym skakał z mostu pozbawionego poręczy prosto w czarną wodę.

Ludzie, których Griesinger miał przepędzić z miasta pod Wielką Halę Targową i przy tym – wbito mu to głowy już przy pierwszym udanym transporcie – wywołać jak najmniej poruszenia wśród ludności, byli dla niego niczym krowy lub owce. Rolnik mógł robić ze swoimi zwierzętami, co tylko chciał. Żył tylko tak długo, jak im na to pozwolił. Tak samo mógł postępować członek SA Griesinger z przekazanymi mu ludźmi. Mógł ich dręczyć, aż się załamia, napawać się ich śmiertelnym przerażeniem, był dla nich słońcem i księżycem, panem i władcą świata. Mężczyzna, którego skopał, nieprzytomna kobieta na ulicy, dziecko patrzące z niedającym się ukryć strachem – wszyscy ci ludzie stanowili dla Griesingera mniejszy problem niż splunięcie. Jego krew nie burzyła się z powodu kilku Żydów, których miał dostarczyć do Wielkiej Hali Targowej. Kiedy jednak wypełnił zadanie, kiedy dopełnił obowiązków, jedzenie wcale nie smakowało mu bardziej niż w tych dniach, kiedy niczego od niego nie wymagano. Kiedy patrzył w niebo, gwiazdy nie były wcale jaśniejsze, zdejmując buty z cholewami, nadal przeklinał schody, z których spadł wtedy na moście. Wieczorami, kiedy leżąc w łóżku, gapił się w sufit, widział pozbawione ciała postacie, martwe już za życia. Długimi ramionami chwytaly takich mężczyzn jak on, obowiązkowych, niezadających pytań, którzy bez obaw mogli patrzeć w otchłań.

19 października 1941 roku był dniem jak wiele innych – pełnym szarych postaci w szarej mgłę. Na kilka sekund paralizujące oszołomienie przejęło jednak kontrolę nad życiem członka SA Griesingera. O wpół do siódmej rano patrzył jak otumaniony na Wielką Halę Targową. Czuł się, jakby po raz pierwszy widział ten ogromny budynek. W ułamku sekundy jego ciało usztywniło poczucie paniki, a kolejka ludzi, których miał doprowadzić do celu, wydała mu się potworem o dwóch głowach.

– Zatrzymać się – zaskrzeczał szatański pomiot, nim zupełnie zaczął tracić zmysły. Nie mógł złapać oddechu, gdyż uroił sobie, że ktoś się na nim zemści i go udusi. – Stać – krzyknął i złapał się za szyję, jakby się dławił, ale usłyszał swój oddech i zauważył, że nadal rozgrzewa mu on ciało. Odsunął wzrok od obrazów, które nie licowały z wizerunkiem niemieckiego bohatera. Griesinger, mężczyzna o jednej nodze krótszej od drugiej, znowu był tym, kim miał być.

Jakaś kobieta leżała na ziemi. Była tylko kupą czarnych łachmanów. Nie wiedział, czy była to ta staruszka, którą podeptał. Zamachnął się nogą. Jego but tym razem nie

trafił, ale wróciła mu męskość i chęć życia. Do starca, który wzywał pomocy niebios, krzyknął:

– Nie ma już twojego Boga. Zapamiętaj to sobie, icku. Poszedł sobie i nie zostawił adresu.

Dopiero gdy wspomniął o Bogu, przypomniał sobie, że jest niedziela. Wyobraził sobie, że w jego świecie żyli również ludzie, którzy w niedzielę wyznawali swoje grzechy i błagali o łaskę. Na samą tę myśl wybuchnął tak głośnym śmiechem, że blizna nad jego uchem pękła i trysnęły iskry. Jakieś dziecko, być może pięcioletnie, spojrzało na niego. Bezbożnik zrobił taki sam groźny ruch, jaki jego ojciec robił zawsze, nim zdjął z haka różgę i ze wszystkich sił zaczął bić nią synów. Biały jak śmierć chłopiec miał na sobie za dużą czapkę z daszkiem. Przy każdym kroku zsuwała mu się na oczy, ale co chwila poprawiała mu ją matka.

Dzwon na pobliskim kościele uderzył siedem razy. Obwieszczał pokój, zaufanie, nadzieję i wiarę. Powietrze było wilgotne i przesiąknięte jesienią. Wiewiórki spały jeszcze na drzewach, gołębie kuliły się na dachach. Latarnie uliczne zostały wygaszone. Przerażeni ludzie pędzeni ku Wielkiej Hali Targowej wiedzieli, że to ich ostatni dzień w rodzinnym mieście. Wiedzieli również, że czekało ich piekło, ale szli naprzód, jakby mieli jakąś przyszłość, ku której warto było zmierzać. Boga, który ich opuścił, prosili tylko o jedną łaskę: by dzieci nie zorientowały się, że idą na śmierć. Te biegiły z opuszczonymi głowami. Nie widziały drzew ani domów, ani krzewów, tylko stopy i buty – błyszczące, jakby wszyscy ci ludzie szli, odświętnie ubrani, do synagogi.

– Dlaczego? – poskarżyła się dziesięcioletnia Fanny. – Dlaczego mam w środku nocy nagle czyścić buty? Nigdy nie musiałam tego robić.

– Bo nie wyrusza się w podróż w brudnych butach – odparła jej babcia Betsy. – Nigdy tak nie było.

Teraz truchtały obie, babka i wnuczka, razem z tymi, którzy już nie myśleli o życiu. Gdy Griesinger i jego kompani dręczyli najsłabszych spośród bezbronnych za to, że nie byli w stanie dotrzymać kroku pozostałym, Betsy Sternberg wtuliła się jak dawniej w swojego męża. Inaczej jednak niż w tamtych pewnych czasach, to ona jemu dawała pocieszenie.

– Przyjdzie – powiedziała cicho. – Czuję to w kościach. Nasza Anna zawsze dotrzymywała słowa.

– Tym razem to nie zależy od niej – odszepnął Johann Isidor. – Nie powinienem był pozwolić, by w ogóle o tym myślała. Nie w jej stanie.

Przed nimi szła Victoria, niegdyś najpiękniejsza i najtrudniejsza z ich czterech córek. Victoria Feuereisen, z domu Sternberg, miała trzydzieści trzy lata i nie była już tak piękna ani tak trudna. Straciła złudzenia i siły, od pierwszego tak zwanego transportu żydowskiego nie myślała już o ratunku. Mimo to na ostatni dzień, jaki miała spędzić w rodzinnym mieście, włożyła czarny płaszcz z kołnierzem z lisa. Na początku lat trzydziestych kupiła go w znanym berlińskim domu mody, który odwiedziła ze swoją siostrą Clarą. Płaszcz nie dawał jej ani ciepła, ani pocieszenia, a na wysokości piersi przyszyto do niego żółtą gwiazdę. Płaszcz ten był świadectwem niewiarygodnych już historii o młodej marzycielce, która chciała odlecieć do nieba, ale spadła na ziemię ze spalonymi skrzydłami. Teraz Victoria, która była zbyt uparta, zbyt naiwna, aby odczytać złowróbnne znaki, błagała Boga o jeszcze jedną łaskę – żeby jej syn nie zorientował się, co się dzieje.

– Nasuń mu czapkę bardziej na oczy – wyszeptła Betsy – żeby nie widział, co się tutaj dzieje.

Ośmioletni Salo nie puścił ręki matki od momentu, gdy wyruszyli z mieszkania, do którego ich już dawno przesiedlono. Był mały jak na swój wiek, miał dużą niedowagę, kaszlał od miesięcy, a od zeszłego lata cierpiał na napady gorączki. Zawsze był nieśmiały i bojaźliwy. Mówił niewiele i rzadko o coś pytał, ale rozumiał z bieżących wydarzeń więcej, niż jakikolwiek ośmiolatek może unieść. Od kiedy wyruszyli, dwa razy upadł, potykał się coraz częściej. Skarżył się na ból w nogach szeptem, do którego przyzwyczał się w mieszkaniu, dokąd ich przesiedlono.

– Niedługo będziemy na miejscu – powiedziała Victoria. – Wtedy będziesz sobie mógł odpocząć. I to nawet dłużej. – Rozglądała się za Anną, swoją zaufaną, nieustraszoną, zawsze gotową pomagać przyrodnią siostrą, ale widziała tylko pozbawionych twarzy towarzyszy niedoli oraz rozpromienione oblicza członków SA, którzy z każdym przebytym kilometrem coraz bardziej paśli się na cierpieniu wypędzonych. Jak długo jeszcze, pytała samą siebie, wytrzyma tę drogę?

Fanny podążała za matką i bratem – bez ręki, która by rozgrzewała jej dłoń, i już bez kontaktu z ludźmi, którzy przekazaliby jej swoje ciepło. Miała dziesięć lat i od dnia, w którym trzy lata temu spalono synagogi, nie była już dzieckiem. Nie trzeba było jej mówić, co miała robić, o czym mogła mówić, wiedziała też, że milczenie oznacza przetrwanie. Dziewczynka nie wspominała już swego ukochanego ojca, który zostawił rodzinę w mrocznych czasach, uciekł do Holandii i do wybuchu wojny bezskutecznie prosił żonę, by przyjechała do niego z dziećmi.

Przed nocą grozy nie ogłoszono we Frankfurcie alarmu przeciwlotniczego. Dla tych,

którzy mieli domy, łóżka i garnki, dla ludzi, którzy czytali swoim dzieciom bajki o szczęściu i nie nosili żółtej gwiazdy na ubraniu, była to niedziela jak przed wojną. Kobiety upiekły ciasta z mąki i płatków owsianych, wyjątkowo dodały nawet jajka. Chodniki porządnie zamieciono, klamki wypucowano, żywopłoty przycięto. Tylko zaciemnione okna i napis „Wróg podsłuchuje” na drzwiach budki telefonicznej wskazywały na to, że trwa wojna. W jednym z przydomowych ogródków z wielkiej jabłoni kapąła woda. Wisiały na niej nadal owoce, czerwone i dorodne. Trzykołowy rowerek z niebieskim siodełkiem oraz kolorowa piłka leżały na trawniku, ciągle jeszcze broniącym się przed zimą.

Czerwony na twarzy członek SA Griesinger mocnym głosem ciągle poganiał wyczerpanych ludzi, których uczynił swoimi poddanymi.

– Macie maszerować, a nie się modlić, icki – drwił. – Modlitwy wam nie pomogą. Niemieckie pociągi odjeżdżają na czas.

– Pojedziemy do Polski – wymamrotał starszy mężczyzna. – Wszyscy tak mówią.

– A ja słyszałam, że do Theresienstadt – odparła biegnąca obok kobieta. – Zawieźli tam moją ciotkę. Napisała do nas.

– Theresienstadt to miejsce dla wybranych – powiedział mężczyzna. – Słyszałem to od pracownika cmentarza.

– Ja jestem z tych wybranych. Mój błogosławionej pamięci mąż był odznaczony Żelaznym Krzyżem pierwszej klasy. Był ciężko ranny.

– Martwi małżonkowie na nic się nie przydają.

– Żadnego gadania – wrzasnął władca z pejczem w ręku. – Nie jesteśmy w żydowskiej szkole. Tutaj mówi tylko jeden, czyli ja. Zrozumiano?

Na parterze domu pod jabłonią podniesiono rolety. Kobieta z włosami zawiniętymi w ogromną siatkę sięgającą czoła otworzyła okno. Wachlowała się z głupkowatym wyrazem twarzy, nagle obejrzała się i na chwilę zniknęła, gdyż za tiulową firanką dostrzegła nadchodzącą kolumnę. Zaraz jednak wróciła i wychyliła się przez okno, na ile tylko pozwalało jej obfite ciało. Odkąd zaczęły się deportacje frankfurckich Żydów, stała się regularną obserwatorką tych okropności. W rodzinie uważano ją za dobroduszną i bardzo wrażliwą, chociaż dokładne przypatrywanie się upokarzaniu i dręczeniu ludzi z żółtymi gwiazdami na ubraniu sprawiało jej przyjemność. Mimo to sapała, jakby ją samą też poganiano, kładła rękę na lewej piersi i kręciła głową.

– Gdzie też oni lecą tak wcześnie – dziwiła się.

Szpic u jej stóp, z którym mimo pogarszającego się zaopatrzenia nadal dzieliła życie, zaszczekał dwa razy.

– Cicho – powiedziała kobieta. Nasunęła siatkę na włosach bardziej na czoło i poczłapała w swych filcowych kapciach w ciemność salonu, skąd wróciła z czerwoną jedwabną poduszką. Otrzepała ją i położyła na parapecie. Chętnie by się dowiedziała, dokąd trafią Żydzi, gdy już staną pod Wielką Halą Targową. Od swej siostrzenicy Luizy, która tam pracowała, usłyszała, że ładuje się tych ludzi do wagonów i wywozi na zawsze. Ciotka wątpiła jednak, by Luiza, o której wszyscy wokół mówili, że ma rozbuchaną wyobraźnię, mogła cokolwiek wiedzieć. Co z mieszkaniem, które opróżniono? – Na pewno są w lepszej sytuacji – powiedziała do psa. Piszczął na sofie w salonie, bo był przyzwyczajony leżeć obok swej pani na oknie. – Zostań, zostań tam – rozkazała kobieta. – To nie jest widok dla psa. – Tak mocno zaabsorbowała ją kwestia Żydów w Wielkiej Hali Targowej i pracującej tam siostrzenicy, że powiedziała to głośno. Przerazona zatkała sobie usta dłonią.

Anna Dietz, która szukając schronienia, przycisnęła się do płotu niezmordowanej zwiadowczynie, usłyszała te słowa i tak się przestraszyła, że aż dostała mdłości. Próbuąc powstrzymać torsję, poczuła, jak miękną jej nogi. Twarz jej zdrętwiała. Nie ważyła się głębiej odetchnąć, ogarnął ją lęk, że pies ją wyczuje, że kobieta w oknie ją dostrzeże. Przede wszystkim bała się, że straci siły i odwagę, lękała się także o swoje nienarodzone dziecko.

Anna, nieślubna córka Johanna Isidora Sternberga, wychowywała się po śmierci matki w ojcowskim domu przy alei Rothschildów 9 i nawet jego żona Betsy szybko ją pokochała, jakby ta była jej własnym dzieckiem. Teraz Anna była w siódmym miesiącu ciąży. Po niespokojnych dniach i nieprzespanej nocy, mimo wysiłku, jaki ją to kosztowało, i śmiertelnego strachu, a także wbrew złożonej mężowi obietnicy, była zdecydowana na niebezpieczną próbę uratowania przynajmniej jednej osoby skazanej na śmierć.

Anna tak dobrze widziała kobietę z ciemną poduszką i białym szpicem, który już umościł się na oknie, jakby oboje znajdowali się w świetle reflektorów na scenie. Widziała tę kobietę już we wtorek i piątek – za pierwszym razem wcześniej rano, potem późnym popołudniem. Anna przypuszczała, że czatująca w oknie kobieta tak samo jak ona chce zobaczyć Żydów zmierzających do Wielkiej Hali Targowej. Ta myśl ją przeraziła, tacy żądni sensacji gapie, po których można się było spodziewać



wszystkiego, mogli ją natychmiast zdemaskować. Długie godziny oczekiwania wydały jej się daremne, a nadzieja, której się trzymała – dziecinadą i nielojalnością wobec męża.

Wtedy, w strasznej chwili żalu i najgłębszego zwątpienia, dotarło do niej, że pierwsi nieszczęśnicy są już przy hali. Jej serce zaczęło bić mocniej, poczuła, jak jej ciało nabiera lekkości, i przez chwilę, której nie zapomni do końca życia, była pewna, że się przewróci i straci przytomność, a członkowie SA wrzucą ją jak toboł do jednego z ogrodów. W ułamku sekundy przeżyła własną śmierć. Postanowiła, że nie będzie krzyczeć, że zacznie spokojnie oddychać i ułatwi śmierć własnemu dziecku, ścisnęła głowę, by się uspokoić, ale strach w niej był tak ogromny, że niebo stało się ciemne i zaczęły się na nim kotłować chmury.

Pełna zwątpienia usłyszała wrzaski i przekleństwa Georga Marii Griesingera. Jego matka nazywała go Schorschi i na śniadanie smarowała mu kromkę chleba masłem. Teraz Griesinger groził śmiercią wszystkim, za których Anna gotowa była wstąpić do piekieł. I właśnie ten wrzask odwołał ją ze świata, w którym prowadzono dzieci na śmierć i dawano orderzy za morderstwa. Okrutny głos powstrzymał w niej chęć ucieczki i zapadnięcia się pod ziemię. Poczuła, że ma ręce, które mogą chwytać, oraz odwagę tych, którzy nie pytają, czy pomaganie ma sens. Stała tam bez ruchu, zapomniała, że jest w ciąży i że ryzykuje życie swojego dziecka, by ratować inne – dziecko, którego przyjście na świat widziała, z którym się śmiała i które już oduczyło się płakać.

Poprzedniej niedzieli Anna dowiedziała się od swojego męża Hansa, że znowu będą deportować frankfurckich Żydów.

– Nic więcej Karl nie wie – poinformował ją Hans. – Żadnej dokładnej daty i w ogóle nic o tym, kogo mają na liście. Być może będą to teraz starcy i dzieci. Nie chciałem ci tego mówić, ale nie mogłem utrzymać tego w tajemnicy. Gdy tylko pomyślę o dzieciach Vicky i o tym, z jaką godnością stary Sternberg zniósł wszystkie upokorzenia, i że jego żona nie poskarżyła się dotąd ani słowem, mam chęć od razu się powiesić. Po co mi ta cała przekłeta przyzwoitość? No i co to komu daje, że ja nie mogę pogodzić się z tym, co się dzieje?

Anna chciała od razu iść na Bockenheimerstrasse 73, gdzie mieszkali Sternbergowie z Victorią i jej dziećmi od czasu, gdy musieli opuścić własny dom przy alei Rothschildów. Od ponad dwóch lat głodowali i marzli w prymitywnym mieszkaniu, straciwszy nadzieję na jego opuszczenie. Hans i Anna dyskutowali pół nocy o tym, czy Anna powinna ryzykować, by odwiedzić ich po raz ostatni.

– Gestapo nie spuszcza żydowskich domów z oka – ostrzegał Hans. W końcu udało

mu się przekonać ciężarną żonę, by zrezygnowała z pożegnania z rodziną.

– Jeśli Sternbergowie rzeczywiście są na liście deportacyjnej, powinnaś oszczędzić tego ojcu, Anno.

– A jeśli ich już nie zobaczę i nie pożegnam się z nim, Betsy i biedną Vicky? Wstydziłabym się tego do końca życia.

– Tyle że tak jest lepiej. Johann Isidor to zrozumie, uwierz mi. On zawsze myślał tylko o rodzinie. A my musimy teraz myśleć o naszej małej Sophie. Nie możemy już iść za swoimi przekonaniem. Nie możemy sobie więcej pozwolić na przyzwoitość i odwagę.

Nie było jeszcze pewne, jakiej płci będzie pierwsze dziecko Dietzów. Hans i Anna, nie wierząc w siłę modlitw od czasów płonących synagog i tej nienawiści oraz schamienia wobec Żydów, jakie się wtedy rozpętały, od miesięcy błagali Boga o córkę – której nikt nie wetknie broni do ręki i nie rozkaże w obcych krajach palić domów czy obejść ani wyrywać płaczących dzieci z ramion matek.

Hans Dietz, który w 1934 roku musiał odpokutować swoje przekonania polityczne pobytem w obozie koncentracyjnym Dachau, wiedział, o co chodzi. W Polsce, zajętej przez Niemcy w takim pośpiechu, jakiego nie widziano od czasu bitwy pod Tannenbergiem podczas pierwszej wojny światowej, starszy szeregowy Dietz stracił lewą nogę. Do lata 1940 roku leżał w krakowskim lazarecie, skąd pisał do Anny długie, tęskne listy, nie wierząc, że ją jeszcze kiedyś zobaczy. W końcu jednak przeniesiono go do Frankfurtu i wkrótce potem zwolniono ze służby wojskowej.

– Ktoś, kto ma o mnie dobre mniemanie, miał ostatnie słowo – zwykł mówić Annie, gdy utykając, spacerował z nią po frankfurckim Ostparku. Tam mogli się oboje łudzić, że nadejdzie pokój i wszyscy ich ukochani przetrwają. Siadywali na ławkach, na których nie było już napisów „Nie dla Żydów”, gdyż już prawie nie było Żydów, a ci, którzy się jeszcze ostali w mieście, nie mogli w ogóle wchodzić do parków publicznych. Młoda para karmiła wiewiórki i ptaki i marzyła o mieszkaniach, gdzie nie ma stróżów zagląających w garnki i czatujących na każdą krytyczną wypowiedź mieszkańców.

Hans wrócił do swojej Anny z żarliwym sercem i z taką samą wdzięcznością do frankfurckiej drukarni. Z powodu wątpliwego „aryjskiego certyfikatu”<sup>[4]</sup> Anny odważyli się pobrać dopiero w zamieszeniu wojennym. W „uznaniu za zasługi wnioskodawcy wobec ojczyzny” otrzymali dwa i pół pokoju na Thüringer Strasse, po której Anna niegdyś przechadzała się ze swoją pierwszą miłością. Gdy okazało się, że jest w ciąży, obiecali sobie solennie, że nie będą świadomie wplątywać się w kłopoty

ani się okłamywać.

Oboje nie dotrzymali przyrzeczenia, dla żadnego z nich nie było to jednak wstydem czy nielojalnością, raczej koniecznością. Od początku dopuścili możliwość kłamstwa z dobroci serca. Nieugięty Hans Dietz nadal utrzymywał kontakty z towarzyszami sprzed wojny, a ci bez wyjątku działali w ruchu oporu. W ich piwnicach między stosami kartofli i węgla leżały antynazistowskie pisma, które kolportowano nocami. Najodważniejsi z nich ukrywali także ludzi skazanych na deportację i śmierć w obozach koncentracyjnych.

Anna obiecała mężowi, że nie będzie odwiedzać Sternbergów tak regularnie, jak to robiła, gdy on był na froncie. Mimo to chodziła tam tak często, jak tylko mogła. Zanosila im żywność, ubrania i leki. Dla Betsy, która w wieku sześćdziesięciu dziewięciu lat powoli wychodziła z zapalenia płuc, zdobyła środki wzmacniające – wymieniła je w aptece na papier do pisania, który Hans przyniósł z drukarni.

Gdy dowiedziała się o zaplanowanej deportacji Żydów, wtajemniczyła ojca w swój niezwykle odważny plan. Johann Isidor się wściekł. Zszokowany odmówił i przez resztę wieczoru się do niej nie odezwał, chociaż przy pożegnaniu łzy popłynęły mu po twarzy i wyjątkowo długo tulił swoją ukochaną córkę.

W tym decydującym dniu Anna dostrzegła, że Betsy bardzo starała się dotrzymać kroku mężowi i ciągle miała na oku Fanny. Od razu zrozumiała, że Betsy wie. Starsza kobieta kilkakrotnie się obejrzała. Powiedziała coś do męża. Annie wydawało się, że Johann Isidor przytaknął. Podeszła do Fanny i chwyciła ją za ramię. Chuda, blada i oniemiała z przerażenia dziewczynka coraz bardziej oddalała się od matki i brata. Babka wyszeptala jej coś do ucha, nie pochylając się. Tak dyskretnie, że towarzyszący konwojowi ludzie SA niczego nie zauważyli, popchnęła Fanny ku zewnętrznej części kolumny. Wtedy Anna po raz pierwszy wyraźnie ją zobaczyła. Dziesięcioletnia Fanny nie miała już sił. Co chwila się potykała, odstawiała torbę, chwiała się, łapała się powietrza, znowu się prostowała i szła dalej.

Jakaś kobieta, która doszła już do hali, krzyknęła przerażająco: „Ogień!” i „Pomocy!”. Z jękiem upadła na ziemię. Nawet leżąc, ścisnęła walizkę z naklejką „Hotel Europa, Bad Gastein”. Ci, którzy nie mogli upaść, zgubili krok. Dwóch uzbrojonych członków SA krzykiem poganiało ich naprzód. Griesinger wrzeszczał tak mocno, aż jego głos przeszedł w falset. Zbliżył się do mężczyzny, którego sparaliżował okrzyk „Ogień!”. Mniej więcej szesnastoletni chłopiec pochylał się nad leżącą na ziemi kobietą. Widać było, że jest epileptyczką i miała atak.

– Zachciało ci się! – wrzasnął Griesinger.

W oknach widać było gapiów, którzy roili sobie, że są ludźmi. By dobrze wszystko widzieć, jakaś kobieta wybiegła z domu pod jabłonią. Wskazywała palcem bezbronnych ludzi i pytała w przyjemnym heskim dialekcie, dokąd się wybierają. Właścicielka białego szpica pluła ze swojego salonu w stronę nieszczęśników i krzyczała: „Fuj!”. Jej pies szczekał i machał ogonem.

Anna zbliżyła się już do kolumny. Nadal czuła, że jej wielki brzuch jest lekki niczym u młodej dziewczyny i że spłynął na nią anioł. Prowadziła ją własna wola. Stawiała długie, mocne kroki. Zimną jak lód, lecz już nie drżącą rękę wyciągnęła ku oznaczonej żółtą gwiazdą Fanny Feuereisen, dla której podstawiono już wagon jadący na wschód. Anna Dietz, zawsze posłuszna kobieta, której nikt nie wytłumaczył, co znaczy być człowiekiem i mieć obowiązki wobec bliźnich, chwyciła Fanny.

– Nie oglądaj się – poprosiła.

W bocznej uliczce, której mieszkańcy spali spokojnie przy niedzieli, Anna zdarła płaszcz z naszytą gwiazdą z pleców zszokowanej dziewczynki. Mógłby je wpędzić w kłopoty, wcisnęła go więc do torby na zakupy. Owinęła Fanny brązową kurtką, którą przyniosła z domu. Bez słowa szły ramię w ramię z powrotem, tam skąd przyszły.

## NIEBEZPIECZEŃSTWO I WYBAWIENIE

Marzec–kwiecień 1944

– Gorzej już być nie może, na miły Bóg – powiedziała pani Schmand, mimo piątego roku wojny nadal dobrze odżywiona. Drutem wskazała sufit piwnicy, policzyła współmieszkańców, którzy siedzieli między stosami kartofli, węgla, słojami, na połamanych stołkach, krzesłach kuchennych i zniszczonych materacach. Po chwili powtórzyła: – Rzeczywiście, nie może być gorzej. – Niemniej jednak na jej podółku leżały dwa kłębki ciemnoniebieskiej wełny, będące jednoznaczną wskazówką, że liczyła się z dłuższym nalotem. Aby mieć do dyspozycji ładną wełnę przedwojennej jakości, musiała spruć sweter najmłodszego syna. Hans-Dieter poległ przed dziesięcioma miesiącami w Rosji. Teraz pani Schmand robiła na drutach ciepłe skarpety dla najstarszego. Mimo że od czterech miesięcy nie dostała żadnej wiadomości od Eberhardta, dotąd pilnego i rozmownego korespondenta, wierzyła, że ma się on dobrze na froncie wschodnim. Gdyby straciła tę wiarę, byłaby to z jej strony zdrada niemieckiej sprawy. A nie przepuszczała żadnej okazji, by jej służyć. W Narodowosocjalistycznej Wspólnocie Kobiet, a także w kobiecym kole kościelnym, z którym utrzymywała kontakty, jej optymizm i energia były stawiane za wzór. Również pan Schmand uznawał za krzepiące, że jego Gudrun nawet w domu, gdzie nikt nie mógł jej usłyszeć, nie wątpiła w ostateczne zwycięstwo.

Silna jak dąb Gudrun Schmand, z ciasno zaplecionym warkoczem i zamięłowaniem do ludowych bluzek, była żoną stróża domu przy Thüringer Strasse 11. Gdy ogłaszano alarm bombowy, schodziła do piwnicy z pięcioma kromkami chleba, słoiczkiem smalcu wieprzowego, sznurkiem do pakowania, małym nożykiem kuchennym oraz drutami.

Za wekami z zieloną fasolką, którą pani Schmand trzymała na czas powrotu Eberhardta z frontu, gdyż obiecała, że już pierwszego dnia po powrocie ugotuje mu zupę fasolową z boczkiem, ukryła mały notes i ołówek. Bardzo dbała o to, by jak najszybciej notować defetystyczne, a więc zagrażające państwu wypowiedzi

mieszkańców. Obciążające wypowiedzi muszą natychmiast zostać zapisane, nie ma co polegać na pamięci – tego nauczyła się od swojego męża Wilibalda. W czasie pierwszej wojny światowej odniósł on ciężkie rany, ogłuchł na lewe ucho i stracił trzy palce u prawej ręki. Musiał więc wypełniać swe obowiązki wobec Führera i ojczyzny na froncie wewnętrznym, ale stawał na wysokości zadania niczym prawdziwy germański wojownik. Wilibald Schmand pilnie i zdecydowanie walczył o niemiecką sprawę, można mu było na tym polu zaufać. Żona szła za jego przykładem.

Do momentu wybuchu wojny pracowała jako sprzedawczyni w renomowanym sklepie z kapeluszami na Töngesgasse. Szeffowa, wybredni klienci i eleganckie klientki – wszyscy cenili pracowitość i smak pani Schmand. Życie u boku człowieka, który długo pozostawał bezrobotny i za nazistów nie tylko dostał pracę, ale też odzyskał dumę i samoświadomość, zmieniło Gudrun. Już we wczesnych latach trzydziestych stała się lojalną służebnicą Führera. A w czasie wojny, także wtedy, gdy co noc nad Niemcami przelatywały alianckie bombowce, a Frankfurt stawał się miastem duchów, mocno wierzyła w tajną broń Hitlera. Upajała się myślą, że kobiety takie jak ona zostały powołane do tego, by wysoko trzymać pochodnię.

W roku 1937 rodzinie Schmandów przydzielono parterowe mieszkanie przy Thüringer Strasse. Wcześniej mieszkała tam żydowska rodzina Wolfsohnów, która dosłownie z dnia na dzień musiała opuścić dom oraz ojczyznę. Piękny serwis Rosenthala i srebra stołowe poprzednich mieszkańców pani Schmand wyciągała tylko w dni świąteczne. Drogi kredens w stylu biedermeier polerowała regularnie. Liczne książki przekazała do księgarni, a obrazy do antykwariusza, który bardzo się z tego ucieszył. Po przeprowadzce Wilibald Schmand został stróżem domu. W piątym roku wojny mieszkańcy opowiadali sobie po cichu historie o tym, że podsłuchiwał nawet sześciolatek dzieci i wypytywał je, „gdzie kochana mamusia kupuje bez kartek”. Ponoć także zdradziecko intonował im: „Ta-ta-ta-taa”, aby dowiedzieć się, czy znają motyw z piątej symfonii Beethovena, który stał się przerywnikiem muzycznym niemieckojęzycznego programu BBC. Londyński nadawca uważany był za jedyne wiarygodne źródło informacji o działaniach wojennych. Za słuchanie BBC i innych „wrogich stacji” przewidziano wysokie kary. Mówiono nawet o karze śmierci.

Pani Schmand, nawet bardziej niż jej wzbudzający strach mąż, nieustannie stała na czatach, gotowa przyłapać mieszkańców i sąsiadów na czymś zakazanym lub podejrzanym. Zadenuncjowała już trzy kobiety, dwie z własnego domu i jedną wdowę wojenną, matkę siedmioletnich bliźniaków, po tym jak tygodniami szpiegowała je przy kupowaniu żywności. Była wściekła, gdyż nie poniosły spodziewanych konsekwencji.

Na szczęście uważna pani Gudrun nie znalazła dotąd żadnych tropów wskazujących, że historia panienki Fanny, która zawsze tak grzecznie kłaniała jej się na korytarzu, była mistrzostwem kamuflażu. Już tamtej niedzieli przed trzema laty, gdy Anna zabrała Fanny prosto z rampy, skąd wywożono Żydów, małżeństwo Dietzów zaprowadziło dziecko do stróża i jego żony. Powiedzieli im, że Fanny straciła oboje rodziców w czasie zamachu w Pradze, przez cztery tygodnie leżała w szpitalu i trafiła do nich za pośrednictwem pewnej pielęgniarki, dalekiej krewnej Hansa. Nie chcieli posyłać jej do szkoły, nim zupełnie nie wyjdzie z szoku.

Hans i Anna, których odwaga, gotowość poświęcenia i miłość uratowały Fanny życie, nie zdecydowali się zameldować na policji dziecka bez dokumentów. O szkole nie było co myśleć. „Im mniej ją widać, tym wszyscy jesteśmy bezpieczniejsi” – powiedział Hans.

Nie powiedział za to głośno, że w ich domu od dawna nie było bezpiecznie. Z czasem jednak oboje z Anną odzyskali spokój.

– Któraś z nas ma chyba bezpośrednie połączenie z niebem – mówił Hans. I chociaż nigdy w życiu nie miał zaufania do nieba, wiedział, co mówi.

– Wszyscy troje je mamy – odpowiadała Anna. – Tacy ludzie jak my nie przeżyliby z jednym tylko aniołem stróżem.

Żaden z mieszkańców domu nie wspominał nic o zamachu w Pradze. Sąsiedzi plotkowali w korytarzu lub wyrażali swoje wątpliwości przy żywo płocie, ale w jednym byli zgodni – że to milczące dziecko przygarnięte przez Dietzów, „tak podle ubrane, że nawet w czasie wojny pies by zapłakał”, sprawiało zawsze wrażenie nieśmiałego i przestraszonego i że po swoich okropnych przeżyciach zasługuje na ochronę.

Podczas długich nocy spędzanych w piwnicy Fanny wzruszała starych i młodych, mężczyzn i kobiety. Ten „praski robaczek”, jak ją nazywali, gdy Anna i Hans nie słyszeli, troszczył się z matczyną miłością o małe dzieci Dietzów. Fanny usypiała je, śpiewała im kołysanki i opowiadała historie, których nie rozumiały. Gdy piwnica trzęsła się w posadach, panował piekielny hałas, a strach sprawiał, że wszyscy zamierali, Fanny była spokojna. Najgorsza rzecz, jaka może spotkać dziecko, przytrafiła jej się już wcześniej. W ciągu dnia nie wychodziła z mieszkania. Gdy była sama w domu, nie mogła otwierać drzwi, chyba że ktoś podał hasło. „Jak w bajce o wilku i siedmiu kozłatkach” – powtarzała.

Anna często wspominała ku radości Fanny: „Jesteś taka jak twój wuj Erwin. On

także nie dał sobie nigdy odebrać odwagi. Nikomu. Aż do końca. Zawsze go podziwiałam”. Samo wspomnienie tego imienia oraz faktu, że w dalekiej Palestynie mieszkał jej własny wuj, który być może o niej myślał, sprawiało jej przyjemność.

Stróż Schmand i pani Gudrun uważali szpiegowanie i denuncjacje za swój obowiązek wobec ojczyzny, mimo to nie podejrzewali nawet, że pod ich dachem mieszkało żydowskie dziecko, uratowane przez żonę komunisty. Niemniej jednak dobrze wychowana sierota z rudawymi włosami i błyszczącymi zielonymi oczami nie była klasycznym przykładem rasy „podludzi”, którą dla dobra narodu niemieckiego trzeba było „tępić”. Od czasu do czasu zdarzało się, że pani Schmand dawała w piwnicy pół kromki chleba z masłem małej Sophie oraz Fanny. W okresie Bożego Narodzenia budziła się w niej dziecięca wiara, że Bóg nagradza dobre uczynki. Co roku w pierwszą niedzielę adwentu dawała Annie w prezencie małą główkę białej kapusty z gospodarstwa siostry w Odenwaldzie.

– Chętnie bym ją walnęła tą przeklętą kapustą w głowę – zżymała się Anna co roku w zaciszu własnych czterech ścian.

– Na dumę możemy sobie pozwolić dopiero po wojnie, moja droga.

– Nie mogę sobie w ogóle wyobrazić – powiedziała Fanny – jak to jest być dumnym i się nie bać.

– Poczekaj jeszcze trochę – zapowiedział Hans trzynastolatce – nadejdzie czas, gdy inni będą mieli stracha, a my kapustę. Obiecuję. Wtedy będziemy śpiewać *Międzynarodówkę* na dachach.

– Jeśli tylko ostanie się jakiś dach w tym mieście – odparła Anna.

– Oczywiście, zapytaj pani Schmand. Ona jest tego pewna.

Pani Schmand przysięgała, że warto zdać się na jej instynkty i przewidywania. Gdy tylko schodziła do piwnicy w trakcie alarmu przeciwlotniczego, zajmowała swoje miejsce, wyciągała robótkę i dyskretnie spoglądając ku zeszytowi ukrytemu za słojem z zieloną fasolką czekającą na powrót Eberhardta, zaczynała mowę o niemieckim „ostatecznym zwycięstwie”. Coraz częściej zachwycała się cudowną bronią, która wszystko zmieni. Przy tym uważnie patrzyła na siedzących dookoła. Nawet takiej kobiecie jak ona potrzebne było przekonanie, że wszyscy się z nią zgadzają.

18 marca 1944 roku pani Gudrun uznała, że po ciężkich nalotach bombowych z 26 listopada i 20 grudnia 1943 roku oraz 29 stycznia i 8 lutego 1944 roku, które zniszczyły ogromne połacie miasta i zabiły wielu ludzi, nic gorszego nie może się już



frankfurczykowi przydarzyć. Opowiadając o swoich przeczuciach, szczyrzyła zęby do najmłodszego mieszkańca kamienicy, ale Erwin Dietz nie odwzajemniał uśmiechu. Miał wypić wieczorną porcję mleka, był jednak w złym humorze i zachowywał się niespokojnie, zacisnął pięści i wierzgał nóżkami. Nie podobało mu się, że mleko smakuje jak woda. Wymagało tego racjonowanie żywności. „Niemieckie krowy to tchórzliwe zdrajczynie ojczyzny i odrażające sabotażystki” – wyjaśniał mu ojciec, gdy zostawał sam z rocznym synkiem i omawiał z nim przebieg działań wojennych.

Nie można się było jednak pomylić bardziej niż pani Gudrun, która 18 marca ogłosiła, że we Frankfurcie „nie może stać się już nic gorszego”. Tamtej soboty siedemset amerykańskich bombowców i osiemset angielskich myśliwców zrzuciło swój śmiertelny ładunek na miasto. Centrum zostało zrównane z ziemią. Rumowisko rozciągało się od Mostu Starego po Strażnicę Miejską, Dworzec Główny, objęło także dzielnice podmiejskie. Szpital Świętego Ducha, Gazownia Wschód, Fahrgasse i jej okolice ucierpiały najbardziej. Siedem tysięcy domów zostało zburzonych, ponad czterystu mieszkańców zginęło, a pięćdziesiąt tysięcy straciło dach nad głową. Wszędzie stali bezradni ludzie. Starcy, chorzy, małe dzieci czekali na ewakuację. Zamilkły bojowe okrzyki.

W poniedziałek o świcie Hans Dietz wyruszył przed siebie, by zobaczyć, co zostało z miasta, w którym chodził do szkoły, przeżył chłopięce chwile radości oraz pierwszą miłość i zaczął pracę zawodową. Na murze jednego ze zniszczonych domów na Lange Strasse ruch oporu przykleił ostrzeżenie: „Nadejdzie dzień, w którym swastyka zawiśnie na szubienicy”.

– To już nie potrwa długo – powiedział Hans po powrocie do domu.

– Cicho – ostrzegła go Anna. Przysunęła mu kubek i wlała z westchnieniem nielubianą kawę zbożową. – Nasze ściany mają ostatnio uszy.

– I języki – szepnęła Fanny. Położyła palec na ustach.

– Czego nie potra gumką? – spytała Sophie.

Przyszła na świat siedem tygodni po ocaleniu Fanny, teraz miała lat trzy, była ciekawska jak sama pani Schmand i bardzo gadatliwa. To żywe dziecko stanowiło permanentne zagrożenie dla rodziców, którzy tyle rozmawiali o klęsce Niemiec, a nie wspominali w ogóle o niemieckim zwycięstwie. Sophie Dietz, która odcięła lalce nogę („bo mój tatuś też ma tylko jedną” – uzasadniła), nie bała się bomb zmuszających ludzi do ucieczki do piwnicy ani widoku zniszczonych domów. Urodzona i wychowana w czasie wojny, nie budziła się, gdy Rzeszy Niemieckiej biły dzwony pogrzebowe. Na bomby mówiła „misie”, ale nie chciała nikomu wyjaśnić, dlaczego jej pluszak nazywał

się Bomba i mógł spać tylko na podłodze.

Syn Dietzów otrzymał imię po Erwinie Sternbergu, ukochanym przyrodnim bracie Anny. Nieustraszona postawa dużego Erwina od dawna jej imponowała. Męstwo Anny, która zdecydowała się rzucić na szalę własne życie, by ratować Fanny, było również rezultatem nauki, jaką pobrała u brata. Nie oszczędzając jej niczego, otworzył jej oczy na to, co robiono w Niemczech z Żydami. Gdyby podczas przeszukania znaleziono u nich jego palestyński adres, całej rodzinie groziłaby śmierć. „Naucz się go na pamięć” – poradził jej dalekowzroczny Erwin, gdy się żegnali. Anna posłuchała. Powtarzała go codziennie przed zaśnięciem.

Gdy rodzina zaczęła się rozjeżdżać we wszystkie strony, Fanny miała zaledwie sześć lat. Mimo to pamiętała wuja Erwina, jego bliźniaczą siostrę Clare i jej córkę Claudette. Ostatniego dnia przed wyjazdem z kraju Erwin narysował jej Mojżesza z cudowną laską w jednej ręce oraz białą flagą z niebieskimi pasami i gwiazdą Dawida w drugiej. Clara przeczytała siostrzenicy historię o małym lordzie w błękitnym jedwabnym garniturze, a Claudette, wówczas dziewiętnastoletnia i jeszcze dobrze pamiętająca, co dzieci lubią najbardziej, poleciała ze swoją kuzynką w zielonym samolocie ku gwiazdom.

Fanny nigdy nie rozmawiała z Anną o obrazach, które jej się nasuwały, gdy leżała w łóżku i nie mogła zasnąć albo gdy siedziała w piwnicy i słyszała, jak z nieba spada śmierć. Dręczyło ją to, że nie widziała już swojego brata w chwilach, gdy zamykała oczy, i że głos jej matki dla niej zamilkł. Wstydziła się także, że nie pamiętała już modlitw, których niegdyś uczyła się przy stole rodzinnym i w szkole. W nocie pozbawione zmartwień i strachu spotykała swojego ojca w Holandii. Zawsze rozmawiał z nią po cichu, ale umiał pięknie śpiewać, a swoją córkę obdarzał tajemniczo brzmiącymi pieszczotliwymi imionami, które znali tylko oni oboje. Te imiona również wyleciały jej z głowy. Raz ojciec przybył w saniach przez zamrożone morze, aby ją zabrać z niemieckiej ziemi. „Jaka piękna urosłaś” – powiedział i jeszcze tej samej nocy kupił jej nowy płaszcz. Starego nie mogła już nosić, bo każdy zobaczyłby miejsce, w którym przyszyto żółtą gwiazdę.

Pewnego razu Fanny śniła, że babka prowadzi ją do lasu pełnego kwitnących kasztanowców i tam otwiera paczkę różanych ciasteczek. Sen przerodził się nagle w tysiące zabójczych iskier, zanim jeszcze Fanny zdołała spytać ją o dziadka. Gdy wciąż nierozbudzona powróciła wreszcie do rzeczywistości, w której nie wolno śnić takich rzeczy, mamrotała pod nosem z całej siły: „Betsy i Johann Isidor

Sternbergowie”. Zaraz po rozstaniu z rodziną, już bezpieczna u Anny i Hansa, ale sparaliżowana strachem i przeżytym szokiem, Fanny Feuereisen pojęła to, co najistotniejsze dla żydowskiego dziecka: trzeba walczyć o każdy skrawek przeszłości, by nie dać się pogrzebać za życia.

Mały Erwin tak jak siostra przesypiał naloty bombowe, które niszczyły jego ojczyznę. Rzadko płakał, raczej piszczął i śmiał się sam do siebie. Mimo coraz mniejszych racji żywnościowych chłopczyk miał rumiane, zaokrąglone policzki, jakby żył w czasach pokoju. W piwniczne noce siedział na kolanach Fanny i bawił się łańcuszkiem, który mu zrobiła z kolorowych guzików. Nawet pani Schmand, która się nie rozglądała, jeśli nie było takiej potrzeby, powiedziała kiedyś: „Też robiłam takie łańcuszki, jak byłam mała. Zawsze miałam najpiękniejsze guziki. Moja matka była krawcową”.

Podczas nalotu 18 marca bomby spadły na kościół Świętego Pawła, galerię Liebieghaus, muzeum Städla, piękny pałac księżąt Thurn und Taxis, Wielką Halę Targową oraz wiele szpitali. Katedra, klasztor Dominikanów, całe Stare Miasto i kamienice we wszystkich dzielnicach stanęły w ogniu. Ludzie nie mieli już siły choćby uskarżać się na swój los. Życie straciło smak, a słowo „przyszłość” sens. Frankfurt umarł, jeszcze zanim trafiło go ostatnie, śmiertelne uderzenie.

Gudrun Schmand wołała o odwet. Wzywała Boga, aby zniszczył nieprzyjaciela, a ojczyznę, aby nie zaprzestała walki i wytrwała. Już nie mówiła nic o losie Frankfurtu. Wierna służka Führera dowodziła w żarliwych przemowach mieszkańcom domu przy Thüringer Strasse 11, klientkom piekarni i kobietom o poszarzałych twarzach, stojącym w kolejce po podstawowe produkty u kupca Habermanna, że już niedługo nadejdzie wielka chwila dla Niemiec.

– Nie chciałabym być wtedy w skórze tego tłuściocha Churchilla – mówiła i oblizywała wargi, jakby postawiła właśnie na stole chrupiącą pieczeń z knedlami w tłustym sosie.

Kalendarz wskazywał 22 marca 1944 roku. Pod tą datą można było przeczytać cytat z islandzkiej *Eddy*: „Żyć wiernie, walczyć dzielnie, umrzeć z uśmiechem”. Po drugiej stronie znajdował się przepis na omastę z kaszy jęczmiennej i porada lekarska, by „jak najczęściej w tygodniu zastępować jajko innymi produktami”. Żona stróża nie miała tej srody nastroju na jajka. Zachowywała się uderzająco spokojnie, a jej twarz była blada. Gdy zajęła swoje miejsce w piwnicy, nie posmarowała chleba smalcem, nie odkręciła słoika z napisem „Uwaga, trucizna!” – był to pomysł jej wesołego synka Eberhardta

z czasów ostatniego urlopu. Wyjęła tylko jabłko z torby, w której trzymała zapasy, potrzywała je, spoglądając w zamyśleniu pod wątle światło piwniczne, ale go nie obrała. Absolutnie nie bała się, że nastąpi taki nalot jak ten straszliwy sprzed czterech dni, wyjaśniła natychmiast swoim towarzyszom, dostrzegając ich badawcze spojrzenia.

– Absolutnie, naprawdę – podkreśliła niezłomna kobieta. Broniła swoich racji jak ktoś, kto staje przed sądem i przysięga mówić tylko prawdę.

Dla Gudrun Schmand świat się nie zmienił. W tej rzeczywistości pełnej złudzeń i samookłamywania się nie było ani gruzu, ani popiołu. Niebo nie barwiło się na czerwono, a żadne niemieckie miasto nie korzyło się w obliczu niosących śmierć ataków. Ci, co umierali, robili to dla Niemiec. Inni natomiast, jak pani Schmand, odwracali wzrok i zatykali uszy. Zburzone domy i zawalone ulice były dla niej tylko czymś tymczasowym. Niemieckie bohaterki nie dawały się przerazić liczbą zabitych, nie współczuły tym, którzy stracili dach nad głową, czy matkom, które nie miały już czego dać swoim dzieciom, ani ludziom, którzy nie wiedzieli, skąd wziąć trumnę dla swoich umarłych. Dla Gudrun Schmand nawet w obliczu zagłady liczyły się tylko Obowiązek, Führer, Naród i Ojczyzna. Mimo że ta posągowa Germania straciła jednego syna w Rosji, a o losach drugiego nie miała wieści, pozostała niewzruszona niczym niemiecki dąb, który nie ugina się przed żadną burzą. Swój stan ducha w trakcie nalotów sama opisywała jako „bombastyczny”.

– Życzę jej wszystkiego najgorszego – powiedziała Anna po wielkim sobotnim nalocie. – Powinien ją szlag trafić, tę przeklętą wiedźmę, a potem bomba. Cała bomba na nią jedną. Życzę jej tego z całego serca.

– Byle nie w naszej piwnicy – zastrzegł Hans. – Boby i nas trafiła.

– Myślisz, że Bóg byłby tak niesprawiedliwy?

– Tak myślę. Czyż od lat nie udowadnia nam, że nie ma nic wspólnego ze sprawiedliwością?

– No dobrze. W takim razie niech ją trafi szlag przy sraniu. Erwin zawsze to powtarzał, gdy był wściekły, przynajmniej gdy ojciec nie słyszał. Och, Hans, czasami myślę sobie, że nigdy się nie nauczę żyć ze swoimi wspomnieniami.

– Musisz. Fanny zapyta cię o rodzinę. Ma prawo się dowiedzieć.

Dwudziestego drugiego marca, gdy pani Schmand była tak spokojna i milcząca, to nie beznadziejne położenie Niemiec przyprawiało ją o troskę, lecz ból gardła. W aptece nie dostała jednak soli emskiej ani środka na gardło. Tylko poradę, by zaparzyć sobie kwiat lipy i się wypocić. „Właściwie wolałabym zostać w łóżku” –

tłumaczyła chora. Skubała brązową wełnianą pończochę, którą owinęła sobie szyję. „Ciepły gęsi tłuszcz – pouczyła – pomaga lepiej niż jakiś tam doktor. Już moja babka używała go, gdy któreś z nas, dzieci, zachorowało. Gęsi tłuszcz to niezawodny środek leczniczy” – powtarzała.

– Zabawne, ale u nas gęsi tłuszcz służył zawsze do jedzenia, gdy już go mieliśmy – odparł Hans. – Nie pomagał nam ani trochę na ból gardła, ale dzięki niemu byliśmy najedzeni. Tak to już jest u biednych ludzi, proszę pani. Są głupi i nieuczenni, i nienażarci. Zjadają lek, który mógłby im pomóc, i dziwią się potem, że sapią jak parowóz.

Anna dyskretnie pociągnęła męża za ramię – gdy się nakręcił, zapominał o ostrożności. Gdy coś go rozdrażniło, był w stanie wpędzić się w kłopoty swoim gadaniem. Postawiła stopę na jego stopie, spojrzała w kierunku zielonej fasolki pani Schmand i jej siejącego grozę notatnika, który u Dietzów nazywano „zeszytem do denuncjacji”. Przez cały wieczór Hans był w złym humorze i nie chciał zejść do piwnicy. Teraz zachowywał się tak, jakby nie rozumiał, czego Anna od niego chce. Dalej gapił się na panią Schmand, przy czym dwukrotnie klepnął się mocno po protezie, by przypomnieć, jaką ofiarę złożył na ołtarzu ojczyzny.

– Nie – zapiszczał mały Erwin.

Dwa tygodnie temu po raz pierwszy wypowiedział to słowo i od tamtej pory z rozkoszą udowadniał wszystkim, że jest synem swojego ojca, cały czas gotowym do sprzeciwu. I chociaż jego ojciec wiedział już, czym w tym kraju może się skończyć wolność wypowiedzi, uchylał się przed nauką milczenia. Im silniejsze były naloty bombowe i im większe zwątpienie wśród mieszkańców, tym częściej wypowiadał się w sposób „podminowujący zdolności obronne”, który skłaniał denuncjantów w rodzaju Schmandów do donoszenia na ojców rodzin, starców, młode matki i niedorostków.

– Nie – powtórzył Erwin.

– Wrzucę cię do śmietnika – zagroziła mu Fanny, podnosząc palec.

– W żadnym razie, dziecko – wtrącił się Hans. – Führer potrzebuje niemieckich synów.

– Nie – sprzeciwił się Erwin.

Dzień był spokojny.

– Jak w czasach pokoju. Prawie wiosna – powiedziała Anna, gdy wieczorem postawiła na stole gulasz z czerwoną kapustą i w napadzie wesołości, którego nie

potrafiła wyjaśnić, zacytowała starą dziecięcą wyliczankę: – Czerwie w czerwonej kapuście. – Dzieci się roześmiały, a Hans zrobił grymas, jakby powiedziała coś wulgarnego. Nawet Fanny, zwykle przy stole milcząca i zamknięta w sobie, zaczęła się śmiać.

– Niebo w niebieskiej kapuście – podchwyciła i po chwili dodała: – Nauczył mnie tego wujek Erwin. Pamiętałam całą. Wtedy.

Ciepło tego dnia skusiło dwa gołębnie do gruchania o miłości i pokoju na malutkim balkonie, na którym pani domu próbowała hodować szczypiorek i pietruszkę, a latem nawet pomidory.

– Biedni głupcy – powiedział Hans – mylą się na całej linii. Od czasów Noego nie ma już gołąbków pokoju. A miłość tylko wedle specjalnego przydziału. Członkowie partii, walczący na froncie i kobiety ze złotą odznaką matki mają pierwszeństwo. Zamknąć oczy i siedzieć cicho!

Jak zawsze kwadrans po ósmej zaczął się radiowy program wieczorny. Z powodu fatalnego błędu nie wspomniano nawet o ośmiuset brytyjskich lancasterach, halifaksach i mosquitach, które tego dnia obrały kurs na Frankfurt. Mówiono tylko o jednym alianckim bombowcu, który przyleciał nad miasto.

– Miejmy nadzieję, że nie jest sam – zażartował Hans. – Nocą samotne samoloty czują się nieswojo.

Wielu mieszkańców zniszczonego miasta zakładało, że noc będzie dla nich równie łaskawa jak ten dzień i oszczędzi ludzi będących u kresu sił. Ufali w swoją odwagę fatalistów, nie schodzili do piwnic i zostawali w mieszkaniach. Pomylili się nie tylko optymiści i lekkoduchy, nie tylko krótkowzroczni, pełni nadziei czy wymęczeni na śmierć. Przytrafiło się to nawet obronie przeciwlotniczej, dała się zmylić pozornemu atakowi na Kassel. Gdy w końcu za kwadrans dziesiąta we Frankfurcie rozbrzmiały sygnały alarmowe, śmierć trzymała już miasto w potrzasku.

Bombowce trzykrotnie zrzuciły swój ładunek. Gdy się wycofały, dumny mieszczański Frankfurt ze słynnymi na całe Niemcy domami z muru pruskiego stał w ogniu. W sto dwunastą rocznicę śmierci Goethego jego rodzinne miasto zmieniło się w pustynię pełną ruin. Dom na Hirschgraben, w którym się urodził, miejsce pielgrzymek literackiego świata, zniknął z powierzchni ziemi. Płonęła cała zachodnia strona Starego Miasta. Zniszczone zostały Strażnica Główna, ulica Schillera, giełda, Poczta Główna i historyczny ratusz. Imponujące gmachy przedsiębiorstw na ulicy Zeil stanęły w ogniu, kamienice Nordendu i Ostendu zostały zbombardowane, tak samo jak domy dzielnic Bockenheim i Rödelheim. Całe ulice płonęły. Nie było już prądu,

przestała działać kanalizacja, a drogi i tory kolejowe zostały zmiecione z powierzchni ziemi. Ludzie dusili się i ginęli w ogniu. Zwęglone ciała wyglądały, jakby nigdy nie były żywymi ludźmi.

Miasto stało nad przepaścią – to była największa katastrofa, jaką przeżyło od czasów średniowiecza. Wraz z ludźmi ginęły zwierzęta. Zoo zostało zrównane z ziemią. Wyjące w panice dzikie koty, umierające małpy, jelenie i niedźwiedzie zostały dobite miłosierdnym strzałem z karabinu. Lwy, które w trakcie pożogi wyrwały się z klatek, musiały zostać zastrzelone w obronie ludności. Dom na Thüringer Strasse 11 śmierć pominęła. Mury wytrzymały. Tylko okna wypadły, a białe zasłony, teraz czarne jak węgiel strzępy materiału, zwisały z ciemnych dziur. Wszędzie walały się szkło i części framug. Drzwi wejściowe do budynku, lekko tylko uszkodzone, wyleciały jak z katapulty i upadły na przeciwległym chodniku. Leżał na nich martwy kot. Stróżowi Schmandowi mieszkańcy wiele razy życzyli wszystkiego najgorszego oraz śmierci na szubienicy, którą straszył dzieci, lecz teraz był bohaterem. Wyciągnął ze spiżarni trzymane tam od pięciu lat worki z piachem i toczył udaną walkę z bombami.

Piekielny hałas i ogniste powietrze sprawiły, że siedzący w piwnicy ludzie oślepli i ogłuchli. Umierali tysiącami rodzajów śmierci i mimo to błagali o życie. Na jednym oddechu kobiety krzyczały o odwecie i wołały o boską pomoc. Dwaj mężczyźni, już za starzy i za słabi na służbę pod gradem pocisków, uroili sobie, że znowu są w okopach pierwszej wojny światowej. Krzyczeli, że zaraz pojawią się gazy, i modlili się o śmierć. Hans Dietz kurczowo ścisnął syna, szeptał mu do ucha tajemnice, których pani Schmand nie powinna słyszeć nawet w czasach najwyższego zagrożenia. Jej wyłożone papierem półki straciły równowagę. Weki z kosztowną zieloną fasolką dla zaginionego na froncie syna spadły razem z notatnikiem i ołówkiem, którymi walczyła na froncie wewnętrznym.

– Ma pani swoją cudowną broń! – krzyknęła do niej ile tchu młoda wdowa z trojgiem dzieci.

– Cicho bądź – rozkazał jej dziesięcioletni syn. Zasłonił matce usta i wyszeptał: – Nie możesz tak mówić.

– Czy umarłam? – zabrzmiał przenikliwy niewinny głosik w samym środku piekła. Dziewczynka wytarła sobie pot z czoła jednonogą lalką w falbaniastej spódnicy.

– Nie, Sophie – uspokoiła ją Fanny. W tym samym momencie, w którym rozpadał się świat, pojęła, że konieczne kłamstwa nie są ani grzechem, ani tchórzostwem. – Dzieci nie umierają – powiedziała – bo dobry Bóg na to nie pozwala.

Od dłuższego czasu wielu ludzi w Niemczech nie chciało dostrzec, że to właśnie ludność cywilna zapłaci za niemieckie bomby zrzucone na Rotterdam, Coventry i Londyn. Zdziwieni faktem, że alianci chcieli płacić oko za oko, ząb za ząb, w dodatku z większą siłą, uciekali z miasta, jak w średniowieczu po pożarach i epidemiach. Liczyli, że otrzymają pomoc na wsiach i u krewnych. Zdawali się na tych, z którymi od lat nie utrzymywali kontaktów. Straciwszy wszystko poza życiem, gotowi byli jeszcze wierzyć w niemiecką jedność. Jak tonący chwytają się brzytwy, ludzie ze zbombardowanego miasta czepiali się wiecznej nadziei, że potrzebujący dostaną miłość i chleb.

Hans i Anna Dietzowie się nie pakowali. Wprawdzie sami od trzech lat dawali świadectwo tego, do jakiej ofiarności zdolny jest człowiek, ale nie wierzyli w bajki o bezinteresowności rolników. Bardziej niż pozostania w zagrożonym mieście obawiali się tego, że na wsi jakiś wójt lub inny urzędnik zapyta o papiery Fanny. Na wsi trudniej było coś ukryć. We Frankfurcie nawet pani Schmand już o nic nie pytała.

– Musicie zostać tutaj z mojego powodu? – przeczuwała Fanny.

– Nie – uspokoił ją Hans – i tak byśmy nie pojechali.

Nalot 24 marca 1944 roku zaczął się o dziewiątej rano. Przyleciało sto siedemdziesiąt pięć amerykańskich maszyn, które zrównały z ziemią ruiny Frankfurtu. Bomby zabiły członków grup ratowniczych i spadły na trumny stojące w rzędach na peronach, skąd miano je zabrać. Zabiły kobiety, dzieci i starców, którzy w okolicach Dworca Głównego oczekiwali na ewakuację.

Kuchnie polowe obsługiwały mieszkańców zbombardowanych domów, grupy ratunkowe ściągnięte do Frankfurtu z całego południowego zachodu Niemiec, żołnierzy i jeńców wojennych, którzy wspólnie zajmowali się pogrążonymi w nieszczęściu ludźmi. Ludzie poszukujący krewnych, przyjaciół i sąsiadów stali jak w transie przed wypalonymi, rozwalonymi domami.

Przy palących się zgliszczach naziści odbierali od tych zostawionych samym sobie ludzi przysięgę wierności Hitlerowi. Aby podnieść morale, przed trumnami defilowała kapela wojskowa. Gauleiter<sup>[5]</sup> Jakob Sprenger ogłosił Frankfurt miastem frontowym. Plakaty z hasłem „Miasto frontowe Frankfurt się nie podda” zostały jak najszybciej rozklejone na zniszczonych ścianach kamienic. Namalowano na nich mężczyznę, kobietę i dziecko gotowych do walki, stojących z flagą ze swastyką w ręce pod nienaruszoną katedrą, z której w rzeczywistości nie zostało nic poza stertą kamieni.

– Co to jest miasto frontowe? – spytała Fanny.



– W mieście frontowym najpierw warzy się piwo, a potem się je pije – odparł Hans.

– To jakiś żart?

– Skąd w tych czasach mamy wiedzieć, co to jest żart, Fanny? Trzeba spytać mądrzejszych ludzi niż jednonogi drukarz.

– Przecież nie myślisz nogami.

Gdyby tej rozmowie przysłuchiwał się ojciec Fanny, o którym nie wiadomo było, czy żyje, czy ukrywa się gdzieś w Holandii, czy też trafił do niemieckiego obozu, zapewne przypomniaby sobie, że jego córka już jako trzylatka czepiała się każdego słowa.

Pierwszego kwietniowego poniedziałku roku 1944 Fanny i Hans przechodzili przez miasto skamieniałych duchów, jakby takie zwyczaje były czymś oczywistym dla żydowskiej dziewczynki w tamtych czasach. Cieszyli się ciepłem słońca, a gdy się zapomnieli, nawet tchnieniem ciepła w sercu. Między dwiema ruinami, kiedyś czteropiętrowymi domami pełnymi ludzi, którzy wstawiali do kredensu filiżanki okolone złotym paskiem, a na ścianach wieszali obrazy przedstawiające niemiecki las, rosnąca bylina negowała powszechne panowanie śmierci. Rosły tam stokrotki z niewinnie białymi płatkami. Fanny schyliła się nad kwiatem, ale go nie zerwała. Odważny mężczyzna i dziecko, które zapomniało, co to płacz, niczego się nie bali. Przypomnieli sobie tak wspaniałe słowa jak „szczęście” i „nadzieja”.

Fanny zatrzymała się przed domem, z którego pozostały tylko dwie ściany nośne. Rozmasowała dłonie.

– Nie mogę myśleć o tych, co tu mieszkali. Staram się od rana nie być taka, jaka jestem, ale bez skutku. Tak bardzo się wstydzę – powiedziała.

– Mam te same problemy ze współczuciem – przyznał Hans. Ścisnął jej dłoń i pomyślał, że chciałby, żeby jego córka była taka jak Fanny. – Tylko że ja się tego nie wstydzę. Zapomniałem, co to wstyd, gdy byłem w Dachau.

– Ja nie byłem w Dachau.

– Przeżyłaś coś gorszego, drogie dziecko.

Skręcili w Biebergasse, chociaż Hans tego nie chciał. Wymyślał sobie w duchu od bezrozumnych głupców, gdy przypomniawszy sobie, że ojciec Fanny miał w tym miejscu swoją kancelarię, z której musiał zrezygnować w 1934 roku. Fanny jednak tego nie pamiętała. Dom został doszczętnie zniszczony, obrócił się w kupę gruzu. W sąsiednim budynku tylko okna były uszkodzone. Założono je kocami wojskowymi i papierem używanym do zaciemniania. Na parterze zakład fryzjerski kusił kartonowym szyldem

z dwoma błędami: „Cokolwiek się wydaża, włosy rosną”.

Mury zniszczonych domów mogły pomieścić mnóstwo takich właśnie haseł świadczących o dalszym życiu miasta. Najczęściej można było przeczytać: „Stawimy czoła terrorowi”, „Raczej martwy niż niewolnik”, „Rozkazuj, Führerze, jesteśmy z Tobą”, „To dopiero początek” i stare „Powoli ku zwycięstwu”. W niektórych zbombardowanych mieszkaniach ostały się nawet ścianki działowe. Z dachów zwisały kable, niczego już niełącznie. W jednym zrujnowanym domu na Lange Strasse widać było muszlę klozetową, która najwidoczniej została wyczyszczona tuż przed nalotem. W alei Wittelsbachów, pośrodku kupy gruzu tkwiło wypalone łóżeczko dziecięce, a pod nim nadpalona lalka z długimi blond warkoczami. Na jednej z dwóch nadal stojących ścian ktoś napisał białą kredą, starannym sütterlinem<sup>[6]</sup>: „Rodzina Meyerów żyje. Jesteśmy u cioci Anni w Karben”.

– Niemcy dostały to, na co zasłużyły – powiedział Hans. – Zarówno winni, jak i ci, którzy odwracali wzrok. Wszyscy sobie na to zasłużyli. Nie musimy już przegrywać tej wojny.

Fanny spojrzała na niego.

– Zgadza się – odparła.

Cztery tygodnie temu skończyła trzynaste lat. Dziewczęta w tym wieku chodziły do szkoły. Miały matki, które opowiadały im, że Niemcy wygrają wojnę, jeśli dzieci będą się grzecznie co wieczór modlić i wysyłać żołnierzom na froncie wschodnim wełniane onuce. Dziewczęta w wieku Fanny miały dziadków, którzy nie zniknęli we mgle. Marzyły o zielonych spódnicach z lodenu i alpejskich kurteczkach i mimo bombardowania były pewne, że Bóg trzyma z Niemcami. Gdy słyszały, jak Zarah Leander śpiewa *Wiem, że pewnego dnia zdarzy się cud*, wilgotniały im oczy. Trzynastolatki chodziły do kina i chichotały w trakcie scen pocałunków. Rano przed lekcjami wołały: „Heil Hitler”, prostując ramiona, ale ich serca zawojował Willi Forst, śpiewający szlagier *Masz szczęście do kobiet, Bel Ami*.

Fanny, dziewczyna, która widziała, jak jej matka opuszcza ten świat pod Wielką Halą Targową, i która nie pamiętała już ani ojca, ani brata, nic nie wiedziała o szlagierach, które oczarowały jej rówieśniczki. Nie mogła chodzić do kina. Jedyne rodzina, która jej jeszcze została, bała się, że wpadnie na jakiś patrol i zostanie zabrana. Fanny ucieszyła się, gdy Anna uszyła jej z koca płaszcz, a z resztek materiału bluzkę. Nie marzyła o kurteczce alpejskiej ze srebrnymi guzikami, nie liczyła, że jakiś młodzieniec zaśpiewa jej *Całuję twoją dłoń, madame*. Wiedziała za to, że żółta gwiazda oznacza śmierć, a obóz koncentracyjny jest piekłem dwudziestego stulecia.

Dlatego też rozumiała, co Hans miał na myśli, gdy mówił o niemieckiej winie.

Stali przed zbombardowaną szkołą na terenie zoo. Blade dzieci, w zbyt krótkich płaszczkach, z tornistrami na plecach biegły w stronę budynku. Za małymi pobiegły też większe dziewczęta o poważnym spojrzeniu, ze schludnie zaplecionymi warkoczami. Najwidoczniej lekcje odbywały się w prowizorycznie przygotowanych pomieszczeniach, których nie było widać z ulicy. W mieście umarłych dzieci nadal uczyły się na pamięć *Pieśni o dzwonie*<sup>[7]</sup> oraz tego, że posłuszeństwo i bohaterstwo są niemieckimi cnotami. Przede wszystkim zaś uczyły się, że kobieta ma służyć mężczyźnie, a ten ojczyźnie.

– Widzisz, nie potrzebują nawet wszystkich szkolnych budynków, by pomieścić w nich tych, którzy stracili dach nad głową – powiedział Hans. – Niektóre nadal służą dzieciom. Niedługo ty też pójdziesz do szkoły. Wreszcie załatwimy ci papiery. W tym całym chaosie nikt nie będzie już o nic pytał. Wiele osób straciło swoje dokumenty.

– Jakie papiery?

– Takie, dzięki którym będziemy mogli cię zameldować. Potrzebne do życia i do szkoły. Od dawna mnie gryzie, że nie masz tożsamości. W razie potrzeby nie moglibyśmy udowodnić, że jesteś nasza, że jesteś naszą córką. Jeśli będziemy mieli szczęście, dostaniemy też kartki żywnościowe na ciebie.

– I jak bym się nazywała?

– Fanny Dietz, oczywiście. Wtedy nikt nam cię nie odbierze. Będziesz miała w papierach przynajmniej tę aryjską babkę, której potrzebuje każdy Niemiec. Na litość boską, co z tobą, Fanny? Jesteś blada jak ściana. Płaczesz...

Złapał ją, nim upadła, i przytulał, dopóki nie przestała drżeć. Usiedli na kamieniu, który stanowił część muru, i patrzyli w stronę słońca. Hansowi też napłynęły łzy do oczu, jednak nie rozumiał, co zrobić. Fanny słyszała swój oddech, przyciskała obie ręce do piersi i starała się wyobrazić sobie to, co niewyobrażalne. W końcu wstała. Strzepnęła wilgoć kamienia ze spódnicy i stanęła na palcach, bo musiała mówić bardzo cicho, a Hans także już wstał.

– Nie mogę stracić mojego nazwiska – wyjaśniła. – Wyobraź sobie, że mój ojciec jednak żyje albo wraca moja matka. Albo dziadkowie. Może wujek Erwin przyjedzie z Palestyny i będzie mnie szukał. Jak miałby mnie znaleźć, jeśli nie będę się już nazywać Feuereisen?

Wieczorem siedzieli przy kuchennym stole i jedli chleb z marmoladą z jarzębiny

i dzikiej róży, które Anna zeszłego lata zebrała w lesie. Hans marzył o szklance piwa i flanelowej koszuli z guzikami z masy perłowej, Anna o sklepie, w którym można kupować mięso na kilogramy, a szynkę na metry. Spostrzegła, że oczy Fanny nadal były zaczerwienione, i pomyślała, że może to dobrze, gdy dziecko, które przez całe lata nie płakało, wreszcie sobie ulżyło. Gdy wstała, by przynieść radio, pocałowała Fanny w czoło. Dziewczynka zaśmiała się, jakby była szczęśliwa – tak jak zaśmiałoby się dziecko, które zostało pochwalone przez swą piękną matkę.

Ze względów bezpieczeństwa Anna okrywała radio niebieskim kocykiem z wózka dziecięcego i nastawiała je tak cicho, że wszyscy troje musieli się pochylić w wyćwiczonego układzie, by usłyszeć głos prawdy. BBC donosiło, że rano został zatopiony niemiecki okręt „Tirpitz”.

– To nas nie rusza – powiedział Hans. – Niemcy mają przecież cudowną broń.

– Jak zawsze masz rację – przytaknęła Anna. Mimo to pokręciła głową i nazwała męża głuptasem. – Jesteś arcygłuptas – dodała. – Naprawdę myślałeś, że córka Johanna Isidora Sternberga pozwoli, żebyś pozbawił jego wnuczkę rodzowego nazwiska?

## POWRÓT, LECZ NIE DO DOMU

Czerwiec 1945

– *Don't fence me in* – śpiewał kierowca amerykańskiego autobusu wojskowego. Miał donośny głos i był w bardzo dobrym humorze, jak zawsze, gdy pozwalano mu śpiewać. Ta popularna piosenka to był dla niego kawałek ojczyzny. Tak jak wspomnienie Polly Patch, córki sąsiadów, dziewczyny o blond loczkach i niebiańskim nosku. Polly obiecała, że będzie swojemu koledze ze szkoły posyłać codziennie tysiąc całusów, ale w ciągu tych dwóch lat nie wysłała mu jeszcze kartki na urodziny ani na święta.

*Don't fence me in* w interpretacji Binga Crosby'ego zostało właśnie wydane na płycie, gdy sierżant Patrick Johnson z Arkansas pojechał do Europy. Gdy kończyła się wojna w Europie, dobroduszny Patrick, zwany przez kolegów Patem, był jednym z żołnierzy okupujących Niemcy. Nie mogli oni nawiązywać kontaktów z dawnym wrogiem. Nawet z ładnymi młodymi kobietami, które tak chętnie uśmiechały się do amerykańskich wojskowych. Zakaz fraternizacji martwił sierżanta Johnsona tak samo jak niewierność Polly. Teraz szybko odrzucił tęsknotę za jej kształtnymi piersiami. To samo zrobił z nagłą potrzebą zjedzenia zapiekanki dyniowej swojej matki.

Patrick Johnson był z siebie dumny, bo wykonał w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin kawał dobrej roboty. Żadnego, nawet najdrobniejszego wypadku! Wykrzywił twarz, spoglądając w lusterko, zdjął ręce z kierownicy i zaklaskał.

– *Home, sweet home* – zanucił na cały autobus. Wesoły kierowca nie dziwił się, że nikt nie zareagował. Przez całą drogę było tak samo. Jego ulubione żarty pozostały bez odpowiedzi. – Nawet pies z kulawą nogą... – wymamrotał i zazgrzytał zębami.

Mimo że jego przełożony zadał sobie wiele trudu, by wytłumaczyć mu tę niezwykłą sytuację, sierżant Johnson nie zrozumiał, o co chodziło z tymi ludźmi. Miał zawieźć ich z kraju ofiar do Niemiec, kraju sprawców. Po co? Dlaczego? Komu coś takiego mogło przyjść do głowy? Dlaczego ludzie, po których od razu widać było, że nie są

szczęśliwi, a właściwie – myślał sobie Pat – wyglądają jak skazańcy w celach śmierci, zaraz po zakończeniu wojny musieli ruszać w tak uciążliwą podróż? Sierżant uznał, że to typowe dla wojska. Jego przyjaciel Mike podsumował to kiedyś tak: „Każdy myśli, a wszystko wychodzi bez pomyślnku”.

– *Hi!* – krzyknął zachęcająco Pat.

Obliznął usta i pomyślał znowu o Polly. Tym razem przypomniały mu się jej śliczne prześwitujące bluzeczki.

Betsy Sternberg właśnie na nowo przyzwyczajała się do swojego nazwiska oraz tego, że obcy ludzie nie mówią sobie na ty – jak to praktykowano w Theresienstadt. Teraz miała wrażenie, że sierżant się jej przygląda. Przez chwilę poczuła się zirytowana. Czuliła potrzebę opowiedzenia temu przyjacielsko nastawionemu młodemu Amerykaninowi, że zna szlagier *Don't fence me in* ze swojego poprzedniego życia. W tamtym życiu normalne było picie kawy z filiżanek i słuchanie muzyki. Amerykański kompozytor Cole Porter napisał *Don't fence me in* w roku 1934. Erwin uwielbiał tę piosenkę.

– Nikt nie musi o tym wiedzieć, Vicky – usłyszała własne słowa. – To niebezpieczne. – Przestraszona zakryła dłonią usta. Zaczęła się dusić i zebrało jej się na wymioty. – Już dobrze – wyszeptwała Betsy. Próbowwała wytłumaczyć samej sobie, że nie musi już umierać na tysiąc sposobów, nim śmierć przyjdzie naprawdę. Strach opanował jednak jej ciało. Zamknęła oczy, powtarzając sobie, że musi oddychać tak delikatnie, żeby w razie czego można ją było wziąć za martwą. Mimo to natychmiast pojęła, że ten wysiłek był daremny.

Nie pierwszy raz podczas tej niekończącej się podróży, której celem podobno był Frankfurt, Betsy zanurzyła się w świat umarłych. Za każdym razem, gdy to sobie uświadamiała, kręciło jej się w głowie. Ciągłe widziała Vicky i z nią rozmawiała. Kiedy tylko obraz jej najpiękniejszej i najtrudniejszej córki ją opuszczał, zastanawiała się, czy te wypadki w przeszłość zwiastują chorobę psychiczną, czy też takie zmiany miejsca i czasu są typowe dla starszych kobiet. Dręczyła ją własna słabowitość. Coraz chętniej skłaniała się ku myśli, że może jest chora psychicznie. Gdyby przestała jej działać głowa, nie wiedziałyby już o tym, że nie udało jej się ochronić męża, Vicky i jej małego rozczochranego synka Sala. Betsy pomyślała o gramofonie stojącym w jej mieszkaniu, o umarłych członkach rodziny i o nigdy nietracącej nadziei pani Feuereisen, matce jej zięcia. Do ostatniej chwili w Theresienstadt wierzyła ona, że jeszcze zobaczy syna.

Betsy Sternberg powróciła z piekieł. Niemiłosierny Bóg skazał ją na przeżycie. Pierwszej środy czerwca 1945 roku, o dwunastej, znajdowała się wraz z towarzyszami niedoli zaledwie dziesięć kilometrów od Frankfurtu. Po doświadczeniach tych czterech lat ludzie w autobusie wojskowym, którzy przeżyli czasy umierania, uznawali tę długą podróż nie tyle za mękę, ile za wyprawę ku nierzeczywistości. Znowu przebywali drogę ku nieznanemu, był to dla nich kolejny krok w stronę wiecznego zwątpienia. Na trasie mieli tylko kilka przerw, między innymi nocleg w amerykańskim obozie w Ratzbonie w Bawarii. Dostali tam na kolację grubą białą fasolę, słodki sos pomidorowy i czekoladowe ciasto z lodami waniliowymi. Prawie nikt nie tknął tych potraw. Chorzy, starzy, na wpół przytomni, mężczyźni, kobiety i jedna trupioblada dziewięcioletnia dziewczynka, która nie powiedziała ani słowa i próbowała wcisnąć sobie lody pod bluzkę. Musieli spać na łózkach polowych i w ciągu godziny dwukrotnie ich odwszawiano. Lekarz wojskowy z ręką na temblaku rozdał tabletki przeciw biegunce, a jego asystentka z ustami pomalowanymi na ognistą czerwień poradziła, by przeszli się wokół bloku i „pomyśleli o czymś ładnym”.

– Frankfurt nad Menem! – krzyknął kierowca Pat tak głośno, że aż sam się przestraszył. Na chwilę zakrył prawe ucho. Wesoły chłopak z Arkansas wymówił te trzy słowa w taki sposób, że nikt w autobusie nie wiedział, o czym mowa. – Tak – krzyknął Pat.

Podkreślił na cały głos radio stojące na siedzeniu pasażera między dwiema wieżami z konserw, na których napisano: *Only for army dogs*<sup>[8]</sup>. – *Good old Ike*<sup>[9]</sup> – wykrzykiwał radośnie.

Spiker przeczytał popołudniowe wiadomości. Betsy przez cztery lata uczyła się angielskiego w szkole dla panien, a potem przepytowała sześcioro swoich dzieci z angielskich słówek, ale teraz nie rozumiała nawet prognozy pogody. Znowu zaczęła sobie wyobrazać, jakim niesłychanym błogosławieństwem byłoby, gdyby mogła zapomnieć o przeszłości. To życzenie jednak, ta nieśmiała tęsknota sprawiła, że się zawstydziała, aż zrobiło się jej ciężko na sercu.

– Jeszcze mam tyle do zrobienia – wymamrotała w stronę nieruchomo siedzącej sąsiadki. – Tyle spraw.

Ku jej zaskoczeniu kobieta się wyprostowała i spojrzała na Betsy.

– Może pani dziękować Bogu. Ja już tylko czekam na śmierć – powiedziała wyraźnie, prawie ostro.

Po wiadomościach w radiu zabrzmiała melancholijna piosenka *Ol' Man River*.

Betsy przypomniała sobie od razu, że to był utwór z musicalu *Statek komediantów*. Clara dała tę płytę Annie na urodziny. To był wspólny pomysł. Cała rodzina zasiadła przy gramofonie, na podłodze wnuczka Betsy Claudette i najmłodsza córka Alice, pomiędzy nimi zielonooka Fanny z kciukiem w buzi. Na niewielkim afgańskim dywaniku ze śladami po marchewce, sięgającymi czasów, które pamiętała tylko pani domu, przycisnął się Snipper i machał ogonem. Wesoły foksterier miał taką samą sierść jak piesek z okładek płyt firmy His Master's Voice. Nawet Johann Isidor, który nie lubił psów, śmiał się ze Snippera.

– Jak on się śmiał – powiedziała Betsy. – Boże drogi, że też muszę to tak dobrze pamiętać. To niesprawiedliwe.

Miała wrażenie, że ciągnące się przy drodze drzewa nieustannie rosły. Zarówno wzdłuż, jak i w szerz. Nieprzekraczalny mur smolistych drzew. Z oczu Betsy popłynęła paląca woda. Nie było ucieczki od tego szumu, z tego świata pozbawionego światła i powietrza. Czarne chmury zasłoniły niebo. Betsy wyciągnęła ręce przed siebie, ale było już za późno. Rzuciła się w stronę drzew i oślepla. Dobrze jednak widziała Victorię i małego Sala. Jakiś człowiek wepchnął ich do pociągu. Rzucił się w stronę Betsy. Chciała krzyczeć, ale podobnie jak wtedy, nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– Proszę siedzieć spokojnie. Zaraz pani na mnie spadnie – ofuknęła ją kobieta w autobusie.

– Kto siedzi, ten nie spada – broniła się Betsy.

Nie wiedziała, czy nadal była wśród żywych, czy też udało się jej wskoczyć za Victorią do pociągu. Wtedy usłyszała piosenkę – w radiu nadal grali *Ol' Man River*. Ten wzruszający utwór wołał ją z powrotem, był dającym ulgę snem, którego Betsy uczepliła się w tych okrutnych latach.

– Znowu zapalili światła – powiedziała.

– Spała pani. Zazdroszczę ludziom, którzy zawsze i wszędzie mogą usnąć.

Ta jasność była bezlitosna. Betsy widziała przed sobą zatrute promienie słoneczne. Zakryła twarz rękami. Krzyknęła z całych sił, bo zdała sobie sprawę, że już nie kontroluje tego, o co błaga – tego, co długo było zrozumiałe i kiedyś nawet ją chroniło. Znieruchomiała, nakazała swojemu ciału spokój i poczuła, jak opuszczają ją strach i bezsilność. Tylko jedno ją irytowało: gryzący zapach środka dezynfekującego, którym od momentu wyjazdu z Ratzbony kierowca przecierał kierownicę i deskę rozdzielczą, a od czasu do czasu także własne czoło.

Pat Czyścioszek śpiewał jeszcze *Ol' Man River*, chociaż radio mu już nie



wtórowało. W jego wykonaniu ta melancholijna piosenka brzmiała walecznie, może nawet radośnie. Kierowca miał najwyżej dwadzieścia trzy lata, grube dłonie i niezwykle długie ramiona. Jego twarz okraszały piegi. Geografia Europy była mu najwidoczniej obca – wielokrotnie stawał przy drodze, aby przeglądać mapy i odręczne zapiski. Raz zapytał siedzącego za nim mężczyznę: „*Is this Germany or Australia?*”<sup>[10]</sup>. Bez wątpienia chodziło mu o Austrię, bo wspomniał potem graniczne miasto Lofer i pokazał na mapie górę, która wyglądała jak Matterhorn.

Głos Pata nie brzmiał władczo, był to głos mężczyzny, który pociesza pokonanych i chce ich wyciągnąć z ciemności na słońce. Teraz gwizdał wesoło melodię *Whistle while you work* z filmu o Królownie Śnieżce. Wreszcie krzyknął ponownie: „Frankfurt nad Menem”, i z całej siły nacisnął klakson. Zdjął ręce z kierownicy, spojrział w prawe okienko i zaśmiał się jak dziecko pierwszego dnia wakacji.

– *Good old Ike* – wrzasnął, położył lewą rękę na sercu i powiedział zamyślnym tonem: – *God bless America*<sup>[11]</sup>.

Tym razem Betsy od razu zrozumiała, że wesoły chłopak za kierownicą mówił o mieście, które kiedyś było jej domem. Jej tętno przyspieszyło, ciało odmówiło posłuszeństwa, każdy oddech sprawiał ból. Mimo to udało się jej obronić przed wspomnieniami z ostatniego dnia we Frankfurcie. Obrazy były łaskawie niewyraźne. Betsy widziała tylko poranną mgłę tamtego dnia, skazani na śmierć nie mieli twarzy. Nie mogła jednak uwolnić się od przerażającego głosu. Jeszcze w autobusie wyzwolicielei słyszała wrzaski człowieka z SA, który popędzał ich przed Wielką Halą Targową. Tym razem jednak Bóg wysłuchał jej modlitw. Anioł wyrwał szatanowi broń i powiedział, że nie może już jej dręczyć.

– To nic – uspokoiła swoje serce – zupełnie nic.

Potem kazała Fanny obiecać, że nie będzie się odwracać.

Kobieta obok krzyknęła.

– Proszę pozwolić żyć temu dziecku – błagała – tylko dziecku. To takie dobre dziecko. – Z oliwkowego koca z napisem *Property of the US Army*<sup>[12]</sup> wystawały jej tylko ramiona. Były tak suche jak obumarłe gałęzie, a jej oczy były martwe.

– Proszę się nie bać – uspokajała Betsy szlochającą kobietę. – Już nie musimy się bać. To już minęło.

– Ten, kto się nie boi, jest już martwy – odpowiedziała tamta. Jej głos był zaskakująco mocny. – W obozie ciągle to powtarzano. Pani też to pewnie słyszała.

– Oczywiście – odparła Betsy – słyszałam, ale nigdy w to nie wierzyłam. Kiedyś

żyliśmy bez strachu.

To był prawdziwie czerwcowy dzień. Nawet w obozie Betsy nie zapomniała, jak wyglądało lato w alei Rothschildów. Róże w ich przydomowym ogródku były najbujniejsze w okolicy. Nie, Josepho, nie zrywajmy ich. Niech każdy przechodzień cieszy się naszymi różami.

Na chodniku przed domem Victoria bawiła się ze swoją przyjaciółką Marie Hickelkreis. Białą kredą namalowały koła i kwadraty, które miały przedstawiać niebo i piekło. „Jestem w niebie” – cieszyła się Victoria. Stała na jednej nodze, w żółtej sukience i drogim naszyjniku od ciotki Jettchen, którego nie mogła nosić do szkoły – mimo to ciągle to robiła. Czy możesz choć raz mnie posłuchać, Vicky? Dlaczego nie pozwalasz Mariechen namalować nieba? „Mariechen powiedziała, że nieba nie ma. Co niby miałyby namalować?” – odpowiedziała.

– Ciągle widzę ją jako dziecko – wyjaśniła Betsy siedzącej obok kobiecie. – Vicky była najpiękniejsza z moich pięciu córek, ale uparta jak osioł. Tak do tego doszło. Może w Holandii udałoby się jej przeżyć. – Przez chwilę zastanawiała się, czy do swoich córek wliczyła także Annę. Dzieci liczyła na palcach. Nawet Ottona. – Zginął w 1915 roku – powiedziała głośno. – Nie, w 1914 – poprawiła się. Stropiło ją, że pomyliła się co do roku śmierci syna.

Autobus przejechał przez dziurę po wybuchu. Pat odwrócił się, jednocześnie zaklął, zaśmiał się i głośno wrzasnął: „Wow!”. Obudziło to śpiących pasażerów, a ci, którzy czuwali, skulili się. Betsy chciała sięgnąć po ramię Johanna Isidora. Zaraz potem przysłała Anna. Nie mogła się do niej odezwać, bo Fanny byłaby zgubiona. Jak jej brat. Lepiej może znowu powąchać róże z alei Rothschildów i zobaczyć, jak Vicky skacze na chodniku. Do nieba, Vicky, nie do piekła. Przecież wiesz, gdzie jest niebo.

Ramiona Betsy odłączyły się od jej ciała. To samo stało się z nogami. Nie przestawała czuć ognia w gardle. Czy to była przedśmiertna gorączka, o której wszyscy mówili, czy tylko wyczerpanie tym, że wymagano od niej, by dalej żyła? Bez Johanna Isidora, bez Victorii, bez Sala. Tylko nie pytać, gdzie się podzieli ci wszyscy, których kochałaś, po prostu nie rzucać się w oczy, nie potykać się na drodze do śmierci, bo zagraża się wtedy ludziom, którzy mają jeszcze życie przed sobą. Anno, przyjdź wreszcie. Jeśli teraz nie przyjdiesz, będzie za późno.

– Anna była z nas wszystkich najodważniejsza – stwierdziła Betsy. Wiedziała, że mówi za głośno. Potrząsnęła głową i wbiła paznokcie prawej ręki w lewą – przyzwyczajenie z dzieciństwa. Robiła tak, gdy coś nieoczekiwanego stawało jej na

drodze. W ten sposób sprawdzała, czy w ogóle żyje. A może to wszystko jej się przyśniło. – Nasza Anna nie mówiła wiele, ale zrobiła to, co trzeba było zrobić. Dotrzymała obietnicy, chociaż była w zaawansowanej ciąży. Jeszcze ostatniego dnia o niej rozmawialiśmy.

– Moje dwie córki i czworo wnucząt. I mąż, oczywiście. Wszyscy w pierwszych dwóch tygodniach w Theresienstadt zostali wysłani na wschód. Tylko o mnie zapomnieli.

– O mnie też – odpowiedziała Betsy. – Nigdy tego nie zrozumie, dlaczego nie było mnie na żadnej liście. Może dlatego, że pracowałam w przedszkolu. Ciągłe powtarzano, że ci, którzy pracują w przedszkolu, są ostatni w kolejce.

Nawet przez grudki gliny, kurz i martwe komary, którymi usmarowane były szyby autobusu, przebijały się promienie słońca. Powietrze drgało od upału. Chmury przesunęły się niczym statki płynące ku błękitnemu bezkresowi. Na brzegu strumienia błyszcząły bujne kaczeńce. Uwaga, dzieci, kaczeńce są niebezpieczne! Przy podziurawionych przez bomby ulicach rosła mocna, żywozielona trawa. Trawa pokoju! Drzewa wiśniowe także przetrwały ogień lecący z nieba. Owoce błyszcząły na nich czerwonym blaskiem. Czarno upierzone ptaki z żółtymi dzióbkami skakały po gałęziach i zbierały obfite żniwo. Czy to były kosy? Betsy zdziwiła się, że nadal pamiętała to słowo. W Theresienstadt nikt nie mówił o ptakach. Czy w ogóle tam jakieś były? Dopiero po odjeździe autobusu z Ratzbony Betsy zobaczyła wróble, pierwsze od lat.

To jest wróbel, Erwin, a nie grubel. Kiedy nauczysz się porządnie mówić? „Kiedyś – roześmiał się Erwin – kiedy będą biedy”. Miał trzy lata i był pupilkiem Josephy. Mówiła o nim „mój pieścuch” nawet wtedy, gdy chodził już do gimnazjum, i potajemnie wciskała mu pieniądze, żeby ojciec nie dowiedział się, że chłopak regularnie przepuszczał kieszonkowe na gry i zakłady. Josepho, proszę nie pozwolić mu podjadać tortu. To ciasto dla pań z mojego kółka. Moje kółko! Co za słowo! Idiotyczne! Takie słowa pasują do ludzi, którzy mieli złudzenia, że pewnego dnia Żydzi będą mogli obracać się w niemieckich sferach wyższych i żenić ze szlachciankami.

Zakłopotana Betsy uciekła ze świata plotkujących mieszczek i bogato zastawionych stołów. Wydało jej się, że słyszy śmiech Erwina. Nigdy nie śmiał się głośno, raczej drwiąco się podśmiewywał, miał cięty dowcip i był mądry.

– Tak – potwierdziła Betsy – mądry. A nawet najmądrzejszy.

Jak miał się dowiedzieć w tej Palestynie, że jego matka nadal żyje? Od 1939 roku nie dostała żadnej wiadomości ani od niego, ani od Clary i nie pamiętała już, czy mieszkali w Hajfie, czy w Tel Awiwie. O Alice wiedziała tylko, że wyszła za mąż

i mieszkała w Afryce Południowej, ale nie znała nawet jej nowego nazwiska.

Nagle uświadomiła sobie, że nie miała też adresu Anny. Czy nadal nosiła nazwisko Haferkorn, czy wreszcie udało się im z Hansem pobrać? Czy ich poszukiwanie nie będzie dla niej nową porcją cierpienia? Co, jeśli powiedzą jej, że cała ta odwaga na nic się zdała i że naziści znaleźli Fanny i ją deportowali?

– Dzieci też zabierali – powiedziała na głos.

– Wszystkich zabierali – dodała kobieta obok.

Stado jaskółek poleciało wysoko. W dzieciństwie Betsy rysowała je jako grube czarne kreski na białym papierze. Jasne, białe światło. Jak na Sycylii – pomyślała nagle. Kiedyś ktoś przysłał jej pocztówkę z Palermo. Kto? Kiedy? Kto podróżował po Sycylii i wysyłał kolorowe pocztówki? Kto tak sobie mógł się wybrać w taką podróż?

– Ja już nigdy nie będę mogła, przysięgam – powiedziała. Odebrało jej mowę, gdy zobaczyła swoją dłoń – dłoń bezradnej kobiety zaciskającą się w pięść. Głośne monologi z Bogiem zawsze uważała za coś prymitywnego, niegodnego. Jej głowa płonęła. Oparła ją o chłodną szybę, przed oczami zamigotały jej iskry, potem zobaczyła kulę ognistą, zobaczyła zniszczenie i śmierć. – Boże drogi, przecież przeżyłam nie tylko ostatnie cztery lata. Przeżyłam też 1933 rok – wyjęczała. Dlaczego każde westchnienie huczało jej w uszach jak piorun, gdy tylko przestawała się pilnować? Na pewno wcześniej tak nie było. – Na pewno nie – stwierdziła.

Frankfurt był już na wyciągnięcie ręki. Nie czuła podniecenia ani radości. Nie ma radości w mieście, które oddało swoich mieszkańców w ręce kata. Czy to był wreszcie koniec zdradzieckich informacji i kłamstw ratujących życie? Fałszywego współczucia i wielkich słów? Przed oczami stanęły jej jednak przyjemne, piękne obrazy. Widziała szare domy ze smukłymi kominami, wieże kościołów i mosty. Widziała Men, wielkie parki, małe przytulne skwery i szerokie aleje. Widziała kwitnące wiosenne drzewa, pozdrawiała te z ogromnymi koronami, które jesienią odziewały się na złoto, a w listopadzie nosiły żałobę. Taką, jaką miała teraz w sercu.

Wspomnienia z tego nieistniejącego już świata wydały jej się bezwstydnymi i sadystycznymi kłamstwami. Każdy obraz łudził, że nikomu z rodziny Sternbergów nie przydarzy się nic złego. W drzwiach domu przy alei Rothschildów 9 stał ceniony kupiec Johann Isidor Sternberg. Patrzył na dach, nad którym latały gołębie, zacierał ręce i mówił: „Własność zobowiązuje”. Lubię słuchać, jak to mówisz – zaśmiała się Betsy. Nasze dzieci też się muszą tego nauczyć. „Od kiedy to dzieci uczą się od ojców?”

W ogrodzie zimowym egzotyczne rośliny wypuszczały kolorowe kwiaty, ptaki świergotały na drzewku wiśniowym za domem. W kręgu przyjaciół ceniono marmoladę od Sternbergów. A pani Meyerbeer była zazdrosna, bo jej marmolada nigdy nie była tak gęsta. Na kuchennym parapecie stały dwa garnuszki z biało-niebieskimi naklejkami. Josepho, na litość boską, proszę oszczędnie ze szczypiorkiem. Będzie potrzebny jeszcze na święta.

Obrazy były bezlitosne. Siały spustoszenie w głowie i biczowały duszę. Uderzały niczym mordercy w mundurach, którzy bili mężczyzn, kobiety i dzieci w bydłych wagonach podążających na wschód. Zamknij oczy, Betsy. Nie myśl już, nie patrz w przeszłość, nie miej żadnych nadziei, żyj tylko. Obiecałaś to mężowi. Kto ma dzieci, nie może się poddać. To byłby grzech.

Jej dobra pamięć zawsze zaskakiwała Johanna Isidora i dzieci. Ale to przede wszystkim Josepha nie chciała wierzyć, że to normalne, iż Betsy pamiętała każdą drobnostkę. Josepha była wsparciem rodziny, troskliwą kwoką, ukochaną zaufaną domowniczką, a miała ledwie dwa lata więcej niż Betsy. Bez czarnego notatnika wierna służąca z pewnością przepadłaby jednak już na samym początku. Nie wiedziała, jaką gazetę dla pana domu należało położyć do śniadania, a jaką w salonie. Stawiała niewłaściwy dzbanek do zielonych filiżanek ze złotą obwódką. A także nieustannie myliła siostry Betsy, które przyjeżdżały z Pforzheim. Erwin zawsze się z Josephą drażnił. „Nie przejmuj się, Josepho, Najważniejsze, że nie dajesz ojcu «Die Gartenlaube» i że nie musimy pić ze spodków. Wiesz przecież, że jesteśmy bardzo wyrafinowani. «Die Gartenlaube» czytamy tylko w piwnicy, gdy nikt nas nie widzi, no i picie z talerzyków jest niewygodne”.

Ach, gdyby tak jeszcze kiedyś usłyszeć żarty Erwina. Powiedzieć mu wreszcie, jak bardzo jej przykro, że wraz z ojcem tak surowo się z nim obchodzili i zbyt późno odkryli jego prawdziwy charakter. Jeszcze w dniu poprzedzającym ich deportację na wschód Johann Isidor mówił, że Erwin zawsze tak bardzo troszczył się o swoje siostry, a przede wszystkim o małą Claudette. Miałaś rację, Josepho – przepraszała w myślach gospodynię. Erwin naprawdę był wyjątkowy, ale jego niby taka sprytna matka była ślepa. Jak kret.

Czy Josepha przetrwała wojnę, bomby i cały ten strach? Jeśli tak, to gdzie? Ostatniego dnia frankfurckiej ery Sternbergów przyszła nocą do ich kwatery, uparta jak zawsze. Nie chciała pojąć, że to pożegnanie na zawsze. Nie była też przekonana, że Palestyna leży tak daleko, że jest niedostępna jak księżyc. Josepha Krause z Bad Nauheim, która nigdy nie przekroczyła granic ziemi frankfurckiej, nie rozumiała, że

Johann Isidor, Betsy, Victoria i dwoje jej dzieci prosto spod Wielkiej Hali Targowej trafią do piekła. „Proszę nie płakać, Josepho, nie tutaj, nie dzisiaj. Fanny i Salo jeszcze nic nie wiedzą”. Być może Josepha, która nigdy nie rezygnowała, miała jakiś kontakt z Anną. Ona była ulepiona z tej samej gliny. Niechże Josepha przestanie mieć nadzieję, na litość boską. Kiedy wreszcie pojmie, że Bóg nie dał jej głowy po to, by waliła nią w mur?

Wstyd i zwątpienie targają Betsy. Dlaczego tak rzadko myślała o Josephie w Theresienstadt? Nie zobaczy pewnie już jej twarzy, zapomniała całą jej dobroć, odwagę i przywiązanie. To Josepha w dniu bojkotowania Żydów poszła do piekarni po chałkę. Jakby to było coś oczywistego. Nigdy pani tego nie zapomnimy, Josepho! Ona to wtedy powiedziała czy Johann Isidor? Dlaczego Betsy Sternberg, której dobry charakter wszyscy cenili, pozwoliła sobie tak złodowacieć? Tylko po to, by przetrwać, wyrzuciła z serca wszystkich, których kochała.

Już nie pamiętała, że w Theresienstadt poddawanie się tęsknocie za przeszłością i troska o ukochanych oznaczały wyrok śmierci. Kto był słaby i choćby na moment uciekał od okrutnej rzeczywistości we wspomnienia, był już martwy. Jednak ciągnęło ją do rozmowy z ludźmi, chociaż nauczyła się – i tego doświadczyła! – że każde słowo skierowane do obcych jest niebezpieczne.

– Josepha była naszą kucharką – tłumaczyła swojej zeszywniałej ze strachu towarzysze niedoli. – Dbała o nas jak matka o dzieci. Nie sądzę, by zrozumiała, że nikogo już nie ma. Była zupełnie od nas zależna. A my od niej. Myślę, że mój syn Erwin bardziej był przywiązany do niej niż do mnie. Gdy przychodził ze szkoły, nie wołał mnie, tylko Josephę. Już na schodach! Zawsze mnie to złościło.

Kobieta podciągnęła koc. Widać było już tylko jej ptasią głowę, spiczasty biały nos i martwe oczy. Na chwilę na jej twarzy pojawił się wyraz ponurej dezaprobaty.

– Ja zawsze gotowałam sama – przerwała ostrym głosem. – Mojemu mężowi nie smakowałyby kuchnia innej kobiety. Na litość boską, nigdy! Nie znosił nawet, gdy jego własna matka przygotowywała w piątek karpia. Powtarzał, że ryba jego mamy smakuje jak tektura. Słodzona tektura. Mój Arthur dobrze wiedział, czego chciał. Z każdą kucharką szybko zrobiłby szlus. A mogliśmy sobie bez kłopotu na taką pozwolić. Mogliśmy sobie pozwolić!

Betsy wyczuła, że kobieta obok wyrzuca jej posiadanie kucharki. Chciała tę rozmowę zakończyć, ale nie pamiętała już tych towarzyskich zwyczajów mieszczańskiego życia – nie wiedziała, jak ktoś, kto się wygłupił, mógł pokryć swoje zakłopotanie.

– Ach – powiedziała tylko. Po chwili zapytała, chociaż nie oczekiwała odpowiedzi:  
– Dlaczego?

Po raz kolejny poczuła wyraźnie, jak niedorzeczny i męczący był powrót do Frankfurtu i udawanie, że to jakiś nowy początek. Może nawet z białymi obrusami, serwetkami na kolanach i filiżankami? Czy ktoś w ogóle spytał wdowę po Sternbergu, której mąż, córka i wnuk zostali jak paczki wysłani na wschód na śmierć, czy chce znowu mieszkać we Frankfurcie? A gdyby nawet ktoś spytał, co by odpowiedziała? Dziękuję, są państwo zbyt uprzejmi, aż się palę, by wrócić do Frankfurtu i udawać, że nic się nie stało i że nigdy stamtąd nie wyjeżdżałam? Proszę mi powiedzieć, gdzie znajdę swoją rodzinę i swój dom, swoje meble i srebra swojej babki?

– Stary mężczyzna z długą białą brodą, który siedzi z tyłu, opowiedział mi wczoraj przy kolacji, że to sam burmistrz rozkazał, by frankfurccy Żydzi zostali tu przywiezieni z Theresienstadt – zagała Betsy.

– Wierzy w to pani? – zdziwiła się kobieta pod kocem. – Szanowny pan burmistrz mógł się raczej postarać o to, żeby w ogóle nas nie deportowano. Nazywa się Krebs – dobrze to pamiętam. Przez te lata nie zapomniałam jego nazwiska. Przez cały ten czas.

– Być może jest tam teraz nowy burmistrz. W każdym razie byłoby to zrozumiałe. Może ten nowy chce pokazać, że nie jest żadnym nazistą. O Boże, to Men! – wyrwało się Betsy. – To musi być Men. Tak. Na pewno!

Wszystkie frankfurckie mosty zostały w ostatnich dniach wojny wysadzone przez Niemców. Jedynie zbudowany przez wojsko amerykańskie most pontonowy łączył oba brzegi. Domy po stronie frankfurckiej leżały w ruinie, ale panorama miasta wydała się Betsy swojska. Jej oczy płonęły. Poczuła ciepło w kończynach i jednocześnie pewną przekorę, której nie chciała sobie tłumaczyć, ale która nie była dla niej przykra. Czy to możliwe? Czy to nie zdrada wobec tych, co stracili życie, pamiętać dobre rzeczy, które wydarzyły się we Frankfurcie? Czyżby rzeka i niebo nad nią, trawa na brzegu i drzewa nie były tymi samymi co w dniach obfitości? Betsy uznała za swój obowiązek nie cieszyć się więcej pięknem. Piękno jest tylko dla żywych. Czy więc ten prosty brak strachu oznaczał już bezpieczeństwo lub wręcz nową pewność? Martwym ta pewność na nic się już nie przyda, a ona, Betsy Sternberg z Frankfurtu, była martwa.

– Oddychać głęboko – napomniała się Betsy. – Nie ruszać się, gdy to się dzieje. Nie wołać do Boga i nie zwracać na siebie uwagi. Bóg umarł.

Własny głos dudnił jej w uszach, przygotowała się na ostatnią podróż, ale śmierć przeszła obok. Tak jak wtedy. Oszołomiona patrzyła na Men. Mieniące się światło męczyło jej oczy, ale mimo to była znowu młodą i zamożną, powszechnie szanowaną

madame Sternberg – z kucharką i opiekunką do dzieci oraz w purpurowym boa na szyi. Z bliźniakami chodziła spacerować do parku Nizza nad Menem, ale dzieci uciekały i nie wiedziała, gdzie ich szukać. Ciągłe wołała Clarę i Erwina. A te wiecznie nieposłuszne brzdące siedziały za wielkim drzewem, rzucały w spacerujących i psy łupinami orzechów i wykrzywiały twarze w groźnych grymasach. Tylko dzieci z bogatych rodzin ważyły się na tak bezwstydną zachowanie. Dosyć – ostrzegęła Betsy. „Czego dosyć?” – pytała Clara.

Spod mgły wspomnień wychynęły stare pocztówki. Widniały na nich katedra i ratusz, stare domy w Sachsenhausen, dzbany i precle. Na ich odwrocie – „Pozdrowienia z ojczyzny” pismem sütterlinowskim. Cudowne śnieżnobiałe mewy latały na modrym niebie. Gołębie pokoju – ucieszyła się Betsy. „*Nebich*<sup>[13]</sup>, tylko gołębce pokoju” – odpowiedział Johann Isidor. „Ale nie będzie już pokoju. Dla nas nie będzie już pokoju”. Skąd możesz to wiedzieć? Może być też lepiej. „Oby się szanowna pani nie rozczarowała. Nie będzie lepiej”.

Gdy mąż wypowiedział te słowa, pojawiła się twarz jego dawnego wspólnika z firmy produkującej kartki pocztowe – Piusa Ehrlicha. Ukłonił się Betsy i wyjaśnił, że nie ma powodu się przed nią ukrywać. „Najmniejszego” – powtórzył dwukrotnie. Głowę nosił wysoko i się uśmiechał, ale Betsy to nie zmyliło. Co do Piusa Ehrlicha się nie myliła. Po spaleniu synagog wziął sobie dwie z trzech parceli Sternbergów. Prawdopodobnie przejął także pasmanterię przy Hassengasse oraz dom przy alei Rothschildów 9.

– Pius Ehrlich, uczciwy człowiek – krzyknęła. Jej głos wybrzmiał nieznośnie głośno. Gardło jej płonęło, potem poczuła ogień w całym ciele. Próbowała obronić się rękami, ale płomień postępował. Wołała tych, którzy nie mogli już nadejść.

– Uczciwy? Jak może pani używać takich słów? Niemcy od początku nie byli uczciwi – skrzywił się starszy mężczyzna siedzący za kierowcą. Kręcił małą głową i wymachiwał przed nosem Betsy śnieżnobiałą pięścią, nie większą niż u dziesięciolatka. – Uczciwy – wysapał. – Wielkie nieba. Proszę nie mówić, że to słowo jeszcze coś dla pani znaczy! Gdzie spędziła pani ostatnie lata? W sanatorium? Dobrze sobie, sanatorium Theresienstadt. Muszę to zapamiętać.

– Nie chciałam pana urazić – wyjąkała Betsy – naprawdę. Nie pomyślałam o tym. Nie to miałam na myśli. To było zupełnie coś innego. Tylko nie umiem tego wyjaśnić.

Wydawało jej się, że widzi katedrę. Mimo skwaru panującego w autobusie jej palce skostniały z zimna.



– Nie może być – wymamrotała. – Katedra nie wyszła z tego bez szwanku. Bóg nie chroni swoich domów. Nie ocalił też płonących synagog.

Do Betsy Sternberg znowu mówiono, nazywając ją imieniem i nazwiskiem, a obcy ludzie regularnie i z troską jej doglądali, jakby w Niemczech istniał urząd, który zajmował się fizycznym i duchowym stanem tych, którzy przeżyli obozy koncentracyjne. Teraz miała wrażenie, że widzi operę. Szukała w pamięci, czy opera miała kiedykolwiek jakieś znaczenie dla rodziny Sternbergów. Czy było to miejsce przyjazne, przytulne, ładne? Wydawało jej się, że przemierza góry i przeskakuje mury. Nic nie słyszeć i niczego nie widzieć, tylko szare postacie we mgle, które z niej szydziły i deptały ją czarnymi oficerkami. Przypomniała sobie jednak, że operowe przedstawienia były istotną częścią życia rodziny, tak jak spotkania z przyjaciółmi w kawiarniach, teatr czy kino. A w dni świąteczne pójście do synagogi. Nie zapomniała, że synagoga na Börnestrasse spłonęła, tak jak cmentarz i prawdopodobnie wszystko inne. Czy była jeszcze jakaś synagoga we Frankfurcie?

– Skoro nas tu przywieźli, musimy mieć synagogę – powiedziała do swej towarzyszki podróży.

– Ależ ma pani problemy – odburknęła kobieta.

Betsy potarła oczy tak mocno, że aż zobaczyła małe kolorowe punkciki na czarnej powierzchni. Jednak nie popłynęła jej ani jedna łza. Zawstydziała się, że w ogóle pomyślała o łzach. Żona, której męża zamordowano, matka, której córka nie mogła przeżyć, babka, która nic nie zrobiła, by ocalić wnuka – taka kobieta już nie płacze.

– Był tylko dzieckiem – powiedziała. – Nie można wysyłać dziecka na śmierć.

Betsy dostrzegła odbicie swej twarzy w szybie autobusu, ale nie chciała patrzeć w oczy tamtej kobiecie. Sparaliżowała ją świadomość, że nie miała niczego – żadnej rzeczy i żadnej nadziei. Nawet sprana różowa koszula o poplamionych ramiączkach, którą miała na sobie od wyjazdu z Theresienstadt, nie była jej własnością. Wygładziła ręką spódnicę ledwo zakrywającą kolana. Uszyto ją z grubego materiału w kolorze listopadowej szarości. Była na nią za duża i zdecydowanie za ciepła jak na letnie ubranie. Betsy miała na sobie jeszcze bluzkę z długim rękawem – białą w małe czarne kropeczki i z obfitą falbanką przy piersi. Wyglądała w niej, jakby pochodziła z zamożnej rodziny. Zimowa spódnica i biustonosz nie pasowały do kobiety, która latami głodowała i straciła piętnaście kilogramów. Koszulę i oliwkowe kalessony Betsy otrzymała w dniu wyjazdu wraz z brązowym szalem, bardzo grubymi sznurowanymi butami, które były o numer za duże, i dwiema lewymi rękawiczkami. Paczkę z ubraniami zapakowano w brązowy papier i opatrzono informacją *Property of the US*

*Army.*

W dniu wyzwolenia pracownica Czerwonego Krzyża dała jej szarą sukienkę i sandały o zniszczonych podeszwach. Zabrała je jednak młoda kobieta w mundurze armii amerykańskiej, która ze względu na zakaz fraternizacji nie rozmawiała z żadną osobą mówiącą po niemiecku. Swoje współczucie okazywała tylko kręceniem głową i rzucaniem przekleństw. Tuż przed odjazdem autobusu dała Betsy i jednej otepiałej, bezzębnej staruszce papierosy, batoniki czekoladowe z napisem „Hershey’s”, gumę do żucia i świece.

Betsy była zbyt wyczerpana, by się zastanawiać, po co jej guma do żucia i świece. Najważniejsze, że nikomu nie udało się zabrać jej papierosów, które ukryła pod koszulą. Papierosy były środkiem płatniczym. Można było za nie dostać chleb, masło, mięso i lekarstwa, nawet życie! Erwin, jeśli jeszcze raz przyłapię cię na paleniu w spiżarni, powiem ojcu. Skoro nie przejmujesz się swoim zdrowiem, to przynajmniej nie spal domu swojemu rodzeństwu.

Dzieci bawiły się w salonie. Victoria wzięła żołnierzyki Ottona. Johann Isidor czytał „Frankfurter Zeitung” i mówił, że w tym mieście nic złego się Żydom nie przydarzy. Frankfurt wiedział, co zawdzięcza swoim żydowskim obywatelom. Tak – zgodziła się Betsy. Usiadła przy pianinie, a Josepha przyniosła dzbanek malinowej lemoniady. Nie wypij wszystkiego, Erwin, zostaw coś siostrze. Musi być sprawiedliwie.

Pierwszy raz od wyruszenia w tę podróż Betsy cieszyła się siłą tych obrazów. Odważyła się nawet zapalić świece szabasowe. Josepha w czarnej sukience i białym fartuchu wniosła wazę. Nie baw się nożem, Fanny. Zachowuj się jak dama.

– Już dosyć – krzyknęła Betsy. – Dosyć! – Złapała się za szyję i przysięgła Bogu, na którego się gniewała, że nigdy już tego nie zrobi, nie zda się na piękne obrazy, na Mozarta i śmiech dzieci. Jest już za późno. Śmierć przyniosła ogień, wykrzywiła twarz w grymasie i skinęła na Betsy. Na czarnym płaszczyku Fanny naszywała grubą nicią żółtą gwiazdę. Siedemdziesięcioletnia kobieta nie ma już wielkiego wyboru, stwierdziła śmierć.

Betsy zrozumiała to przesłanie z piekieł. Przeżyła samą siebie. Jako martwa kobieta wracała do Frankfurtu. Jej ręce i nogi były sztywne, ucisk w głowie tak przemożny, że niczego już nie słyszała ani nie widziała. Wtedy wezwała pomocy. Jej głos zabrzmiał donośnie, jak głos mężczyzny, ale nikt nie nadchodził. Ani ten przyjacielski kierowca o twarzy chłopca, ani Josepha, która zawsze gotowa była nieść jej pomoc w potrzebie. Johann Isidor już nawet nie patrzył na kobietę, z którą przeżył w małżeństwie prawie

pięćdziesiąt lat. „To grzech budzić umarłych” – upomniał ją.

Betsy nie poczuła żalu, gdy zrozumiała, że Bóg jednak postanowił zrewidować swe wyroki i ją uratować. Nie miała po co żyć, była nareszcie na drodze, którą już od dawna miała podążać. Chciała pożegnać się z kierowcą, powiedzieć mu o tym, gdzie ukryła papierosy, i o tym, że nie potrzebuje już dwóch lewych rękawiczek. Nie udało jej się jednak wstać i podejść do niego. Beztronski Pat nagle wcisnął hamulce.

Autobus zatrzymał się przy płocie okalającym spory teren. Dwóch uzbrojonych mężczyzn w mundurach armii amerykańskiej otworzyło bramę. Domy stojące za płotem były nienaruszone. Ich okna z żółtymi firankami stały otworem. Drzwi wejściowe pomalowano na zielono. Na sznurze wisały męskie kalesony. Nigdzie ani żywej duszy. Na trawniku stało za to żółte krzesło. Pat nałożył kurtkę oraz czapkę i wysiadł z autobusu, żując gumę. Powiedział: „Ho!”, gwizdząc, potarł ramiona i splótł dłonie na brzuchu. Trzej młodzi żołnierze i dwie pielęgniarki z noszami podbiegli do autobusu. Siwy oficer z orderem na piersi oraz dokumentami i pieczęcią w dłoni szarpnął przednie drzwi.

– *Attention!*<sup>[14]</sup> – wrzasnął. – Pozostańcie na miejscach! – Wręczał każdemu ciasno zapisane kartki. – Rząd wojskowy – wyjaśniał i kłął. Przeczytał głośno: – Służby wojskowe otrzymały rozkaz strzelania do wszystkich, którzy podczas godziny policyjnej znajdują się poza swoimi domami i będą próbowali się ukryć lub zbiec.

Zanim oficer dokończył czytać, Betsy zrozumiała, że koniecznie natychmiast musi wyjaśnić, że Frankfurt nie jest jej domem, że została w złym momencie pozostawiona sama sobie i że nie musi nigdzie uciekać ani się ukrywać. Podniosła prawą rękę, by zwrócić na siebie uwagę. Ku własnemu zaskoczeniu pamiętała angielskie słowo „proszę” i gdy oficer spojrzał w jej kierunku, wydusiła z siebie: „*Please...*”. W tym momencie zrozumiała, co jej się przytrafiło.

Patrzyła w osłupieniu na wysoki mur zwieńczony drutem kolczastym. Ani przez chwilę nie wątpiła, że ten bezmyślny Pat, który mylił Australię z Austrią, wcale nie przywiózł ich do Frankfurtu, tylko z powrotem do piekła, do Theresienstadt. Jako że już się nie bała, udało jej się umknąć strzałom strażników. Z poczuciem ulgi pograżyła się w głębokiej ciemności.

– Biedna staruszka – powiedziała starsza z pielęgniarek, gdy położono nieprzytomną Betsy na noszach. – Przeżyła obóz koncentracyjny i nic jej z tego nie przyszło.

– Ale ona jeszcze oddycha.

– Nie przetrwa nawet godziny, to widać. Możesz mi wierzyć, moja droga. Mój

dawny szef zawsze powtarzał, że siostra Nancy wyczuwa śmierć.

## CZYSSTE SUMIENIE I SŁONINA

Jesień 1945

Przez ostatnie dwanaście lat Niemcy nigdy nie byli tak zgodni jak jesienią 1945 roku. Wszyscy inaczej wyobrażali sobie pokój. „Zupełnie inaczej” – mówiła, pociągając nosem, Gudrun Schmand, która jeszcze rok temu siała postrach jako żona stróża domu przy Thüringer Strasse 11. Ilekroć wspomniano o obecnej sytuacji Niemiec, twarz pani Schmand wyrażała cierpienie i obrazę. Już nie nosiła bawarskiej kurteczki, która podkreślała jej krzepką germańską figurę, ani ludowych bluzek. Teraz wkładała perkalowe spódnice i ciemny pulower z grubej wełny, który był na nią o dwa numery za duży. Od ostatecznego upadku Niemiec straciła sześć kilogramów, a także wiarę w sprawiedliwość i sporą część wspomnień.

Gudrun Schmand z trudem przychodziła pamięć o tym, że przez ostatnie dwanaście lat najważniejszym mężczyzną w jej życiu był Adolf Hitler. Zapomniała również o całkiem niedawnym zdarzeniu: 24 marca 1944 roku o siódmej rano pełna wściekłości pospieszyła na policję, by zadenuncjować wdowę Amalię König za „szkodzący narodowi komentarz”. Pani König straciła jedynego syna pod Stalingradem. Był on pastorem i nie doczekał narodzin swojego pierwszego dziecka. Wdowa stwierdziła podczas pobytu w schronie, że naloty na ludność cywilną były „karą boską za bomby zrzucone przez Niemców na Coventry”.

Pani Schmand zupełnie zapomniała, że dosłownie w ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy dręczyła swojego męża, że powinien „zachować się jak mężczyzna i dowiedzieć się wreszcie, o co chodzi z tym obcym bachorem”, który mieszkał od blisko czterech lat u Dietzów i „zawsze się tak gapił, jakby właśnie dostał po łbie”. W tej kwestii doszło do zdecydowanego zwrotu akcji. Po wkroczeniu Amerykanów to pani Schmand odczuwała strach, gdy tylko w korytarzu natykała się na „bachora”. Jednak już w pierwszych dniach jesieni wróciła do formy. Powiedziała Fanny, że w szafie ma jeszcze jeden drogi i nienoszony sweter Eberhardta. Chciała go wyciągnąć

i – dodała – „sprawdzić, czy pasuje na ciebie, drogie dziecko. Mojemu kochanemu Eberhardtowi by to się z pewnością spodobało. Zawsze lubił sprawiać innym radość”.

Fanny zapamiętała go inaczej. Podczas swojego ostatniego urlopu Eberhardt złapał ją za pierś, gdy mijali się na ciemnych schodach do piwnicy. Krzyknęła wtedy przerażona, a młody Schmand przycisnął ją do ściany i wrzasnął: „Bez ceregieli, ty cygańska cipo!”.

Ta nowa zażyłość ze strony pani Schmand przerażała Fanny. Nawet bardziej niż jej wcześniejsza wrogość. Bojaźliwie spytała Anny, czy naprawdę musi nosić sweter syna tej kobiety.

– Nic nie musisz – odparła Anna. – Przymus się skończył. Raz na zawsze. – Przycisnęła do siebie córkę Vicky i milcząco błagała o cud, w który od dawna nie wierzyła. Od końca wojny Hans czterokrotnie chodził do Urzędu Meldunkowego po jakieś informacje o rodzinie Sternbergów, mimo to nie dowiedział się, dokąd zabrano Johanna Isidora, Betsy, Victorię i Sala. Jak dotąd na nic nie przydał się także amsterdamski adres ojca Fanny, pod którym przebywał on w czerwcu 1939 roku. Połączenia pocztowe z zagranicą nie istniały i najwyraźniej Fritz Feuereisen nie próbował znaleźć swojej rodziny przez najzwyczajniejsze biuro poszukiwań.

– Jako prawnik na pewno by wiedział, co należy zrobić – stwierdziła Anna.

Hans wypowiedział na głos to, czego oboje się obawiali:

– Niewielu Żydów mieszkających w Holandii mogło się uratować, gdy wkroczył tam Wehrmacht. Nawet jeśli działał tam zupełnie inny ruch oporu niż u nas, ich szanse były raczej cholernie małe.

Fanny przeczuwała, że jej matka i brat nie żyją, chociaż nie wspominała o tych odczuciach Hansowi i Annie. Często przesiadywała na parapecie ze starym atlasem szkolnym w rękach i Anna przyłapywała ją, jak patrzyła zamyślona przed siebie. Atlas zawsze był otwarty na mapie Holandii. We wrześniu, w czasie najważniejszych świąt żydowskich, Fanny spytała w końcu, czy można już przyjechać z Amsterdamu do Frankfurtu.

– Jak wytłumaczyć dziecku coś, czego nie da się wytłumaczyć dorosłemu? – zastanawiał się Hans.

– Fanny nie jest dzieckiem – odparła Anna. – Już od dawna. Jestem pewna, że ona to doskonale wie.

– Wie więcej niż wielu naszych szacownych rodaków. A może znasz kogoś, kto wiedział, że w tym kraju istniały gestapo i obozy koncentracyjne? I że znakowano ludzi żółtymi gwiazdami i pędzono ich ulicami, a potem ci ludzie zniknęli?

Pokonani Niemcy nie zadawali pytań. Większość była zajęta gruntownym przerabianiem swojej przeszłości, podobnie jak wysłużonych płaszczy wojskowych i mundurów, z których szyto ubrania do kolekcji zima 1945. Nie rozmawiano głośno o czasach hitlerowskich. Bezczelnie przepisywano na nowo życiorysy, bo przecież nikt nie współdziałał dobrowolnie. Od początku wszyscy wiedzieli, że „naziści doprowadzą nas do katastrofy”. Wierzący i ateści wreszcie doszli do zgody: „młyny boże miały powoli, ale sprawiedliwie”. I jeszcze dwa zdania były typowe dla tego okresu: „Hitler na pewno o tym nie wiedział” i „Takich autostrad nikt inny by nam nie zbudował”. Tyle wiedzieli wierni poplecznicy reżimu.

– Kto myje ręce we własnej niewinności, oszczędza na mydle – stwierdził Hans, gdy pani Schmand spotkała go przy zamykaniu ulic i koniecznie chciała pomówić o swojej nienaganej przeszłości politycznej.

– Od razu wiedziałam, że z waszą Fanny coś jest nie tak – rzuciła, dzielnie dzierząc miotłę – ale na szczęście ludzie mojego pokroju nauczyli się odwracać wzrok. Czegoż to ja nie widziałam i nie słyszałam. Ale zachowałam wszystko dla siebie. Jestem z tego naprawdę dumna.

– Może pani być z siebie dumna. Już dawno powiedziałem do żony: nasz kraj potrzebuje takich jak pani.

Przy filiżance kawy zbożowej, którą państwo Schmandowie delektowali się przy kolacji, pani Gudrun poskarżyła się gorzko mężowi:

– Że też muszę teraz traktować takiego gnojka jak jednego z nas! Pomyśleć tylko, że jeszcze rok temu pan Dietz i jego hołota przemykali po łąkach, gdy tylko ostro na nich spojrziałam. Aż mi się coś robi.

– Koniec z ostrymi spojrzeniami – odparł Wilibald. – Teraz na nas tak patrzą. Całe zło zrzucają na stróżów. Jesteśmy teraz odpadkami narodu. Każde słowo musimy dokładnie przemyśleć. Każde przekłete słowo.

Mimo obciążenia własną biografią łatwiejsze wydawało się tym pogrążonym w niedoli ludziom wyczyszczenie sumienia niż zdobycie kromki chleba. W pierwszym przypadku wystarczyło przedstawienie amerykańskim władzom i niemieckim urzędom nieskazitelnej przeszłości, co robiono dzięki wybujałej fantazji, nieustraszonoci oraz beczelnej wierze we własne kłamstwa. Jednak tego, że w tak żarliwie wymodlonych czasach pokoju całe Niemcy będą głodować, nie wyobrażali sobie ani ci dobrzy, ani

źli, ani pobożni, ani bezbożni. „W dzisiejszych Niemczech są tylko braki, ale za to mamy ich całe mnóstwo” – powtarzano dokoła. Fanny stała w piekarni dwie godziny w kolejce, ale do domu przysłała bez chleba i mąki, za to z najnowszym dowcipem. „Od dzisiaj na ostatni posiłek przed śmiercią też wydaje się kartki żywnościowe” – powtórzyła. U rzeźnika przy Berger Strasse ludzie godzinami stali w deszczu i podczas burzy, by dostać funt końskiego mięsa, ale niektórzy musieli odejść z pustymi rękami. Przydziałów kartkowych nie dało się zrealizować w sklepach, na wielu drzwiach wisiała kartka z napisem „Brak towaru”. U rzeźnika na Sandweg na wystawie stała tylko srebrna waga z porcelanową świnką, u innego przypominano: „Nie pozwól swoim kartkom na mięso stracić ważności. Za kartkę na 100 gramów mięsa dostaniesz 40 gramów cukru”. Do wielu sklepów wchodziło się po połamanych schodach, a ich okna były pozbawione szyb. Kto chciał kupić dziecku mleko i kartofle na zupę albo drewno na opał, podeszwy do butów, pieluchy, nici lub lekarstwa, musiał szukać na czarnym rynku. Funt masła kosztował na nim prawie dwieście pięćdziesiąt marek, za centnar kartofli żądano nawet ośmiuset marek, a za funt słoniny – dwustu. Kawa ziarnista i amerykańskie papierosy były tam najsilniejszą walutą. Jeden papieros Lucky Strike kosztował siedem marek pięćdziesiąt fenigów. Taniej zdobywały je młode blondyny, za którymi amerykańscy żołnierze wołali „frollajn” albo „Veronika” i które obdarowywali czekoladą i nylonowymi pończochami. Frollajny z ustami wymalowanymi czerwoną szminką nie odrzucały żadnej satysfakcjonującej oferty. Ich moralność była tak samo elastyczna jak ich ciała.

Niemniej jednak jesienią 1945 roku niemieckie kobiety nie zważały już na ojczyznę ani na narodową dumę. Nawet te, które przez ostatnie dwanaście lat przysięgały Hitlerowi wierność do śmierci. Teraz walczyły już tylko z głodem. Przyrządzały kawę z żołądzi i zupę z pokrzyw. Z jarzębiny rosnącej w parkach i na ulicach robiły marmoladę – dodając słodzik, środek żelujący i sztuczny aromat cytrynowy. Matki pręły stare swetry, by zrobić dla swoich dzieci ubrania na zimę, z zasłon szyły spódnice, a z obrusów ubranka na komunię. Przerabiały worki po cukrze na białe pończochy dla dziewczynek, a z garniturów swoich poległych na wojnie mężów szyły stroje na konfirmację synów. Płakały tylko wtedy, gdy nikt nie widział, a w kolejkach powtarzały, że „w czasie wojny nie było tak źle jak teraz”. Zamiast rodzynek, herbatników i syropu na kaszel używano brukwi. Nadawała się na placki, robiono z niej kawę i cukierki, palono jak tytoń. Wróciła do łask stara dziecięca piosenka: „Liście, liście, liście, na nic mi się zdałyście. Niech no matka da nam mięsa, nie zostanie ani kęsa”.



Inwalidzi wojenni i eleganckie starsze panie – wszyscy podróżowali pociągami uczepleni buforów, najodważniejsi wspinali się na dachy. Głodujący mieszkańcy miast jechali ze swoimi bezużytecznymi skarbami na wieś, gdzie wymieniali srebrne zastawy, dywany, świeczniki, biżuterię, własną dumę i tradycję wielu pokoleń na mleko, słoninę, jajka, warzywa i masło. Krążyły opowieści o rolnikach, którzy wykładali obory perskimi dywanami i pili piwo z kryształowych kieliszków. Hełmy przerabiano na garnki i sitka, resztki drutu kolczastego na szpilki, a rozkazodawcy czasów wojny zaś samych siebie przerobili na jęczących zjadaczy chleba o zgorzkniałym wyrazie twarzy.

Zwycięzcy jeździli jeepami i machali z otwartych pojazdów wojskowych. Włosy obcinali na jeża, byli dobrze odżywieni i wyglądali jak uczniacy. Wypalali zwykle tylko pół papierosa i rzucali niedopałek na ziemię. Bardzo się potem śmiali, widząc, jak pokonani wrogowie padają na kolana i walczą o łup. Podziwiani żołnierze Ameryki zaczytywali się kolorowymi zeszycikami, które nazywali komiksami. Niemieckie dzieci nauczyli długiego określenia *chewing gum*<sup>[15]</sup> i krótkiego słowa *fuck*<sup>[16]</sup>. Te młode lwy były wręcz oczarowane cenami w podbitym kraju – jeszcze bardziej niż tamtejszymi blondynkami. „Dla kogoś, kto ma dolary, ceny są niezwykle niskie. Za karton papierosów Camel mogę kupić całe Niemcy. Już wszedłem w ten biznes” – pisali w listach do domu Tom, Sam i Jim.

We Frankfurcie, tak jak w całym Niemczech, racjonowano prąd oraz gaz i nie można było dostać ratujących życie lekarstw. W szpitalach brakowało łóżek i lekarzy, a w aptekach straszyły puste półki. Parkowe ławki i huśtawki dawno zostały porąbane na opał. Zrujnowane domy – śmiertelnie groźne miejsca, nieustanny przedmiot troski matek – stały się ulubionymi placami zabaw. Dzieci nie chodziły do szkoły. Nawet ocalone od bomb budynki szkolne były nadal zamknięte – podręczniki do niczego się nie nadawały, nie uczyły niemieckiej młodzieży nakazanych przez Amerykanów wolności, tolerancji i demokracji. Przede wszystkim brakowało nauczycielek i prawie nie było nauczycieli nieumoczonych w zbrodni hitlerowskiego reżimu. Teraz byli „obciążeni” i z tego względu nie mieli prawa pracować w szkole<sup>[17]</sup>.

Zarówno mężczyźni, jak i kobiety odkomenderowano do prac przy odgruzowywaniu. Dzieci o brzuchach wzdętych z głodu grzebały w śmietnikach w poszukiwaniu resztek jedzenia. Większość tych rozbitków w krótkich spodenkach wychowywała się bez ojca i czuła odpowiedzialność za matkę i rodzeństwo. Były one mistrzami kradzieży i wymiany, nie przejmowały się zakazami i niebezpieczeństwem. Wchodziły na ogrodzone tereny zamieszkałe przez Amerykanów, buszowały po ich kuchniach

i stołówkach, a potem wracały do domu z produktami żywnościowymi, jakich ich matki nigdy nie widziały. Śmiertelnie przerażeni uchodźcy ze wschodu napływali do miasta, co jeszcze zwiększało kłopoty z kwaterunkiem i pogarszało już i tak fatalne zaopatrzenie. Choroby szerzyły się jak w średniowieczu. Nawet eleganccy ludzie mieli wszy i każdy bał się nocnego ataku głodu.

Mężowie, ojcowie i synowie, bracia i narzeczeni nie wracali z wojny. Komu się poszczęściło, trafił do więzienia na zachodzie i został przetransportowany do Ameryki, Anglii lub Francji. Większość jeńców wojennych przetrzymywanych przez państwa zachodnie głodowała jednak w wykrwawionych Niemczech. A o niemieckich jeńcach w rękach sowieckich nie było żadnej wieści. Winą za tę niedolę obarczano demokrację. „Nie przyniosła nam nic poza liczeniem kalorii i ograniczeniami w dostawach prądu” – diagnozowali sytuację zgorzkniali i zatwardziali ludzie, skarżąc się na niesprawiedliwość, jaka spotkała niemiecki lud. Pani Schmand wypowiadała się w imieniu całego narodu, gdy tłumaczyła Annie: „Robiliśmy tylko to, co nam rozkazano. A teraz musimy wziąć na siebie całą winę”. Mówiła to jeszcze 5 września 1945 roku. Rozmawiały w korytarzu. Żona byłego stróża miała na sobie żółto-czarną podomkę, a na głowie szarą chustkę. W prawej ręce trzymała lekką walizkę, w kieszeni – buteleczkę waleriany, z którą nie rozstawała się od momentu wkroczenia Amerykanów. Wilibald i Gudrun Schmandowie właśnie się przeprowadzali.

Gdy nastał pokój, początkowo nie doznali żadnego uszczerbku i byli przekonani, że ich ewidentna przeszłość nie będzie niosła za sobą żadnych konsekwencji. Ostatniego dnia sierpnia dostali jednak nakaz opuszczenia mieszkania, „niezwłocznie, najpóźniej w ciągu pięciu dni”. Przy tym Urząd Kwaterunkowy nakazał, by „kuchenska, wszystkie przenośne grzejniki, grzejnik łazienkowy, umywalka i wanna pozostały na miejscu”. Małżeństwo, które tak długo rządziło w kamienicy, dostało najmniejszy z pokoiów na mansardzie. Do końca wojny było to miejsce przechowywania wędlin, mąki i ryżu, a także ubrań, prania i urządzeń gospodarczych – wszystkich zdobyczy, które przez lata Wilibald Schmand gromadził na licytacjach żydowskiego mienia. „Kupiłem to legalnie” – wyjaśniał chętnie po zakończeniu wojny w gronie myślących podobnie jak on, gdy piętnowano niesprawiedliwość, jaka dotknęła tych pełnych poczucia obowiązku mężczyzn. Jednak nawet wśród zaufanych osób nie wspominał o srebrnych świecznikach i dwóch obrazach olejnych, które znalazły się w jego posiadaniu zaraz po nocy kryształowej w listopadzie 1938 roku.

Czteropokojowe mieszkanie po Schmandach, położone na parterze – którego lokatorom przysługiwało prawo do użytkowania ogrodu – zajmowała wcześniej

żydowska rodzina Wolfsohnów, która została zmuszona do wyjazdu w ciągu jednej nocy już w czerwcu 1939 roku. Teraz zamieszkała tam pięcioosobowa rodzina Dietzów. Dzięki wielokrotnemu, upartemu składaniu podań Hansowi wreszcie się udało przekonać odpowiedni urząd o swoim nieskazitelnym postępowaniu za czasów nazistowskich. Zdecydował jego pobyt w Dachau oraz „wiarygodnie przedstawiony i potwierdzony przez wymienione osoby akt ratowania żydowskiego dziecka przy zagrożeniu własnego życia”. Mieszkanie było przestronne, a w ogródku rosły cebule i szczypiorek, osobiście zasadzone przez panią Schmand. Ale to przede wszystkim myśl, że los wreszcie zrekompensował im lata cierpienia i życia w strachu, sprawiła, że Hans i Anna poczuli się tak szczęśliwi jak jeszcze nigdy. W obliczu tego, co przeżyli i widzieli, walka z codziennymi trudnościami wydała im się teraz łatwa. Byli nastawieni optymistycznie, radośni. Czasami, gdy udawało im się zapomnieć, jak straszną drogą musieli pójść Johann Isidor i reszta, czuli się znowu młodzi.

Sophie i Erwin, którzy w schronie piwnicznym nauczyli się, co to znaczy być dzieckiem wojny, i którzy w starym mieszkaniu musieli dzielić łóżko, byli wniebowzięci. Całymi dniami ganiłi się po czterech wielkich pokojach, aż podłoga skrzypiała. Z radosnym krzykiem wskakiwali do wanny, która ze względu na brak opału nie mogła być na razie używana. Bawili się w ganianego wokół wielkiego czarnego pieca w pokoju dziennym i uważnie zdzierali po kawałku tapetę w fiołki, którą Schmandowie położyli jeszcze w ostatnim roku wojny.

– Tu na ścianie rosną cudowne kwiaty – mówiła Sophie. – One mogą wszystko. Nawet upiec chleb.

– Widzimy, że nie można zdawać się na diabła – odparł jej ojciec.

– Czy diabeł to coś dobrego, tatusiu?

– Coś bardzo dobrego, panienko. Jeśli tylko zajmuje się innymi.

Wielka biała plama na ścianie w pokoju dziennym także ją fascynowała. Nad sofą państwa Schmandów, nakrytą własnoręcznie wyszydełkowanym pokrowcem, wisiał dawniej portret Hitlera, wspinały egzemplarz, namalowany w oleju i oprawiony w ramę z drewna orzechowego. Zaraz po wkroczeniu Amerykanów pan domu wpadł w panikę i pod osłoną bezkسیężycowej nocy pochował ten hołd dla Führera pod niemieckim dębem na niemieckim trawniku.

– Skąd ta okropna plama na ścianie? – spytał Hans, gdy Schmand przekazywał mu klucze do mieszkania. Dawny stróż czuł się niepewnie, co nowym mieszkańcom przyniosło ulgę.

– Musiałem tam coś poprawić – wymamrotał zdetronizowany władca domu przy

Thüringer Strasse 11.

– A ja, idiota, przez te wszystkie lata nie dostrzegłem, że jest pan po prostu naprawiaczem świata.

Fanny również cieszyła się z przeprowadzki. Jeśli chodziło o usunięcie śladów Schmandów, nie bała się żadnej pracy ani nie szczydziła wysiłków. Wraz z Anną myły okna, szorowały podłogę i waliły trzepaczką w meble tak, że aż kurz wypełniał cały pokój. Wtedy wydawała się spokojna i zadowolona, czasami nawet okazywała bez troskę i rozbawienie. Gdy prasowała poszewki na poduszki, uczyła Sophie piosenki, którą zaskoczona i poruszona Anna rozpoznała jako dziwną balladę kuchenną, śpiewaną przez Josephę przy obieraniu fasolki lub ziemniaków. Czy nowe otoczenie przypomniało Fanny czasy dzieciństwa? Czy wielkie, jasne pomieszczenia wyciągnęły z mgły dawne obrazy? Anna nie mogła się zdecydować, czy powinna sobie tego w ogóle życzyć. Jak dziecko, które przeszło tyle co Fanny, może wrócić do czasów radości i się przy tym nie załamać?

Już następnego dnia Fanny spytała o dom w alei Rothschildów 9. Wymówiła adres z taką oczywistością, jakby nadal tam mieszkała. Chciała wiedzieć, czy się tam urodziła, czy w jadalni stał wielki stół, a w ogrodzie przed domem rósł bez. A żółte róże? Pytała o Clare, której nigdy nie wspominała, wreszcie o Claudette. Anna była zaskoczona, że Fanny pamiętała nawet imię małego foksteriera swojej kuzynki.

– Snipper był zabawny – powiedziała dziewczyna – zawsze się z niego śmialiśmy. Bardzo się z niego śmialiśmy. Tańcz, Snipper!

Anna także się śmiała. Była pewna, że Fanny dobrze robi wracanie do tego, co tak długo pozostawało stłumione. Ale po południu, gdy Fanny wykładała regały w spiżarni papierem ze starego mieszkania, Anna usłyszała nagle jej przerażony krzyk: „Nieprawda, nie może być!”. Za chwilę dziewczyna wyszła ze spiżarni. Była blada, chwiała się na nogach i przyciskała do ust chusteczkę. Szybko pobiegła do toalety.

Anna stała jak wryta za zasłonką, którą właśnie obcinała. Liczyła każdy wypełniony cierpieniem szloch, jaki dochodził z toalety. Słyszała bicie własnego serca, czuła się zawstydzona jak dziecko, które przyłapano na podsłuchiwanie pod drzwiami.

– Nie – poprosiła tak cicho, że nie słyszała własnego głosu – jeszcze nie dziś.

Fanny wróciła do pokoju dziennego z zupełnie przemoczoną chusteczką w dłoni. Anna podeszła do niej, wyciągnęła ramiona. Chciała przytulić to dziecko, swoją córkę, i powiedzieć, że ona także straciła ojca i rozumiała jej ból. Nie mogła jednak wykrztusić ani słowa.

– Dobrze się czujesz? – zdołała jedynie spytać, choć było to pytanie najgłupsze z możliwych.

– Tak – odparła Fanny. – Tylko zachciało mi się płakać, sama nie wiem dlaczego.

Zanim zamordowano jej dzieciństwo, Fanny była pełna temperamentu, rezolutna i na wszystko miała gotową odpowiedź. Teraz, jako czternastolatka, była zamknięta w sobie, milcząca i nieśmiała. Gdy zagadywał ją ktoś obcy, wzdrygała się. Najmniejsze odstępstwo od tego, do czego była przyzwyczajona, sprawiało, że traciła pewność siebie. Zgubiona spinka do włosów lub złamana skuwka przyprawiały ją o poczucie winy. Dziecięcą radość zachowała tylko w kontaktach z Sophie i Erwinem. Anna i Hans czuli, że Fanny bardzo cierpi, za mało jednak wiedzieli o niemiłosiernej stronie pamięci, by jej jakoś pomóc. Ta bezradność ich dręczyła. Oboje przyznawali, że z trojga dzieci to właśnie najstarsza dziewczynka wymaga najwięcej troski, a mimo to nie potrafili jej zapewnić tego, czego najbardziej potrzebowała. Chcieliby, żeby Fanny była tak niesforna i opryskliwa jak inne dziewczęta w jej wieku.

– Żeby była jedną z tych nieznośnych panienek, które ciągle tupią nogami i doprowadzają rodziców do szału, ale którym można przynajmniej codziennie porządnie przyłożyć – wyobrażał sobie Hans. – Wiem, o czym mówię. Miałem trzy siostry. I to jeszcze jakie.

– Ja też – dorzuciła Anna. – Serce mi się kraje, gdy sobie przypomnę, co matka Fanny wyprawiała, by skruszyć mury i narzucić swoją wolę. Jak ja zazdrościłam Vicky tej odwagi i bezczelności. I oczywiście zastanawiam się teraz, czy zrobiłam coś nie tak z naszą Fanny.

– Uratowałaś jej życie – przerwał jej mąż. – Miałaś tyle odwagi i miłości bliźniego. Za cały naród. Daj się teraz wykazać tym, którzy pędzili ludzi jak bydło na śmierć. I którzy nadal pozwalają na to, żeby dziecko wołało rodziców i nie otrzymywało odpowiedzi.

Fanny nie mówiła nigdy o ojcu, matce i bracie. Nie pytała także o dziadków. O Erwinie, Clarze i Claudette w Palestynie wspominała rzadko, raz napomknęła o Alice w Afryce Południowej. Chciała wiedzieć, czy najmłodsza córka Sternbergów była ładna i czy dobrze się uczyła.

– Czy była wybredna? Miała dużo koleżanek?

– Chcesz zobaczyć jej zdjęcie? – spytała Anna. – Uratowałam wszystkie nasze albumy. Mamy wspaniałe zdjęcia. Zwłaszcza te, na których jest Alice. Wujek Erwin był świetnym fotografem.

– Może kiedy indziej – odpowiedziała Fanny. – Teraz muszę iść do piekarni.

Wydawało się również, że nie interesuje jej własna przyszłość. Córka radcy prawnego, doktora Friedricha Feuereisena, który raczej nie przetrwał okupacji Holandii, gdyż pół roku po zakończeniu wojny nadal nie dotarło do Dietzów żadne zapytanie o losy jego rodziny, nie patrzyła przed siebie. Tylko raz Anna zebrała się na odwagę i poruszyła ten temat.

– Gdy w końcu otworzą szkoły, musimy cię jak najszybciej zapisać – powiedziała. – Myśleliśmy o szkole imienia Herdera w alei Wittelsbachów. Wiem, że straciłaś parę lat, ale jestem pewna, że dasz sobie radę. Masz głowę do nauki. Nie to co ja. Ja zawsze potrzebowałam dwa razy więcej czasu, żeby coś zrozumieć.

Fanny była przerażona. Wyprostowała się na krześle i patrzyła w podłogę.

– Nie mogę chodzić do szkoły z niemieckimi dziećmi – powiedziała wreszcie. Pot oblał jej czoło. Wstała, podeszła do okna, ale natychmiast się odwróciła. – Co powiem, gdy spytają, gdzie byłam tyle czasu? Dlaczego w ogóle żyję? Będą na pewno chcieli wiedzieć. Obcy ludzie zawsze chcą wszystko wiedzieć. Wszystko.

– Ale tak musi być, Fanny. Pomożemy ci, dobrze o tym wiesz. Porozmawiamy z nauczycielami. Hans mówi, że tobie nikt nie odważy się nie pomóc.

– Nie chcę żadnej pomocy. Nie chcę iść do szkoły.

– Nie ma co płakać, dziecko. Chodź tutaj, usiądź przy mnie. Nie będziemy cię do niczego zmuszać, na pewno. Tylko co będziesz wtedy robić całymi dniami?

– To co zawsze. Pomagać ci, opiekować się Sophie i Erwinem. Nauczę się robić na drutach, gdy tylko znowu będziemy mieć wełnę. I będę czytać. Ile tylko się da.

– Tylko że tak niczego się nie nauczysz. To znaczy nie nauczysz się właściwych rzeczy, niczego, co przystoi tobie i twojej rodzinie.

– Nauczyłam się już, czego trzeba – rzuciła Fanny. – Wystarczy mi tej nauki do końca życia.

Czteroletnia Sophie zdobywała już budzące zaufanie doświadczenia życiowe. Była wesoła i pełna fantazji, nie troszczyła się o młodszego brata ani mu nie zazdrościła, zawsze była zadowolona i nie wymagała więcej niż inne dzieci w miejscach pozbawionych dóbr. Jej rodzice uważali ją za codzienny dowód na to, że dla rodziny Dietzów wreszcie zaświeciło słońce.

– Ilekroć patrzę przez okno – śmiał się Hans pierwszej październikowej niedzieli – słyszę radosny głosik naszego skowronka. Czym sobie zasłużyliśmy na tak szczęśliwe

i wesołe dziecko?

Jego córka śpiewała właśnie starą piosenkę: „U Jakuba nie ma chleba. Jednak jemu nie potrzeba. Jakub jutro, Jakub dziś. Jakub to kudłaty miś”. Kudłatemu misiowi niczego nie brakowało do szczęścia. Nosił starannie wyprasowaną zieloną kurteczkę, pod nią białą koszulę z wyłożonym szerokim kołnierzem – był w zasadzie ubrany lepiej niż większość niemieckich mężczyzn, których garnitury, marynarki i koszule pochodziły z lat tłustych, podczas gdy ich ciała należały już do lat chudych. Widać było po nich nie tylko czasy głodu, ale też zwątpienie i zranioną dumę. Miś miał pod tym względem lepiej – jego figura nie zmieniała się ani w latach chudych, ani tłustych. Wprawdzie spędził wiele nocy w schronie piwnicznym, ale wyszedł stamtąd jedynie bez lewego buta i szklanego oka, które zresztą z czasem odzyskał.

Najbliższy powiernik Sophie siedział na ziemi z rozpostartymi łapkami, gotowy z całej swej misiowej siły bić brawo zapalonej artystce, która okraszała swój występ wokalny tańcem i recytacjami z książeczki z bajkami. Mała diwa nosiła grube blond warkocze splecione w koronę i podtrzymywane szeroką jedwabną wstążką w kolorze czerwonym, która pamiętała jeszcze złote czasy bombonierek i dżentelmenów. Choć było już za zimno, by chodzić z gołymi nogami, panienska Sophie nie miała na sobie pończoszek. Była właścicielką zaledwie dwóch par, które trzeba było oszczędzać na zimę. Wszyscy mówili, że pierwsza zima pokoju będzie nawet gorsza od tej z 1944 roku.

Co wieczór Sophie chciała słuchać baśni o słodkiej zupie<sup>[18]</sup>, której było tyle, że nawet dzieci żebraków nie musiały już cierpieć niedoli. Ale to nie bajki o krainach mlekiem i miodem płynących były dla niej największym szczęściem, lecz sycące spotkania z żołnierzami amerykańskimi. Młodzi zwycięzcy, nazywani przez ludność „Amerykańcami”, przysięgali, że nie wybaczą swojemu niedawnemu wrogowi i że będą nieustannie radować się niemieckim cierpieniem. Nie dotyczyło to jednak dzieci. Ilekroć spotykali na swojej drodze gładko przylizanych chłopców w spodenkach lub dziewczynki z włosami upiętymi w tradycyjną koronę, obrzucali ten narybek pokonanego wroga gumą do żucia, batonikami czekoladowymi, ciastkami i grubymi kanapkami z serem lub szynką.

Po raz pierwszy w życiu Sophie Dietz spróbowała banana. Brała wszystko jak leci. Gdy pojawiły się pomarańcze i popularne cukierki z dziurką w środku, stała w pierwszym rzędzie. W swojej czerwonej spódniczce i czarnej kamizelce wyglądała jak Czerwony Kapturek – ubranko to uszyła jej w ostatnich dniach Trzeciej Rzeszy nieustraszona matka z flagi ze swastyką, którą w spiżarni schowali kiedyś

Schmandowie. Pewnego razu Sophie dostała nawet słoik masła orzechowego. Ponieważ nie mogła go otworzyć, przyniosła zdobycz do domu, ale jej matce także się nie udało dostać do środka.

– O Boże, to byłaby wspaniała pasta do podłogi – żałowała Anna.

Sophie miała trzy marzenia, które dotąd się nie spełniły. Prosiła Boga, żeby ojciec odzyskał nogę i żeby jej brat zamienił się w sarnę.

– Erwin za dużo płacze i ciągle chce jeść z mojego talerza – skarżyła się. A na Boże Narodzenie chciała wyjść za mąż. – W białym czołgu – wyobrażała sobie ten dzień nad zupą z chleba i pęczaku. Jej wybranek miał być czarnoskóry i zaopatrywać wszystkich w te słodkie pączki, które Amerykanie nazywali donutami. – Czarni – wyjaśniała Sophie zdziwionym rodzicom – dają dzieciom znacznie więcej czekolady i cookiesów niż biali.

Słowa *cookie*, oznaczającego ciastko, uważna dziewczynka nauczyła się już dwa tygodnie po wkroczeniu Amerykanów do Frankfurtu. Podczas gdy Wehrmacht nadal jeszcze nawoływał do okazywania niemieckiej dumy i składania ofiar na froncie wewnętrznym, mała Sophie ćwiczyła już swoje spojrzenie na amerykańskich żołnierzach, którzy pod tym wpływem ciągle zapominali, że ich zadaniem nie jest odgrywanie Świętego Mikołaja w kraju wroga. Mieli rozkaz, by nauczyć naród niemiecki demokracji.

– Gdyby Hitler o tym wiedział – westchnął Hans, gdy jego córka wróciła do domu z paczką popcornu. – Po kim ona ma tę bezczelność? Na pewno nie po mnie.

– Ani po mnie – dodała Anna. – Erwin zawsze powtarzał: „nasza Anna otwiera buzię tylko po to, by włożyć do niej cukierka”.

– Niech go tylko dorwę, dostanie za swoje.

– Chciałabym, żebyś mógł mu osobiście nawtykać.

– Ja też – westchnął Hans. – Oddałbym ostatnią koszulę, żeby znowu zobaczyć jego i Clare.

– Znowu zapomniałeś o Claudette. Założę się, że ona nie zapomniała o nikim z nas. Odjeżdżała z tak ciężkim sercem. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy tamtego okropnego dnia. Boże drogi, Sophie znów gdzieś pobiegła. To dziecko żyje po prostu na ulicy.

– Dziękujemy niebu, że znowu może tak biegać. Bez strachu przed bombami i naszymi rodakami.

Sophie i jej przyjaciółka Lena Litkowski właśnie kończyły robić ławkę.



Dziewczynki poznały się dopiero pół roku temu. Matka Leny zmarła z głodu w trakcie ucieczki z Wrocławia, a jej ojciec zginął w Rosji. Od sierpnia sierotka mieszkała z dziadkiem w domu przy Thüringer Strasse 11 – zostali przymusowo dokwaterowani do mieszkania na trzecim piętrze, gdzie główni najemcy (pięćdziesięcioletni pracownik gazowni z żoną, bratem i teściową) szykanowali przybyłych jak podczas wojny robiono to z „napływowymi robotnikami”. Pozostali mieszkańcy także traktowali uchodźców tak, jakby to mieszkańcy Śląska i Prus Wschodnich byli winni niemieckiej porażki. Sophie była jedynym dzieckiem, któremu nie zabraniano bawić się z Leną.

– Swój zawsze znajdzie swego – skwitowała to pani Schmand w rozmowie z mężem. – Ten niby porządny pan Dietz był przecież zawsze komunistą. Boże drogi, na cośmy pozwolili!

Tylko Litkowsky byli w tym domu katolikami. Nowi sąsiedzi wymyślali więc im od Cyganów ze wschodu, Polaczków i zakłamanej hołoty. W obecności wnuczki mówiono do dziadka: „Nie mają czym posmarować chleba, a wyjadają nam ostatnie okruszki”.

Doktor Hans Litkowski, emerytowany siedemdziesięcioletni nauczyciel gimnazjalny, cierpiał z powodu śmierci swojej córki, wielotygodniowej ucieczki, głodu i smętnego przyjęcia we Frankfurcie, ale się nie poddawał i chronił wnuczkę przed sąsiadami. Mała Lena za dużo jednak przeżyła i słyszała, by zaufać ludziom. Ośmielała się tylko w zabawie z Sophie. Nowa przyjaciółka, o rok młodsza, lecz większa, silniejsza i nieustraszona, wyznaczała zabawy i narzucała rozkład dnia. To właśnie Sophie wpadło do głowy, żeby ze zbombardowanego sąsiedniego domu przyciągnąć na ich podwórko kawałki gruzu i położyć na nich zwęglone deski przyniesione z ruin w alei Wittelsbachów. Na tej nowej ławce dziewczynki omawiały swoje zadania na poniedziałek.

– Pozrywamy kwiaty – zaproponowała optymistka Sophie.

– No nie wiem – wyraziła wątpliwość Lena.

Obie wiedziały, że sprzedaż kwiatów przez dzieci w ogóle się nie opłaca, ale zajmowały się nią w każdy poniedziałek. Jeszcze w październiku rosły w ruinach piękne żółte kwiaty, błyszczące mocno w jesiennym słońcu i pachnące pokojem. Swój zbiór dziewczynki przewiązywały źdźbłem trawy, robiąc niewielkie bukiety, i niosły do piekarni, rzeźnika lub sklepu kolonialnego. Chociaż ciągle im odmawiano, nie traciły nadziei, że dostaną wreszcie bułeczkę albo plaster szynki. Jesienią 1945 roku błagalne spojrzenie dzieci robiło jednak wrażenie tylko na zwycięzcach. Żaden niemiecki piekarz nie dawał bułeczki za żółty kwiatek.

Więcej szczęścia w handlu miał za to ojciec Sophie. Wprawdzie nie pracował, gdyż w kraju, w którym nie drukowano praktycznie gazet, nie wspominając już o książkach, nie było zajęcia dla drukarza. Jednak, jak to sam często powtarzał, rozkładając wieczorami swoją zdobycz na kuchennym stole, nie narzekał na swój los.

– To naprawdę najlepszy moment, żeby być bezrobotnym – tłumaczył żonie, gdy tylko zaczynała mówić, że martwi się o ich przyszłość. – Za to, co bym przyniósł do domu jako drukarz, moglibyśmy kupić może jakiś kilogram masła, ale zabrakłoby już na porządny sznur, na którym moglibyśmy się powiesić. W naszej ojczyźnie znów panuje handel wymienny. I czarny rynek.

W handlu wymiennym osiągnął Hans mistrzostwo. Nie przepuścił żadnej okazji korzystnego kupna żywności, węgla, drewna, ubrań czy starych hełmów żołnierskich. Te ostatnie jego dawny kolega przerabiał na garnki, sita i sztućce. Szybko się rozchodziły. Nie wahał się przed żadną transakcją ani pomysłem. Nożyce do drobiu i rdzewiejącą maszynkę do mięsa, które pochodziły z kuchni jego od trzech lat nieżyjącej matki, wymienił na kawałek szarego mydła, dziesięć kamyków do zapalniczki i garnuszek smalcu. Za starą kołyskę Erwina dostał ćwierć funta herbaty oraz kule o odpowiedniej dla siebie wysokości. Za pochodzącą jeszcze z alei Rothschildów piękną paterę przyniósł do domu dwie szpule nici, cztery igły do cerowania i czerwoną wełnę, wystarczającą akurat na dwa sweterki dla dzieci i dwie pary pończoch.

– Po co nam patera, skoro nie pieczemy już tortów – stwierdziła Anna. Rozstała się także z dużymi kwadratowymi guzikami z masy perłowej, ukochanym wspomnieniem z pasmanterii jej ojca na Hassengasse.

Cztery godziny później jej mąż wrócił z błękitnym materiałem na ubrania.

– Jakość przedwojenna – cieszył się. – Kobieta, która mi go sprzedała, chciała nawet pokazać na dowód rachunek z domu towarowego Wronkera.

– Na litość boską, co jej na to powiedziałaś?

– Że nie trzeba. I rozejrzałem się dookoła ze złością. „Wronker to był żydowski dom towarowy – powiedziałem do niej – a porządni Niemcy nie mogli kupować u Żydów”. Szkoda, że nie widziałaś jej miny! Na coś takiego czekałem całe lata!

Ze względu na brak nogi rower nie był mu już potrzebny, więc Hans sprzedawał go partiami. Opony i pompkę wymienił na centnar brykietów, łańcuch – na funt smalcu. Za kierownicę dostał zimowy płaszcz dla Anny – niedawno przerobiony, który przedłużyła potem resztkami zielonej zasłonki. Za rowerowe siodełko mieli obiecane królika na święta.

– Być może także trochę mąki na ciasto drożdżowe, jakie Josepha piekła zawsze na święta – rozmarzyła się Anna. – Dodamy do niego trochę rodzynek i aromatu cytrynowego.

– Do tego doszło, że żona bohatera wojennego musi ugryźć się w język, gdy wspomina o aromacie cytrynowym. A jego dzieci nie wiedzą, co to są rodzynek.

Największy sukces w swojej działalności Hans odniósł, gdy nie musiał niczego oddawać. Utrzymywał kontakt z jednym kolegą z drukarni, który miał z kolei kontakty z nowym intendentem teatralnym, Tonim Impekovenem. Dzięki temu, mimo wielkiej konkurencji – bo mieszkańcy miasta byli żądni kultury tak samo jak chleba – udało się Hansowi zdobyć jeden bilet wstępu na przedstawienie 3 listopada. Był to dzień, w którym miejskie sceny Frankfurtu przeniosły się do pomieszczeń giełdowych – do tej pory mieściły się w sali nagraniowej lokalnego radia. Nawet tytuł przedstawienia premierowego na tym otwarciu, *Frankfurt będzie żyć*, wydał się Hansowi osobiście ważnym przesłaniem.

– Dla naszej Fanny – powiedział, wyjmując bilet z kieszeni kurtki. – Myślałem, że nigdy go nie dostanę. Ludzie zupełnie oszaleli na punkcie teatru.

– Zawsze tak było – skwitowała Anna. Przypomniała sobie, jak Victoria, mimo niebezpieczeństwa, jakie groziło jej jako Żydówce, po ciemku przemykała na świąteczne przedstawienia w dzielnicy Römerberg.

– Musimy ci tylko dać kilo brykietów, Fanny. Kolega mówi, że to bardzo ważne.

Fanny wpatrywała się w bilet leżący na stole. Jak zawsze, gdy czuła się zakłopotana, ssła górną wargę.

– Czy będzie tam dużo ludzi? – spytała wreszcie. – To znaczy, co się w takim teatrze robi?

– Śmieje się – powiedziała Anna. – Po prostu cieszy się tym, co się dzieje na scenie. A gdy ci się podoba, klaszczesz. Spytaj Sophie, jak to się robi.

Trudno jej było opisać teatr. Brakowało jej słów oraz wspomnień. Był tylko smutek i przenikliwy ból, odbierający jej powietrze. Bardzo się starała opowiedzieć Fanny o jej matce, o magii otaczającej Vicky i o tym, jakie były jej marzenia o teatrze. Widziała jednak nie swoją piękną, kapryśną siostrę, tylko kobietę trzymającą za rękę małego Sala, podążającą razem z nim w stronę Wielkiej Hali Targowej.

Fanny zauważyła łzy, które pojawiły się w oczach Anny.

– Chcę tam iść – wyjąkała. – Hans zadał sobie tyle trudu. Najlepiej będzie, jak założę niebieską spódnicę. I białą bluzkę. Nie szkodzi, że jest trochę za szeroka. W końcu nikt mnie nie zna.

– Wykluczone – zaperzył się Hans. – Moja córka nie pójdzie w za szerokiej bluzce do teatru. Tam chodzą bardzo eleganccy ludzie.

Z niebieskiego materiału, który dostała za swoje perłowe guziki, Anna uszyła jej dopasowaną sukienkę z długimi rękawami. Podobny strój nosiła kiedyś Claudette na lekcjach tańca. Materiału wystarczyło jeszcze na pasek, niewielkie marszczenie przy kołnierzu i mankiety, a także na szeroką wstążkę do włosów. Ubrana w falującą sukienkę, ozdobiona niebieską wstążką, która pięknie odbijała się od jej lekko czerwonych włosów, z błyszczącymi policzkami i zielonymi oczami, Fanny zachwyciła całą rodzinę. Gdy spojrzała w lustro, zobaczyła tam młodą dziewczynę upojoną tą niezapomnianą chwilą, w której wiedziała wreszcie, co to młodość i radość życia.

Hans, Anna, mały Erwin w wózek, Sophie, a także Lena towarzyszyli Fanny kroczącej w stronę giełdy z paczką brykietów. Przed salą wszyscy się z nią pożegnali, jakby już nigdy nie mieli jej zobaczyć. Fanny była po raz pierwszy sama wśród obcych, ale zachowała spokój. Natychmiast znalazła człowieka, który odbierał od widzów węgiel, a potem swoje miejsce. Starsza kobieta z lorgnon zawieszonym na szyi i haftowanym woreczkiem przy prawej ręce uśmiechnęła się do niej. Fanny odwzajemniła uśmiech i ostrożnie usiadła na swoim krześle.

Ci eleganccy ludzie, o których opowiadał Hans, siedzieli w nieogrzewanej mimo listopadowego chłodu sali owinięci w grube swetry, szale i płaszcze. Fanny spojrzała na kobietę obok, sędziwą damę o białych włosach, w czarnym kostiumie. Nie dało się ukryć, że został on przerobiony z munduru i przefarbowany. Donośnym głosem osoby niedosłyszającej rozmawiała ona z sąsiadką Fanny po lewej stronie – także starą kobietą w wytartym szarym płaszczu, niską, chorowitą i niezwykle bladą. Jej żywe oczy nie pasowały do zapadniętej twarzy. Obie panie perorowały nad głową Fanny o wzdęciach i zupie z brukwi.

– Stary Ganeff znowu zabrał cały nasz przydział mięsa – skarżyła się dama w czarnym kostiumie. Krzyczała tak głośno, że jakiś mężczyzna w rzędzie przed nimi zasłonił sobie rękami uszy.

Niska, blada kobieta dostrzegła jego niezadowolenie, z trudem wstała, położyła rękę na ramieniu Fanny.

– Zamieniamy się miejscami – rozkazała.

– Ależ mój ojciec wystarał się dla mnie o ten bilet.

– Nic ci nie będzie, jeśli wyświadcysz przysługę starej kobiecie. Matka cię tego nie nauczyła?

– Tacy teraz są – dodała kobieta w czarnym kostiumie, gdy Fanny wstała, czerwona na twarzy. – Trzeba im ciągle rozkazywać. Zanim będą mieli tyle lat, żeby sami wydawać rozkazy.

– Proszę, nie gniewaj się, moja droga. Dziewczyna nie miała na pewno nic złego na myśli. To tylko nieporozumienie, jakby to powiedziała nasza pani Sternberg. Ciągle to powtarza. Mimo to dobra z niej kobieta. Jakie to okrutne, że właśnie jej nie można wybić z głowy tych pomysłów. Straciła całą rodzinę w obozie, ale ciągle powtarza, że ma we Frankfurcie córkę.

W tym momencie podniesiono kurtynę. Szczęśliwi widzowie klaskali jak dzieci. Śmiali się, krzyczeli „Hura!”, machali w stronę sceny, skakali na swoich siedzeniach i chóralnie wołali: „Frankfurt będzie żyć”. Tylko dziewczyna z niebieską wstążką na włosach i pamięcią tak bezlitosną jak ludzie, którzy cztery lata temu postanowili ją wygnąć z rodzinnego miasta, siedziała sztywno, zachmurzona, na swoim krześle. To, co działo się na scenie, docierało do niej jak przez kurtynę. Słowa eksplodowały w jej głowie. Znowu widziała trzaskający pejcz i słyszała niezapomniany głos szatana. Chociaż tym razem była pewna, że mu nie umknie, złożyła ręce i błagała Boga, by dał jej siłę i odwagę, by mogła zagadnąć obcych.

– Tylko ten jeden raz – szeptała.

Podczas przerwy kobieta w czarnym kostiumie opowiadała, że w Berlinie chodziła kiedyś często do teatru.

– Widziałam Bergner<sup>[19]</sup> w każdej roli – powiedziała. – Nigdzie indziej nie było to możliwe.

– We Wrocławiu – wpadła jej w słowo towarzysza – nasz teatr też nie miał się czego wstydić. Często przyjeżdżał do nas Gerhart Hauptmann<sup>[20]</sup>. Mieliśmy lożę.

Fanny pocierała ręce. Wiedziała, że będzie zgubiona, jeśli da się opanować strachowi, że jej obowiązkiem było nie rezygnować z nadziei na cud. I tak Fanny Feuereisen, która nie zapomniała dnia swego ocalenia, szarpnęła kobietę w szarym płaszczu za rękaw.

– Przepraszam – spytała – ale czy mogłaby mi pani podać adres pani Sternberg? Myślę, że ona mnie zna.

## CUDA SIĘ JEDNAK ZDARZAJĄ

Listopad 1945

Z pierwszej wizyty w teatrze Fanny wróciła z liliowym napisem na lewym przedramieniu. Jąkając się, opowiedziała swoją historię. Ponieważ papieru brakowało tak samo jak chleba, rzeczy ważne zapisywano na rękach lub udach. Fanny zwilżyła więc ołówek pożyczony od sąsiadki w szarym płaszczu, która w decydującym momencie okazała się tak uczynna, i zapisała nim adres: „Magerstrasse”.

Odchodziła od zmysłów, gdy się dowiedziała, że we Frankfurcie nie ma takiej ulicy.

– Ani wcześniej, jeszcze za Hitlera, takiej nie było, ani teraz na pewno nie ma – wyjaśnił jej Hans.

– Ale słyszałam wyraźnie, co ta kobieta powiedziała. Tak głośno krzyczała, że aż zrobiło mi się głupio. Ludzie patrzyli w naszą stronę ze wściekłością. Pomyślałam sobie, że zaraz się na nas rzucą.

– Masz babo placek! Powtarzam zawsze, że gdy ktoś krzyczy, to raczej nie ma do powiedzenia nic wartościowego. Popatrz tylko na naszego byłego Führera. Nie trzeba od razu płakać, Fanny. Naprawdę. Jeszcze nie wszystko stracone. Ostatecznie mówi się też, że nie ma dymu bez ognia. Sprawdźmy, może ta ulica leży w dzielnicy Höchst, ale od razu ci mówię: cierpliwości. Przy dzisiejszej komunikacji Höchst jest praktycznie na końcu świata.

– W końcu nazwisko Sternberg nie występuje tak często – dorzuciła Anna – a to właśnie je usłyszała Fanny. Nie znałam innych Sternbergów niż my. I nasi krewni z Górnej Hesji, oczywiście. Ale żadna żydowska klientka naszej pasmanterii nie nazywała się Sternberg. Widzę teraz wyraźnie spis osób. Nasz subiekt miał bardzo staranne pismo. Po Steinberżynie była Sternheimowa. Friederike Sternheim. Za każdym razem kupowała bordiurę i jedwabne wstążki.

- Jak ty wszystko dobrze pamiętasz. Musi ci to sprawiać ból.
- Sprawia.
- Cieszę się, że moja pamięć ma dla mnie litość.
- Może i moja się kiedyś opamięta.

Anna nie wierzyła wprawdzie w szczęśliwe przypadki i znaczące omeny, ale nie przestawała sobie wyobrażać, że przeżycia Fanny z teatru i jej nietypowa reakcja być może mogą być dla nich jakimś znakiem.

– Gdybym chociaż wiedziała, w którym kierunku patrzeć – myślała w ciemnej sypialni. Była dziesiąta wieczorem, właśnie wyłączono prąd, a ze świecy został już tylko ogarek. – Fanny szybciej odgryzłaby sobie język, niż zaczęła obce osoby. Nie możemy się zachowywać, jakby nic się nie stało.

– Owszem, ale nie możemy też robić sobie jakichś nadziei. Jeśli ta kobieta rzeczywiście powiedziała „Sternberg”, nie chodziło na pewno o matkę Fanny. Victoria by nas szukała.

– Gdybym tylko wpadła na jakiś pomysł, co teraz zrobić, byłoby mi lepiej. Czuję się taka bezradna.

Jednak następnego ranka to właśnie Anna zwierzyła trop – decydujący trop. Żeby węgiel jak najdłużej się żarzył, zawijała brykiety w wilgotną gazetę, którą Hans przynosił regularnie ze swoich wypraw. Teraz włożyła do piecyka brykiet obłożony w pierwszy, jeszcze sierpniowy numer „Frankfurter Rundschau”, w którym zamieszczono wiadomość o wyborach parlamentarnych w Wielkiej Brytanii. „Attlee nowym premierem” – dało się jeszcze odczytać.

Słaba smuga dymu podnosiła się w stronę sufitu. W przytłumionym świetle poranka wyglądała jak szeroki budynek z kopułą. W pierwszej chwili ten kształt wydał się Annie znajomy, ale kontury szybko się rozwiały. Nadal jednak wpatrywała się w sufit. Przyjemnie jej było siedzieć tak przed piecem, czuć ciepło, cieszyć się niedzielnym spokojem i świadomością, że mimo niewielkich zapasów żywnościowych i innych ograniczeń rodzina była bezpieczna.

– Fanny – powiedziała do siebie z zadowoleniem.

Zaraz potem wymamrotała: „Gagernstrasse”. Oszołomiona wrzuciła do żaru drugi brykiet, następnie zamknęła drzwiczki pieca. Zrobiła to trochę za mocno, więc zaczęła nasłuchiwać, czy żadne z dzieci się nie obudziło. Poczowała piekący ból w głowie i karku.

– Nie – rozkazała sama sobie i zaraz powiedziała smutnym głosem: – Nic się nie stało, zupełnie nic.

A jednak cienie już ją dopadły. Długonogie postacie z żelaznymi ramionami, które wracały, by ją zabrać. Aby im uciec, złapała za miech. Był to drogi przedmiot z czerwonej skóry, przesyty złotą nicią. Wydało jej się ważne, by przypomnieć sobie, skąd go ma, ale pamięć odmówiła współpracy.

Jej czoło płonęło. Pomyślała, czyby nie zmierzyć sobie temperatury. Przy ilu stopniach mogłaby wziąć cenną tabletkę aspiryny? Zostały tylko trzy pigułki i dopiero za jakieś dwa tygodnie być może uda się Hansowi zdobyć nowe.

– Obejdę się – zdecydowała. I wtedy, jakby nigdy nie zwątpiła w swoje wspomnienia, wypowiedziała głośno i wyraźnie, a nawet triumfująco: – Gagerstrasse 36.

Pod tym adresem stał niegdyś żydowski szpital – do roku 1933 znany w całym Frankfurcie z wysokich standardów medycznych i znakomitej opieki. Podczas pierwszej wojny światowej szesnastoletnia Clara Sternberg pielęgnowała tam rannych żołnierzy – bez wiedzy rodziców. Jeszcze lata później dyskutowano o tym w domu przy alei Rothschildów 9. Johann Isidor spotkał swoją córkę flirtującą z pewnym oficerem z zabandażowaną głową. Piękna buntowniczką nawet wobec ojcowskiego gniewu odmówiła opuszczenia stanowiska przy łożu bohatera. Bez skutku Anna próbowała odsunąć obrazy przeszłości. Zbyt często odważna Clara ponownie odgrywała tę scenę. „Po maturze idę na medycynę” – powiedziała swoim skonsternowanym rodzicom. „I nigdy nie wyjdę za mąż. Nie róbcie sobie żadnych nadziei”.

– Przynajmniej z tym ostatnim ci się udało – lubił przekomarzać się z nią Erwin, gdy znowu przywoływała tamte wydarzenia.

Anna otarła twarz fartuchem. Nie mogła myśleć o Erwinie, zaraz pojawiały się łzy. Nigdy nie wiedziała, czy to łzy radości, czy smutku. Tym razem cierpiała nie tylko z powodu obrazów, lecz także dlatego, że słyszała dźwięki i czuła zapachy tamtych wspaniałych czasów. Najpierw usłyszała delikatnie śpiewny głos Erwina, który drwił sobie z ich ojca. Potem poczuła zapach perfum Clary, ziołowy, skomponowany przez nią samą. „Śmierdzi jak moja woda po goleniu” – powiedział Erwin i zatkał sobie nos. Clara nazwała go ignorantem, a Anna poczuła się zakłopotana, bo nie знаła tego słowa.

Trzyletnia Fanny w zielonej falbaniastej spódnicy zaczęła się śmiać. Ojciec podrzucił ją do góry, złapał, warcząc jak niedźwiedź, potem znowu podrzucił i na koniec obsypał jej twarz pocałunkami.



– Jestem ptakiem – krzyczała z radości.

– Nie rozpuszczaj dziecka – strofowała męża Victoria. – Któregoś dnia powinna zacząć zachowywać się jak dama.

– Najważniejsze, żeby była damą z poczuciem humoru – odparował jej mąż.

Przez chwilę odpowiadając jednemu uderzeniu serca Anna wyobrażała sobie doktora Feuereisena, jak stoi przed ich drzwiami i dopytuje się, czy jego córka żyje. Obiecała sobie, że nie będzie już płakać – jednak zwątpienie zwyciężyło. Pogrzebała w popiele, ale nie pomogło to słabemu ogniowi. Wodę na kawę zbożową nastawiła o wiele za wcześnie. Mimo poprzedniego postanowienia wyciągnęła z szafki syrop z buraków.

– Przecież jest niedziela – uspokoiła swoje sumienie dobrej pani domu. Widziała Josephę, dumna kucharka brała się pod boki, nazywała syrop z buraków „żarciem dla biednych” i przysięgała, że „to coś trafi do tego domu tylko po moim trupie”.

Hans ciągle od nowa pytał o Josephę. I ciągle bez skutku – nie słyszano o niej w żadnym z urzędów. Anna zastanawiała się, ile lat może mieć Josepha – jeśli w ogóle przeżyła wojnę – i czy wie, że Johann Isidor, Betsy, Victoria i Salo zostali deportowani na wschód. Trudno było Annie myśleć o dawnej kucharce i jednocześnie przygotowywać śniadanie. Niemrawo wyjęła z szafki czerwono-biały kieliszek na jajko, a z szuflady ulubioną łyżeczkę pochodzącą z domu Clary. Przed wyjazdem do Palestyny siostra powiedziała, że tam kurom na pewno jest wszystko jedno, czy ich jajka zjada się łyżeczkami, czy rękami. „Jeden szajs” – podsumowała, a Fanny natychmiast wypróbowała to obce sobie słowo.

Anna położyła właśnie piątą łyżeczkę obok talerzyka Sophie, gdy nagle wróciła do rzeczywistości. Przypomniała sobie, że miała tylko jedno jajko i że od dwóch lat u Dietzów nie podawano już jajek na niedzielne śniadanie.

– Jedno jajko na pięć osób – zaniepokoiła się Anna. Odłożyła kieliszek i łyżeczki z powrotem do kredensu i obiecała sobie, że w tym tygodniu uszyje dla dzieci bieliznę z nieużywanych ręczników frotowych, które oszczędzała na specjalną okazję. Chciała także postarać się o mąkę i aromat do pieczenia na placek bożonarodzeniowy. Zrezygnowała za to z wizyty u fryzjera. Za ondulację i ścięcie pan Obermüller brał dwa brykiety i pięć kamyków do zapalniczki. Hans chował kamyki, które przynosił z czarnego rynku, jak kiedyś swoją srebrną papierośnicę. Zagroził, że publicznie nazwie „tego chytruska Obermüllera” wyzyskiwaczem i arcynazistą. „Widziałem, jak 9 listopada targał srebro i porcelanę wyniesione z żydowskiego domu na Sandweg”.

Gdy Anna myślała o łupie fryzjera Obermüllera, przypomniała sobie, że porcelanowy serwis z Limoges należący do Betsy, a także cała zastawa stołowa, srebra i obie menory babki z Pforzheim zostały w domu przy alei Rothschildów 9, gdy rodzina Sternbergów musiała przenieść się do „żydowskiej kwatery”. Poczła wielką chęć, by zaciągnąć kuchenne zasłony i usiąść przy piecu z mokrym ręcznikiem na głowie, by myśleć wyłącznie o aromacie cynamonowym i pierniku. Jednak otrząsnęła się i podeszła do drzwi. Na palcach przeszła do sypialni. W niedzielę Hans leżał w łóżku często do dziewiątej. Zwykł mawiać, że przypomina mu to niedziele z czasów przedwojennych, gdy miał jeszcze dwie nogi i mógł liczyć na pieczeń wieprzową z knedlami.

Czwartego listopada o poranku z marzeń o niedzielnym obiadku nic nie wyszło. Hans jeszcze spał, gdy Anna odsłoniła okno. Wydawał się odprężony, ręce złożył na piersi. Na kocu leżał jakiś papier zapisany jego spiczastym wyraźnym pismem. „Zarzucamy sobie, że nie przyznawaliśmy się z większą odwagą, nie modliliśmy się z większą wiarą, nie wierzyliśmy radośniej i nie kochaliśmy goręcej” – przeczytała Anna. To były słowa – jak jej później wyjaśnił mąż – pewnego prawnika, Gustava W. Heinemanna, który w imieniu ewangelików uznał współodpowiedzialność swojego Kościoła za czyny nazistów. Anna wygładziła papier i odłożyła go na nocny stolik. Ogarnęły ją czułość i podziw dla męża. Te uczucia ją rozgrzały. Było dziesięć po siódmej.

– Na Gagernstrasse – przypomniał sobie Hans, gdy był już na tyle rozbudzony, by zrozumieć, co tak poruszyło jego żonę – do 1942 roku mieścił się żydowski szpital. We wrześniu albo październiku naziści opróżnili cały budynek i wszystkich deportowali: lekarzy, pielęgniarki, pacjentów, nieważne, czy byli w stanie iść o własnych siłach, dzieci i starców, wszystkich wysłali na śmierć. Mój stary kolega, z którym byliśmy razem w Dachau i który mieszka na Maximilianstrasse, powiedział mi, jeszcze w tamtych strasznych czasach, że widział to wszystko z okien swojego mieszkania. Wiem tyle, że naziści chcieli wykorzystać ten budynek na tak zwany Szpital Wschodni. Bóg jednak okazał się wyjątkowo sprawiedliwy i zadbał o to, by już rok później cały budynek został solidnie zbombardowany. Wydaje mi się, że wyciągnęli stamtąd sporą liczbę trupów.

– Nikt by tam dzisiaj nie mieszkał. Kto odbudowałby taki wielki budynek w pół roku? Może powinniśmy sobie dać spokój i poszukać tej cholernej Magerstrasse. Tak na zdrowy rozsądek to Fanny jakoś musiała to usłyszeć.

– Mnie też się tak wydaje – zgodził się Hans. – Kto nie szuka, nic nie znajduje. Tak

mówiła moja babcia. I znalazła w końcu tego faceta, który jej zrobił dziecko.

Półtorej godziny i filiżankę kawy zbożowej później wyruszył w wyprawę na Gagerstrasse.

– To rzut beretem stąd – dodawał sobie odwagi po pierwszych dziesięciu minutach.

W gruncie rzeczy nie było to tak daleko od Thüringer Strasse, dla mężczyzny z jedną tylko nogą i niewielką nadzieją na powodzenie tej wyczerpującej ekspedycji była to jednak męcząca odległość. Zanosiło się na burzę, mgła osnuwała dachy i kominy, powietrze było wilgotne i zimne. Ostry wiatr wschodni wiał mu prosto w twarz, trudno było iść o kulach po mokrej ziemi. Pół godziny potrzebował, by dotrzeć do alei Wittelsbachów.

Niektóre z okazałych mieszczańskich domów przetrwały wojnę. Dawne mieszkania najbogatszych mieszczan dotknęły jednak przymusowe dokwaterowania – widać to było nawet z zewnątrz. Prawie w każdym oknie widniała rura od piecyka, a na większości wizytówek zapisano po dwa nazwiska. Takie obrazki świadczyły ewidentnie o tym, że uchodźcy ze zbombardowanych domów i opuszczonych przez Niemcy ziem byli tu jedynie niechcianymi podnajemcami. Lepiej niż domom wiodło się drzewom – jeszcze w listopadzie i na ostrym wietrze przykuwały oko kolorami jesieni i wyglądały optymistycznie. Na gałęziach ćwierkały kosy. Przed bramą z kutego żelaza siedziały dwa gołębie.

– To zły czas dla was – pouczył je Hans. – Wcześniej dostawałybyście chleb. Dzisiaj chętnie do was strzelamy, by was potem zeżreć.

W pasie zieleni, który dzielił aleję, leżała brązowa papierowa torebka. Hans przekuśtykał przez ulicę. Udało mu się w odpowiedniej chwili przycisnąć kulą suchy papier, zanim złapał go wiatr. Troskliwie złożył swoją zdobycz i wsadził do kieszeni płaszcza.

– Mam cię, podróżniczko – wymamrotał uspokojony. Papierowych torebek brakowało, nie można było ich ani kupić, ani dostać w sklepie czy piekarni. Bez własnych baniek na mleko, menażek, papieru gazetowego, siatek lub starych torebek chodzenie na zakupy było daremnym trudem. Naiwny okazywał się też ten, kto wysyłał do kolejek bezbronne dzieci. Odbierano im naczynia, garnki, miski, a nawet pozbawione wieczek słoiki, często z całą zawartością.

Mimo kiepskiej pogody Hans był w dobrym nastroju i nawet czuł się mniej głodny niż zazwyczaj – dzięki dwóm kromkom chleba, które przydzieliła mu Anna. Przypuszczał, że co najmniej jedna z nich była pierwotnie przeznaczona dla niej samej. Stary płaszcz wojskowy chronił go przed deszczem i zimnem. W ostatnich miesiącach

wojny Anna przefarbowwała go na czarno i doszyła nowy kołnierz. W oddali dzwon kościelny wybił godzinę. Dźwięk niósł się po zniszczonym mieście, pojednawczy, prawie zapomniany. Hans zadumał się nad tym, że w ogóle we Frankfurcie ostały się jakieś dzwony kościelne.

– Myślałem – wymamrotał do siebie – że Kościół oddał naszemu ukochanemu Führerowi wszystkie dzwony dla celów jego świętej wojny. – Wyobraził sobie dokładnie taki akt darowizny i się zaśmiał.

Na skrzyżowaniu alei Wittelsbachów i Habsburskiej natknął się na taką scenę: starsi mężczyźni w płaszczach, które wyglądały na ich wygłodzonych ciałach jak prześcieradła suszące się na wietrze, i w czapkach z czasów przedwojennych targali zniszczone walizki i po brzegi wypełnione węglem siatki na zakupy. Ich łup, tak niezbędny do przetrwania, pochodził z pociągów towarowych, które musiały zatrzymywać się tuż przed Dworcem Wschodnim, gdyż były trudności z wjazdem na odpowiedni tor. Stare kobiety w ciemnych chustkach na głowach, o strapionym, zgorzkniałym wyrazie twarzy ciągnęły za sobą wózki. W niektórych na szarych kocach lub po prostu w metalowych skrzyniach leżały zasmarkane małe dzieci w czapkach naciągniętych głęboko na czoło. Na wielu z tych skrzyń widniał napis „Towar niebezpieczny”. Wózki wypełnione były gałęziami z parków i skwerów. Jedno małżeństwo najwidoczniej nie bało się ani policji, ani możliwej kontuzji – wspólnie ciągnęło ciężkie oparcie jakiejś ławki. Jeszcze wyraźnie było widać ślad po tabliczce „Nie dla Żydów”. W jednej chwili wspomnienie o tym napisie wywołało w Hansie wściekłość. Gniew i ból huczały w jego głowie jak uderzenia młota. Spojrzał na małżeństwo tak dziko, jakby skradziona ławka należała do niego. Mężczyzna się zawahał i postawił swoją zdobycz.

– Dzień dobry – powiedział cicho.

– Z kim ty gadasz? – fuknęła jego żona. – Już do tego doszło, że mamy się tłumaczyć przed byle wymoczkim.

Hans, milcząc, pokuśtykał dalej. Tramwaj, który do końca wojny łączył aleję Saalburską i zoo, nie wznowił jeszcze kursowania. Tylko jeden z przystanków pozostał nienaruszony. Część rozkładu jazdy wisiała na starej tablicy. Olbrzymi szary sznaucer o skołtunionej sierści i wystających kościach węszył za jedzeniem w wyrosniętej trawie. W wyzwolonych Niemczech psy były taką samą rzadkością jak papierowe torebki, ławki parkowe i talony na podeszwy do butów, ubranie na zimę czy opatrunki. Dwaj rozbrykani chłopcy, mniej więcej dwunastoletni, mieli gołe, niebieskie z zimna nogi. Czubki ich wysokich butów zostały obcięte, by łatwiej było dopasować je do

stopy. Kopali pogniecioną puszkę w biało-niebiesko-czerwone paski i gwiazdy amerykańskiej flagi. *Tomato soup* – przeliterował Hans. Obiecał sobie, że postara się o to, aby jego dzieci w swoim czasie nauczyły się angielskiego.

– I francuskiego – dorzucił. Mówił tak głośno, że aż się odwrócił ze strachem.

Na tym odcinku ulicy widać było wiele śladów wojny i wszędzie widniały resztki wojennej propagandy. Siedem miesięcy po porażce hasła wzywające do dalszej walki zakrawały na kiepski żart. Na murach podziurawionych kulami i oknach zabitych deskami można było przeczytać: „Powoli ku zwycięstwu”, „Narodzie, broń się!” i „Raczej martwi niż zniewoleni”. „Wszystko to gówno – twój Fritz” dodał ktoś na niezamieszkałym domu. W budce telefonicznej, w której nie było już drzwi ani aparatu, nadal widniała naklejka „Wróg podsłuchuje”. Hans po raz pierwszy pomyślał, że podsłuchujący wróg, który podkopywał wojenne powodzenie Niemiec, był namalowany jako podstępny Żyd.

Mijał po drodze rowery w każdym wieku, na wszystkich załadowane były pełne plecaki, na bagażnikach stały nieporęczne kartony lub balie wypełnione starym sprzętem domowym. Od czasu do czasu przejeżdżał otwarty samochód na niemieckich numerach, na jego pace stał silnik napędzany drewnem – benzyny zwykły Niemiec praktycznie nie mógł dostać. Tym większe było zaskoczenie, gdy na krótkiej i cichej Maximilianstrasse, która łączyła się z Gagerstrasse, pojawił się nagle jeep. Za kierownicą siedział oficer, a obok niego bardzo młody żołnierz obcięty na jeża, z dwoma paskami na ramieniu. Wychylał się z samochodu, śpiewał donośnie piosenkę urodzinową *For he's a jolly good fellow* i walił się w pierś. Jeep nabierał prędkości, gnał w stronę Hansa, który dotąd podążał środkiem ulicy i teraz w panice ruszył w stronę chodnika. Przez chwilę wyglądało to tak, jakby samochód miał go zaraz uderzyć albo wpaść w poślizg, jednak gwałtownie się zatrzymał. Hamulce i opony zazgrzytały, kierowca nacisnął klakson, nie puścił go już i rzucał wyzwiskami. *You fucking German fool*<sup>[21]</sup>. Jego towarzysz bił brawo. Śmiesznie wysokim głosem krzyknął:

– *Bravo, jumping jack!*<sup>[22]</sup>. – Podrapał się po głowie jak iskająca się małpa i wykrzywił twarz w grymasie. Potem splunął daleko i rzucił swojego dopiero co napoczętego papierosa na ulicę. – *For the Kraut* – wyskrzecztał. – *For the ugly German Kraut*<sup>[23]</sup>.

– Aleś to sobie obmyślił – rzucił Hans za odjeżdżającym jeepem. – Dziwkę napychacie czekoladą, a kalekę chcecie przejechać! – Poczł fizyczne cierpienie, gdy zdecydował, że nie schyli się po papierosa. Zostało go więcej niż połowa, a Hans nie

palił nic od tygodnia. Ostatnią paczkę cameli z czarnego rynku wymienił na kilo pęczaku i trzysta gramów słoniny. – Papieros za talerz krupniku – wrzasnął wściekły w kierunku, w którym zniknął jeep – ale to żaden biznes. – Rozdeptał kulą resztki jeszcze palącego się papierosa. Wstydził się swojego gniewu i tego, że nie potrafił się opanować.

Maximilianstrasse była znów spokojna. We wszystkich mieszkaniach okna były zamknięte. Nigdzie nie było widać, jak w innych miejscach, idących do kościoła ludzi ze śpiewnikami lub kobiet, które ruszały z małymi wiadrami do Parku Wschodniego na poszukiwanie jagód i jadalnej zieleniny. Nawet chłopcy grający w piłkę zniknęli, tylko pognieciona puszka nadal leżała tam gdzie wcześniej. Hans patrzył na ulicę. Przeklinał wojnę i przeklinał swoje życie. Gdy wreszcie podniósł głowę, stwierdził, że wkroczył już na Gagernstrasse.

Tylko dlatego, że wielkie okna wydały mu się znajome, powoli uświadamiał sobie, że stoi przed dawnym szpitalem żydowskim. Gmach mocno zniszczony podczas bombardowania został odbudowany – choć tylko częściowo, a to ze względu na brak czasu.

– A niech to szlag! – powiedział Hans. Usłyszał własny gwizd i się zdziwił; nawet w najlepszych latach nie umiał gwizdać. Jego lewa kula pośliznęła się. Uderzyła głośno o bruk. Więcej wysiłku niż zwykle kosztowało go jej podniesienie. Schylając się, aż jęknął. – A niech to szlag – powtórzył.

– Dziwisz się, co nie? – powiedział do niego jakiś mężczyzna. – Wszyscy się dziwimy.

Hans nie widział, kiedy ten człowiek do niego podszedł. Na oko sześćdziesięcioletni, mimo silnego deszczu nie miał na sobie płaszcza, tylko sweter i szal. Znoszony szary sweter był na niego o wiele za duży i miał czerwone łaty na łokciach. Czarny szal w białe kwiaty z pewnością należał wcześniej do jakiejś kobiety. Do zielonych pumpów nosił szelki z białym sercem na środku. Zamiast butów miał na nogach kawowo-białe papucie z filcu. W rękę trzymał wiadro wypełnione końskim łajnem, miotłę i szufelkę. Najwyraźniej mieszkał w domu, przed którym stali.

Hans przez krótką chwilę się zastanawiał, czy powinien zapytać tego natrętnego obcego człowieka, który najwidoczniej dążył do nawiązania rozmowy, o jego skarb. W czasach, gdy brakowało węgla, nic lepiej niż końskie łajno nie nadawało się na opał. Jednak bardziej piliło go pytanie, na które szukał odpowiedzi. Wskazał był żydowski szpital.

– Wie pan może, kto tu teraz mieszka?

– Żydzi – odrzekł mężczyzna. – Znowu Żydzi. A któż by inny?

– Co? Od kiedy?

– Jakoś od dwóch tygodni. Całkiem ich tam sporo, muszę powiedzieć. Nagle przyjechali. Spadli jak z nieba. A ciągle nam gadają, że wszystkich Żydów szlag trafił w obozach.

– Tak, a więc to znowu jest żydowski szpital?

– Raczej dom starców, tak żem słyszał. W każdym razie wszyscy, których dotąd widziałem, łązą o lasce. Ale one zawsze były ślamazarne. Jak stare kurczaki. Co panu? Żle się czujemy?

– Tak – odparł Hans. – Mdli mnie jak wszyscy diabli. Nie mogę tyle wyrzygać, ile mi się nabierało. – W chwili największego oburzenia wyobraził sobie, że jest jednym z nich. Usta mu zwilgotniały, gdy uświadomił sobie, że też mógłby tak chodzić z wiadrem łajna jak ten facet w papuciach. Jednak nic nie powiedział. Skierował wzrok na ziemię i ruszył w stronę swojego celu, do którego tak bardzo bał się dotrzeć.

– Co za ludzie – pomstował facet za Hansem. – Ani be, ani me, ani kukuryku.

Pokonany Hans z trudem przeszedł przez szeroką bramę. Myślał o czasach, które spędził jako żołnierz w Polsce. Starał się do nich wracać jak najrzadziej. Ponownie zaatakowało go wspomnienie tego dnia, w którym został ranny i najpierw stracił orientację, a potem wiarę, że uda mu się wrócić do Anny. Znowu palił go dawny koszmar, że musi smażyć się w piekle, ponieważ nie udało mu się we właściwym czasie wnieść apelacji od wyroku śmierci. Wiedział, że upadnie, i wiedział, że zostawią go tak, aż jego ciało całkowicie się rozłoży. Nie może w żadnym razie zamknąć oczu, musi dalej oddychać, cokolwiek się zdarzy, mamrotał do siebie. Wtedy usłyszał własny kaszel. To był kaszel żyjącego. Wrócił do żywych.

Hans dotarł do dużego ogrodu z trzema jasnymi ławkami. Na skraju trawnika stały stare kasztanowce, już bezlistne, ale z niezwykle wielkimi gałęziami. Dwie tłuście owce o grubej wełnie pasły się na trawie. W przeciwieństwie do drzew i krzaków nadal była ona bujna jak w lecie.

– Owce – westchnął Hans. – Je też czeka wyprawa do rzeźnika.

Dziwiło go, że był w stanie mówić tak spokojnie, jakby był w domu.

– Owce – powtórzył, by wypróbować swój głos. Potem jeszcze raz: – Rzeźnik.

Czyżby się zaśmiał? A jeśli tak – dlaczego? Z kieszeni płaszcza wyjął chustkę i wytarł sobie oczy tak mocno, że aż pociekły mu łzy i na moment go oślepiły. Mimo to nie mógł wyrzucić z głowy żadnego z tych obrazów, które same mu się nasuwały.

Ciągle widział katów w mundurach ss. Pejczami i pałkami wypędzali przerażonych ludzi z żydowskiego szpitala – tak jak to było w opowieści Anny o marszu w stronę Wielkiej Hali Targowej. Jak długo chorzy i niedomagający, starcy i dzieci z Gagerstrasse musieli czekać na śmierć? Kogo wołali? Kto był świadkiem ich nieszczęścia? Czy ktoś, kto wyrzął przez okno, a potem z apetytem zjadł, jak zwykle, obiad, wierzył jeszcze, że jest stworzeniem Bożym?

Hans widział w Polsce śmierć mężczyzn, kobiet, dzieci, żołnierzy, towarzyszy broni i oprawców. Teraz patrzył w ziemię. Z pokorą czekał na ostatni rozdział własnego życia. Potem na chwilę nie dłuższą niż uderzenie serca ogarnęło go przekonanie, że śmierć, której umknął podczas wojny, dosięgnie go w czasach pokoju. Wreszcie dostrzegł, że drzwi do wielkiego domu stały otworem. Zmusił się do wysiłku i działania – tak jak był przyzwyczajony. Biegł tak szybko, jak tylko pozwalało mu ciało. W końcu dotarł do długiego, pogrążonego w mroku korytarza, który pachniał chorobą i umieraniem. Tam zatoczył się i poczuł mdłości. Jakiś mężczyzna zaczął sapać. Hans uznał go za starca, chociaż nie widział jego sylwetki. Potem, po całej wieczności zagubienia w strachu, pojął, że to on sam głośno łapał oddech.

Pod wysokim sufitem dyndała żarówka na długim kablu. Zanim oczy Hansa przyzwyczyły się do jej drgającego światła, wpadł na stołek na trzech nogach. Rozejrzał się przestraszony, zastanawiając się, czy ktoś go widzi, postawił chybotliwy mebel z powrotem pod ścianą i usiadł na nim. Poczuł ogromną ulgę, ale też przemożny wstyd. Uczciwy Niemiec Hans Dietz, który nie zбочzył ze słusznej drogi, ukrył twarz w dłoniach. Z przerażeniem zrozumiał, że był przeklęty, gdyż po wszystkie czasy należał do narodu oprawców.

Gdy jego dusza płonęła, wyciągnął przed siebie ręce i zawołał Annę. Ciało mu zeszywniało jak zamrożony konar, język wysechł, a usta się kleiły. Czy babka Fanny rzeczywiście mieszkała w tym domu duchów? Jak ją rozpoznać? Zaledwie kilka razy widział Betsy Sternberg, i to było już dawno temu. Jak ma rozmawiać Niemiec z kobietą, która wróciła z obozu koncentracyjnego? Czy powinien zacząć od tego, że udało im się uratować Fanny? Opowiedzieć o Annie, dziełnej córce Johanna Isidora, która dokonała niemożliwego? Być może należało pogratulować Betsy ocalenia?

– Pani Sternberg, cieszę się bardzo, że się pani udało – wyszeptał Hans. Własny głos wzbudził w nim wstręt. Pogardzał tą swoją niezdarnością i tym, że czuł silną jak nigdy potrzebę uderzenia samego siebie w twarz. – Proszę, wybacz mi – powiedział. W ten sposób błagał o wybaczenie tego, w którego już nie wierzył.

Nagle usłyszał stukot laski o podłogę. Nieustający, równy. Każdy odgłos oznaczał



zagrożenie. Zbliżała się do niego jakaś postać. Ciężko oddychała, sapała zupełnie tak samo jak on wcześniej. Stopy obute w pantofle szurały po podłodze. Czy to znowu ten człowiek z końskim łajnem? Diabeł przebrany za pocziwca?

– Szuka pan kogoś? – spytała kobieta. Sapała, nawet stojąc. Miała drobną twarz i rzadkie siwe włosy w nieładzie. Laska była dla niej stanowczo za długa.

– Nie – odparł Hans. Nie mógł wymówić tego słowa, bał się, że się ośmieszy, ręką dotknął czoła. – Nikogo – dorzucił z zakłopotaniem.

– Nie rozpoznaję tego nazwiska – powiedziała kobieta. Jej głos zupełnie nie licował z sylwetką, był wyraźny, silny i sympatyczny, o berlińskim akcencie. Czy to miał być dowcip? Hans uważał, że ludzie o oczach pozbawionych życia raczej nie robią sobie dowcipów.

– Tylko sobie chwilę odpocznę – wyjąkał. – Szukałem w zasadzie jednej osoby, ale nie wiem, czy to właściwe miejsce.

– Mamy biuro, można tam spytać. W razie gdyby spotkał pan już tylko kota.

– Dziękuję. To na pewno mi coś pomoże.

– Jak kot może panu pomóc? – kobieta spojrzała na niego karcącym wzrokiem, ale mimo to przez jeden szczęśliwy moment wydawało się, że się uśmiecha. Jej oczy wydały się mniej zmęczone niż wcześniej, a usta nabrały koloru. Zaczęła się wiercić jak młoda dziewczyna, która poprawia włosy tylko po to, by zwrócić na siebie uwagę.

– Pan i to krzesło – powiedziała – macie razem cztery nogi. Gdy byłem dzieckiem, uwielbiałem takie zagadki. Moi synowie też. Musiałam im ciągle wymyślać coś nowego. Zanim umarłam, miałam czterech synów. Został mi tylko Benny. Jego nie dostali. Mieszka w Detroit, ma żonę i troje dzieci. Dowiedziałam się dopiero cztery tygodnie temu. Amerykański żołnierz przyniósł mi list od niego, ze zdjęciami. I cały funt kawy. Ma piękną blondynkę za żonę. Zawsze chciał mieć taką. Już jako młody chłopak czytał tylko baśnie, w których kobiety nosiły długie blond włosy. Jak Roszpunka. No tak, jak Roszpunka. Trzeba to sobie wyobrazić. Słyszał pan kiedyś o Detroit?

– Tak – skłamał Hans. – To musi być piękne miasto.

Poruszyło go, jak bardzo staruszka dążyła do tego, by opowiedzieć mu o swoich synach, ale nie udało mu się podnieść głowy. Skupił się na podłodze i liczył rysy w kamieniu. Podczas gdy kobieta opowiadała o synu, który powinien żyć, zrozumiał, że w Niemczech nic nie będzie już takie jak kiedyś. Gdy jakiś Niemiec zapyta Żyda o jego rodzinę i przeszłość, otworzy rany, których nie można uleczyć.

– Nigdy – powiedział.

– Co panu jest? – spytała kobieta. – Wygląda pan jakoś niewyraźnie, jak duch. Moja matka zawsze tak mówiła. Już nie ma duchów. – Postukała laską o podłogę. Jeszcze była w niej ciekawość, która pozwala ludziom cieszyć się słońcem. – Jak udało się panu przeżyć z jedną nogą?

– W momencie wybuchu wojny miałem dwie – wyjaśnił Hans. Chciał powiedzieć coś dowcipnego, ale nie przyszło mu nic do głowy.

Kobiecie nie trzeba było głupich żartów, aby zrozumieć.

– Ach, więc to tak – powiedziała. – Jest pan jednym z tych, którzy mieli umrzeć za ojczyznę. A nie z tych, którzy mieli umrzeć w obozach. To ogromna różnica, może mi pan wierzyć. Proszę wybaczyć, nie miałam nic złego na myśli. Jestem starą kobietą. Często zapominam, że inni ludzie też byli ofiarami. Nie tylko my.

W drodze do domu zmagał się z zimnym deszczem. Szedł przygnieciony ciężarem, który uważał za brak odwagi i niezdarność, zamiast uznać go za brzemię tych, co cierpieli z powodu winy, która nie należała do nich.

– Nie mogłem wydobyć z siebie słowa – powiedział Annie. – Mogłem ją po prostu zapytać, czy zna panią Sternberg, ale nie dałem rady. Twój mąż jest największym tchórzem w całym Frankfurcie. Mógłbym go sprać porządnie, dawać mu wycisk przez całe dwa dni.

– Hej, nie mów źle o moim mężu – zaperzyła się Anna. – To twoja żona zasługuje na lanie. Przez całe dwa dni. Powinna była wiedzieć od początku, że to ja mam iść na Gagernstrasse, a nie ty. Tylko się bałam.

– To dobrze, że przynajmniej byliśmy na tyle mądrzy, że nic nie powiedzieliśmy Fanny. Wyobraź sobie jej rozczarowanie: nie dość, że źle zrozumiała nazwę, to jeszcze Betsy być może nie mieszka na Gagernstrasse.

– Fanny nie jest już dzieckiem. Nie możemy jej obronić przed rozczarowaniem. Jutro pójdę tam razem z nią. Być może to ona będzie musiała bronić mnie, jeśli wszystko to okaże się daremne. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo chciałabym znaleźć tam Betsy. Już dawno zapomniałam, że właściwie nie jest moją matką.

– Gdybym nie umiał sobie tego wyobrazić, nie przydałbym się już na nic. Co powiesz Fanny?

– Prawdę. Jesteśmy jej to winni. Pochodzi z rodziny, w której się nie kłamało. Ja też jestem stamtąd, jeśli zapomnimy pierwsze osiem lat mojego życia.

Niewiele rozmawiali w ten poniedziałek naznaczony oczekiwaniem. Inaczej niż dzień wcześniej pogoda była jesiennie przyjemna, świeciło słońce. Chmury przypominały baranki, a kałuże były czyste jak lustra. Wiewiórki znosiły zapasy na zimę. Fanny co chwila patrzyła w niebo i obiecywała Bogu nie wątpić już we własną mądrość, jeśli tylko nastąpi ten cud, o który codziennie się modliła.

– Myślisz, że babcia mnie pozna? – spytała Annę. – Jeśli tylko tam będzie, oczywiście. Czytałam kiedyś, że nie można mówić o przyszłości. Ty też tak uważasz?

– Musisz spytać kogoś mądrego.

– Dla mnie ty jesteś wystarczająco mądra – stwierdziła Fanny.

Maximilianstrasse była jeszcze bardziej pusta niż poprzedniego dnia. Pieluchy i ścierki trzepotały na kijach wystawionych w oknach. Kobiety w pożółkłych białych podomkach i w turbanach z chustek na głowach wyglądały z okien, gapiąc się w pustkę. Ręce opierały na poduszkach.

– Zupełnie jak kiedyś – powiedziała Anna. – Twój wuj Erwin nie znosił takich kobiet. Mówił, że gapią się jak sroka w gnat. Chodź, jesteśmy na miejscu. To jest ten dom starców.

– Teraz się boję – rzuciła Fanny.

– Ja też. I nie tylko teraz. Chodź, jesteśmy razem, nic nie może się nam stać. Zupełnie nic.

– Już mi to powiedziałaś.

– Kiedy?

– Kiedy odprułaś mi od płaszcza żółtą gwiazdę.

– Ciągłe to pamiętasz? Po całym tym czasie!

– Tak.

Wzięły się za ręce jak dzieci, które dokazują na letniej łące, tyle że się nie śmiały. Ich strach, że los sobie okrutnie z nimi pogra, był zbyt wielki. W ogrodzie wiele się działo, trawnik był mokry od niedawnego deszczu. Owce stały jedna obok drugiej, wyglądały, jakby były ze sobą zrosnięte.

– Hans powiedział mi o tych owcach. Wiesz, on już tu wczoraj był.

– Wiem – odparła Fanny. – Odkąd wojna się skończyła, nie szepczecie już zbyt cicho.

Na ławkach wokół trawnika siedziały grubo ubrane kobiety okryte kocami. Obok nich starszy mężczyzna tłukł laską o ziemię. Był to spokojny, harmonijny obraz, mimo

że kobiety rozmawiały ze sobą rozkazującym tonem osób niedosłyszających. Jedna staruszka, niezwykle wysoka, ale bardzo wychudzona, o czerwonej twarzy, wstała.

– Nie, nie myślę się. Do końca moich dni będę to widziała – zapewniła. – To był najlepszy przyjaciel mojego syna. Od samego początku. Nazywał się Falk. Falk von Wagenheim. Miał dwanaście lat, był najlepiej wychowanym chłopcem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. I w noc kryształową zabrał z naszego mieszkania, na moich oczach, szufladę ze srebrem i walnął mojego syna w brzuch. W tym momencie zrozumiałam, że nie ma już dla nas nadziei.

– Popatrz – wyszeptała Anna. – Kobieta na ławce. Ta, co siedzi sama i czyta. Mój Boże, niechaj się nie myślę. Ten jeden raz. Ona zawsze dużo czytała. – Naprężyła ciało, mocno ścisnęła rękę Fanny i ruszyła szybko do przodu, bo wiedziała, że jest już u celu. – Chodź Fanny, klamka zapadła.

Betsy spojrzała do góry, dopiero gdy usłyszała nad sobą ich oddech. Przez całą wieczność nie ruszała się, myśląc, że to tylko wiatr, ale wreszcie podjęła tę grę i odłożyła książkę. Jej ciało zeszywniało. Czy z radości, w szoku, czy to była już śmierć? Oczy nie wierzyły temu, co widzą, ale mimo to Betsy rozpostarła ramiona. Objęła Annę i Fanny, wachała ich skórę i czuła ich radość. Była ogłuszona szczęściem, którego nie potrafiłaby nazwać. Książka spadła na ziemię, leżała otwarta, a wiatr przerzucał jej strony i opowiadał niebu niezwykle historie. Pozostałe ławki stały puste, tylko jeden szary koc jeszcze gdzieś tam leżał. Owce beczały, unosząc głowy. W oknie na pierwszym piętrze stała młoda kobieta i dzwoniła złotym dzwoneczkiem.

– Pani Sternberg, obiad – krzyczała. – Nie jest pani przypadkiem głodna?

Betsy się nie ruszyła. Nie płakała, bo wahała się, czy ostatnią godność, która jej jeszcze została, utopić we łzach. Gdy przyciągnęła do siebie Annę, jej serce biło jak u młodej kobiety, jej dłonie były tak ciepłe, jak już jej się to dawno nie zdarzyło.

– Jesteś – powiedziała, a Annie wydało się, że śpiewa – najlepszym, co spotkało mnie w małżeństwie. Już dawno powinnam to powiedzieć Johannowi Isidorowi. Chodź, Fanny, usiądź. Muszę cię czuć, by dotarło do mnie to, co się wydarzyło. Nie wierzyłam, że cię jeszcze zobaczę, ale mimo to cały czas o tobie myślałam.

## SPOTKANIE PRZY DRZWIACH

Listopad 1945

Dla Betsy zawsze było ważne, by nie folgować swojemu temperamentowi ani nie podążać za pierwszym impulsem. Już jako dziecko nie pchała się do przodu – mimo konkurencji licznych siostr o uwagę ukochanego ojca. „Kto stoi w cieniu, tego nie razi słońce” – zwykła później mawiać. Powtarzała swoim córkom, które ciągle chciały błyszczeć i być podziwiane, że najważniejsze są: skromność, empatia i dyskrecja. Rzadko kiedy to do nich docierało. Jej zdaniem energiczne występy i pozowanie na ważniaka było tylko domeną mężczyzn, nadęci ludzie działali jej na nerwy, do egocentryków zaś czuła wstręt. Nawet w dobrych czasach intuicyjnie nie ufała przyjaźniom na wyłączność, po powrocie z Theresienstadt w ogóle nie chciała zaś zdawać się na obcych. Nie mogła znieść opowieści o towarzyszach niedoli, którzy tak jak ona przeszli przez obozy koncentracyjne i stracili rodziny. Męczyły ją także banalne plotki.

Poważana madame Sternberg, małżonka bogatego i szanowanego człowieka, nie szukała taniej sensacji, nie była nawet ciekawska. Nie przyszło więc jej na myśl, że ktokolwiek w domu starców będzie się zajmował jej osobą.

– Czuję się tu tak dobrze, bo nikt mnie nie zauważa – wyjaśniała Annie. – Wydaje mi się, że wszyscyśmy zapomnieli w obozie, jak to jest interesować się innymi.

Rzadko zdarzało jej się aż tak pomylić. Była ciągle obserwowana. Zwłaszcza przez kobiety, które zgadzały się, że „tej Sternberżynie można pozazdrościć tak młodego wyglądu w wieku siedemdziesięciu trzech lat”. Zastanawiano się, czy „dostaje od tajemniczego protektora dodatkowe przydziały lub lekarstwa wzmacniające, a może ma jakieś kontakty z Amerykanami”. Pani Olschowsky, sprzątaczką z Wiesbaden, która przez trzy lata ukrywała się pod podłogą w domu aryjskiej przyjaciółki i mogła przez cały ten czas rozmawiać tylko ze swoją wybawicielką, mimo problemów z wysłowieniem się powiedziała w sposób nieznoszący sprzeciwu:

– Ona wygląda tak, jak kiedyś wyglądali bogacze, gdy wychodzili z domu w ciepły letni dzień. A przecież cztery miesiące leżała w niemieckim szpitalu, ledwo z tego wyszła.

Podobnie myślał doktor Goldschmidt, który opiekował się mieszkańcami domu i przyjmował tam co srodę. Gdy po raz pierwszy badał Betsy, powiedział:

– Jeśli dalej będzie się pani tak trzymać, przeżyje pani nas wszystkich.

Reakcja Betsy na tak niecodzienną diagnozę, której przypadkowym świadkiem była stara pani Friesländer, stała się tematem dnia. Otóż gdy doktor, który nie docenił znaczenia swych słów, mierzył jej puls, Betsy ze złością wyrwała mu rękę i szorstko go pouczyła:

– Panie doktorze, w Theresienstadt nauczyłam się raz na zawsze, że na to, czy się przeżyje, nie ma wpływu ani zdrowie, ani własna wola.

Niedługo po tym zdarzeniu wyobraźnię mieszkańców domu starców rozpała typowa dla tamtych czasów wymiana handlowa. Ta transakcja („zdecydowanie osobliwa, jeśli o mnie chodzi”) wywołała napływ plotek. Niewielka liczebnie, ale bardzo aktywna grupa stacjonujących we Frankfurcie żydowskich żołnierzy z okazji święta Chanuki podarowała każdemu mieszkańcowi domu puszkę koszernej wędliny, funt kawy i angielsko-hebrajski modlitewnik. Dwa dni później Betsy oddała swoje salami panu Mahlkemu, „o którym nawet tutejsze owce wiedzą, że koszerna wędlina pasuje mu jak wieprzowina rabinowi”.

O Sigismundzie Mahlke, siwowłosym i nerwowym nauczycielu licealnym bez posady, przebąkiwano, że wstąpił do partii na samym początku i z tego powodu zwolniono go teraz ze szkoły. W domu starców zajmował się księgowością i kontaktami z urzędami. Niezależnie od tego, czy był członkiem partii, czy podejrzanym o niegodne czyny, natychmiast zgodził się na propozycję Betsy, by za wędlinę oddać jej zbiór esejów Stefana Zweiga *Momenty zwrotne w historii*. Było to pierwsze wydanie i dlatego wartościowe, toteż Mahlke uratował je od spalenia w maju 1933 roku, mimo swojej wierności Hitlerowi i późniejszych wyrzutów sumienia. Opowiedział Betsy o tym skarbie tylko dlatego, że zawsze mówiła mu „dzień dobry” – czego nie robili inni mieszkańcy. Gdy kiedyś był mocno przeziębiony, życzyła mu także zdrowia.

– Muszę tyle nadrobić, muszę tyle sobie przypomnieć – miała wymamrotać Betsy „z wielkim zakłopotaniem”. Pani Simon („niechący, możecie mi państwo wierzyć!”) była świadkiem tej zadziwiającej wymiany. Nikt nie mógł tego pojąć. Kobieta, która

przeżyła śmiertelny głód w Theresienstadt, straciwszy blisko dwadzieścia kilogramów, oddawała wędlinę za książkę.

– W dodatku zupełnie cienką – donosiła pani Simon. – „Boże, chroń nas przed wykształconymi ludźmi” – powtarzał zawsze mój mąż.

Chociaż zarówno jej mąż, jak i dwie córki z dwójką wnucząt stracili życie, Henny Simon zachowała swoje wyczulenie na drobnostki, jak również zamiłowanie do fantazjowania. Jako pierwsza wiedziała, że „ta Sternberżyna była profesorem literatury na Uniwersytecie Frankfurckim”.

– Ponoć bardzo poważanym. Miała nawet dwa pomieszczenia do swojej dyspozycji. Z jedwabnymi zasłonami.

Dwa dni później pani Simon doniosła swojej współlokatorce, pani Feigenbaum, która ze względu na problemy ze słuchem często coś źle powtarzała, że ponownie zaoferowano Betsy jej dawne stanowisko, ale ona tę propozycję odrzuciła pod pretekstem, że ma tylko jedną parę butów, i to z podziurawionymi podeszwami. Ocena obuwniczej sytuacji Betsy była następująca: ma za duże stopy, by skorzystać z akcji, w ramach której w domu na Gagernstrasse rozdawano buty nieznanego pochodzenia.

Mężczyźni z domu starców także wiedzieli coś niesamowitego o „tej niespełna rozumu Sternberżynie, molu książkowym”. Otóż „mimo Hitlera i aryżacji”<sup>[24]</sup> miała ona podobno „tyle posiadłości we Frankfurcie, że mogłaby kupić cały ten dom”. A gdy Betsy podczas szabasu wspomniała między zupą z rozgotowanego szpiku a kaszą z przypalonymi kawałkami kapusty, że wcześniej mieszkała przy alei Rothschildów i chce tam jak najszybciej wrócić, by sprawdzić, czy jej stary dom jeszcze stoi, pojawiła się pogłoska, która nie pozostawiła nikogo z towarzyszy niedoli obojętnym. Pani Sternberg pochodzi z Rothschildów, mówiono, i ma krewnych na całym świecie.

– Nawet w Wenecji – stwierdziła pani Feigenbaum. W jej oczach pojawiły się łzy, a ramionami wstrząsał szloch. – Pojechaliśmy tam w 1929 roku na nasze srebrne gody. Płynęliśmy słynnym kanałem. Był maj, świecił księżyc i słyhać było śpiewy. Mój mąż mówił o tym jeszcze podczas naszego ostatniego wieczoru, choć ledwo mógł oddychać.

Ludzie, którzy widzieli, jak ich małżonkowie, dzieci, rodzeństwo, wnuki i starzy rodzice umierali z głodu albo niczym bydło byli przepędzani do pociągów jadących na wschód, ciągle zadawali sobie to bolesne pytanie: dlaczego to właśnie ja zostałem oszczędzony? Ci, którzy zwątpili, że ich losem było przeżyć, cierpieli z powodu nieustającego poczucia winy oraz z powodu samotności, której rozmiarów nie byli nawet w stanie sobie wyobrazić w czasach sprzed obozów. Mimo to ci cierpiący i zniechęceni, w przeciwieństwie do Betsy, byli żądni informacji o życiu innych. Gdy

ktoś miał krewnych za granicą, poruszenie ogarniało wszystkich. Oznaczało to oparcie i iskierkę nadziei, której tak potrzebowali ci, którzy powrócili do żywych, by się nie poddać. Tylko część z nich wiedziała, skąd wracali – byli mostem łączącym przeszłość z teraźniejszością.

Issac Birnbaum urodził się we Frankfurcie i mimo przeżytej w tym mieście męki nadal używał pełnego uczucia języka swojej ojczyzny. Ten osiemdziesięcioletni dawny agent nieruchomości, odnoszący w swej karierze liczne sukcesy, chętnie udzielał informacji o swoim mieście.

– Sternbergowie – wspominał – mieli trzy sklepy. Jeden większy od drugiego. To były grube ryby. Johanna Isidora Sternberga, właściciela pasmanterii na Hassengasse i sklepu z materiałami przy Glauburgstrasse nie dało się niczym omamić. Moja żona, która nie do końca była zadowolona z tego, co miała, zawsze stawiała mi go za wzór. „Ten Sternberg ma twarde łokcie – mawiała – i nosa do interesów”. I właściwych przyjaciół. Mieliśmy tego samego lekarza. Nazywał się Meyerbeer. To był świetny facet, mądrzejszy niż my wszyscy razem wzięci. Miał odwagę się zabić, gdy tylko dostał nakaz deportacji. Jego żona też to zrobiła. Często rozmawiałem w obozie ze Sternbergiem o tym samobójstwie. Obaj im zazdrościliśmy. „Bóg nagradza odważnych” – mówił mi Sternberg. „Ja pozwoliłem, żeby moja żona wyrzuciła truciznę do sedesu”.

To, że Betsy miała rodzinę we Frankfurcie, chociaż wiadomo było, że „jej cała rodzina zginęła w Theresienstadt”, było nieustannym tematem plotek.

– Już, tak szybko? – pytał ironicznie pan Weisshaupt, gdy dowiedział się o Annie i Fanny.

Pani Olschowsky skwitowała to jednym słowem: „Bezczelność”.

– Tak sobie tu przychodzą, po prostu, i siadają obok nas na ławce – podsumowała pani Simon to cudowne wydarzenie.

Gusti Biemann, pochodząca z Kassel, gdzie jej wcześniej zmarły mąż miał dwie kamienice i sklep dla bogatych panien, za pomocą swojego osławionego ciętego języka dostarczyła dowodów, że ulubione przysłowie zazdrośników nie zmienia się ani w dobrych, ani w złych czasach.

– Kto już ma, temu Bóg doda – podsumowała.

– Na wielką kupę to i diabeł sra – stwierdził z kolei Alfred Grün, mniej znany z ciętości swojego języka i w ogóle niepodważany o wulgarność

– Jak to jest, że pani Sternberg ma jeszcze jedną córkę i wnuki? Jakoś mi to wszystko



nie pasuje. Skąd nagle ta familia? Czy jej córeczka spacerowała sobie z żółtą gwiazdą po całym Frankfurcie, a ludzie przyjacielsko klepali ją po plecach i ustępowali miejsca na ławkach z napisem „Nie dla Żydów”? – pytała pani Schotten.

Mimo tej lawiny plotek, zazdrości i zdziwienia mieszkańcy domu przy Gagernstrasse cieszyli się z wizyt Anny – także ci, którzy o Betsy wiedzieli tylko, że „ta szczęściara cały czas w Theresienstadt przepracowała w przedszkolu”. Anna przychodziła co drugi dzień, zawsze z Erwinem w wózku i często z Sophie, która po drodze zbierała gałęzie do palenia w kuchennym piecyku. Niekiedy towarzyszyła im Lena, wystraszona przyjaciółka Sophie z Wrocławia. Zazwyczaj nie rozmawiała z obcymi, ale w ogrodzie domu starców opowiedziała jednookiemu mężczyźnie o kulach, i to już przy drugiej wizycie, o tym, że jej matka umarła z głodu podczas ucieczki ze wschodu.

– Mój dziadek – poinformowała – mówi, że ona jest teraz bardzo jasną gwiazdą. On zna dobrego Boga.

Mężczyzna rozplakał się swym jednym okiem. Był kiedyś nauczycielem historii i w momencie wyzwolenia Dachau przysiągł, że będzie się cieszył każdym cierpieniem, którego doświadczy jakiś Niemiec.

Mimo listopadowych deszczy i zimna zapowiadającego smutną zimę dzieci bawiły się w ogrodzie. Mężczyźni obserwowali je w zamyśleniu, a większość kobiet z westchnieniem przyciskała je do swoich wycieńczonych ciał, tuliła, całowała i zasypywała staromodnymi czułymi słówkami, których dziewczynki nie rozumiały. Sophie i nawet Lena pozwalały chętnie na te czułości, bo pocałunkom i szeptom towarzyszyły często cukierki, twardy piernik lub kawałek wyschniętego jabłka.

Obie dziewczynki najbardziej lubiły kuśtykającą, na czarno ubraną kobietę. Nie była wyższa od dwunastolatki, miała malutką głowę i szare włosy sterczące na wszystkie strony, podkrążone oczy i pożółkłą cerę. Mimo że przygarbiona staruszka o powykręcanych rękach wyglądała raczej na czarownicę, Sophie nazwała ją dobrą wróżką, taką jak ta, która uratowała Śpiącą Królową. Garbata wróżka przynosiła dzieciom do ogrodu ciepłą miętową herbatę, do której dodawała mnóstwo sacharyny, by uwierzyły, że posłodzono ją miodem i cukrem kandyzowanym. Nalewała swój cudowny napój z wysokiego srebrnego dzbanka.

– Ten dzbanek – opowiedziała – znalazłam pod krzakiem różanym. Na Röderbergweg. Wsadził go tam gruby Göring. Widziałam to na własne oczy. Teraz siedzi w amerykańskim więzieniu, ten gad. Na pewno nie dają mu tam herbaty miętowej.

Srebrny dzbanek cieszył także Betsy. Gdy patrzyła, jak kobieta nalewa z niego

herbatę, przypominała sobie niedzielne popołudnia nad kawą w ogrodzie zimowym przy alei Rothschildów. Obawiała się bólu, ale te obrazy sprawiały jej przyjemność. Pewnego niedzielnego poranka opowiedziała o swoich żółtych begoniach, które stały na parapecie w doniczce pomalowanej w płaczące serca. Victoria je uwielbiała.

– Nazywała je cudownymi kwiatami – przypominała sobie. Jeszcze gdy wymawiała te słowa, zobaczyła stojącą na balkonie sześciolletnią Vicky w niebieskiej jedwabnej sukience z koronkowym kołnierzykiem. Betsy wpatrywała się w ten obraz zbyt długo, oślepla i oniemiała. Kobieta ze srebrnym dzbankiem płakała razem z nią.

W czasie popołudniowych spotkań Betsy mówiła swojej odnalezionej córce:

– Praktycznie nie ma tu nikogo, kto nie straciłby dzieci i wnucząt w obozach. Ciągłe je wyliczają. Jakby to, że zamordowano jedno dziecko, nie było dostatecznie przerażające. A ja tu sobie siedzę i nie mogę tego pojąć, że uratowałaś Fanny. Do końca życia będę złorzeczyć Bogu, że twój ojciec się o tym nie dowiedział. Tak bardzo cię kochał i taki był z ciebie dumny.

Podczas następnej wizyty wyjawiała Annie, co stało się z Salem.

– Vicky trzymała go cały czas za rękę. Widziałam to. Jednak w którymś momencie musiała go puścić, gdy pchali ją w stronę pociągu. Słyszałam jego krzyk, jak się bronił. Miał taki cieniutki głosik. Ciągłe go słyszę i nigdy nie zapomnę. Płaczące dzieci były w tym wszystkim najgorsze. Nasz Salo nie miał siły, by żyć. Johann Isidor jeszcze trwał, ale on też był już martwy, chociaż zabrali go dopiero po czterech tygodniach. O czym ja tu w ogóle opowiadam? Jak jakaś praczka. Obiecałam sobie, że nie będę mówić o Theresienstadt nikomu, kto tam nie był. Jestem okropna.

– Ja nie jestem nikim. – Anna przełknęła łyżę. – Jestem twoją córką.

– Jesteś. Niech Bóg chroni niewiernych mężów.

Obie się zaśmiały. Po raz pierwszy, odkąd się odnalazły, śmiały się razem. Potem znowu się roześmiały, gdy Betsy opisała – z taką dokładnością, jakby to się wydarzyło wczoraj – jak Johann Isidor stanął przed nią, zakłopotany, ale z podniesionym czołem, trzymając za rękę ośmioletnią przestraszoną Annę, która miała na sobie taką samą sukienkę, jaką przywiózł z Paryża Vicky.

– Nie trzeba mi było niczego więcej – wspominała Betsy. – Nawet jeśli złamał przysięgę, jak to się wtedy mówiło, był dobrym mężem. Nie nadawał się tylko na kłamcę.

– Za to nadawał się na ojca – odparła Anna.

Betsy patrzyła na ogród. Owce i ławki pokryte były mgłą. Mimo to przycisnęła twarz do szyby. Nie chciała, żeby Anna zobaczyła jej oczy w momencie, gdy wchodzi w nie przeszłość.

– Boję się – powiedziała w końcu – że się nie zmieniłam. Ani trochę. Ciągłe zadaje pytania, które do niczego nie prowadzą. Myślisz, że Fanny kiedyś spyta o matkę? Albo o ojca, albo o Sala? Pomyślałam sobie, że powinnam przejąć inicjatywę. Skąd mam jednak wiedzieć, czego mogę od niej wymagać? Nadal nie wiem jeszcze, czy ona jest dzieckiem, czy już nim nie jest. Jak wytłumaczyć dziecku obozy?

– Ona nie jest dzieckiem, Betsy. Jest tylko mało pewna siebie i strachliwa. Te czasy, kiedy nie mogła nawet pójść do skrzynki pocztowej i kiedy my wszyscy za każdym szmerem kuliliśmy się i czekaliśmy na uderzenie, źle na nią wpłynęły. Od samego początku była wszystkiego świadoma. Ciągłe jeszcze boi się obcych. Dlatego też nie chce iść do szkoły.

– Co to za życie, kiedy się żyje jak jakiś kret? Może mogłabym na własnym przykładzie pokazać jej, że przeżycie obarczone jest pewną odpowiedzialnością. Może mogłabym zaproponować jej, by przeszła się ze mną na aleję Rothschildów? Muszę zobaczyć dom, teraz, kiedy znowu was mam, jeszcze silniej czuję tę potrzebę. I chcę, żeby Fanny była ze mną. Potrzebuję jej. Widzisz, Anno, udało im się. Z odważnej pani Sternberg, która uważała strach za słabość charakteru i pozwoliła synowi pójść na wojnę, nie roniąc przy tym ani jednej łzy, zrobili mysz, nie, myszkę. Ciągłe muszę się na kimsz opierać. I ocierać łzy. I muszę mieć kogoś, kto mi powie, co powinnam robić, a co sobie odpuścić, oraz przypomni, kim jestem. Najchętniej już na śniadanie piłabym walerianę, tylko że nigdzie nie można jej dostać.

– Jesteś odważniejsza niż my wszyscy, Betsy.

– Pozwoliłam wszystkiemu się wydarzyć. Do tego odwaga jest niepotrzebna. Ty coś zrobiłaś. To ogromna różnica.

We wtorek 20 listopada, o godzinie dziewiątej rano – był to dzień poprzedzający Dzień Pokuty i Modlitwy<sup>[25]</sup> – Betsy Sternberg i jej wnuczka wyruszyły w stronę domu, do którego starsza z kobiet czterdzieści pięć lat temu wprowadziła się ze swoim mężem i najstarszym synem.

– Urodziłam tam czworo dzieci.

– A nie pięcioro? Otto, Erwin, Clara – wyliczała Fanny na palcach – Victoria i Alice. – Imię własnej matki wymówiła cicho, powieki jej lekko zatrzepotały, ale Betsy udawała, że niczego nie zauważyła.

– Otto był już na świecie. Urodził się jeszcze w mieszkaniu na Sandweg. Przeprowadziliśmy się, kiedy miał cztery lata. W dniu urodzin cesarza po raz pierwszy zjedliśmy śniadanie w alei Rothschildów. Słońce świeciło. Prawdziwie cesarska pogoda.

– W Niemczech był kiedyś cesarz? – zdziwiła się Fanny. – Myślałam, że zawsze rządził tu Hitler.

– Tylko przez dwanaście lat – wyjaśniła Betsy – ale w piekle czas płynie inaczej. Dla nas była to cała wieczność. Nigdy właściwie nie przeminie.

Ten 20 listopada to był dla Niemiec ważny dzień – chociaż Betsy dowiedziała się o tym dopiero wieczorem, gdy słuchała wraz z Hansem i Anną radia. Tego dnia rozpoczął się przed trybunałem wojskowym w Norymberdze proces dwudziestu jeden czołowych przywódców nazistowskiego reżimu. Przed trybunałem stanęli między innymi: marszałek Rzeszy i szef lotnictwa Hermann Göring, Julius Streicher, który wydawał antysemickie pismo „Der Stürmer”, zastępca Hitlera Rudolf Hess i feldmarszałek Wilhelm Keitel, były szef najwyższego dowództwa Wehrmachtu.

Także w Lüneburgu w ten wtorek rozpoczął się proces. Były komendant obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen Josef Kramer wraz z dziesięcioma innymi oskarżonymi został przez Brytyjczyków skazany na śmierć. Również 20 listopada 1945 roku wojskowe władze amerykańskie we Frankfurcie opublikowały listę ponad tysiąca znanych Niemców objętych zakazem działalności w sektorze kulturalnym. Na tej liście znaleźli się byli sympatycy nazizmu, tacy jak: Wilhelm Furtwängler, dyrygent z Filharmonii Berlińskiej, pianista Walter Gieseking, aktor Emil Jannings i pisarz Ernst Jünger.

– Mogę się założyć, że po tak długim czasie nie trafiłabyś na aleję Rothschildów beze mnie – droczyła się Betsy.

– Przegrałabyś. Nawet jako dziecko umiałam dokładnie odtworzyć tę drogę. I tę do mojej żydowskiej szkoły, i na aleję Günthersburską, gdzie mieszkali moi rodzice. Zawsze się bałam, że kiedyś zapomnę, kim jestem.

– Niech Bóg cię chroni, Fanny. Gdybym była jedną z takich żydowskich babć, jaką sama miałam, tobym cię teraz pobłogosławiła. Tylko że nie umiem tego robić. Nie błogosławiłam nawet swoich dzieci. My, Sternbergowie, wcześniej odsunęliśmy się od Boga.

Przeszły aleją Habsburgów. Potem, na Arnsburger Strasse, Betsy się zatrzymała.

– Tu mieszkał nasz dostawca węgla – przypomniała sobie. – Zaczyna człowiek.

W czasie pierwszej wojny tak nas zaopatrywał, jakbyśmy byli jego rodziną. A w 1933 roku zachowywał się, jakby nikt go nie poinformował, że Żydzi są wyjęci spod prawa. Spójrz, jaka piękna brukselka rośnie przed tym domem z zabitymi oknami. Ślina mi napływa do ust. Brukselka w sosie śmietanowym i z gałką muszkatołową. W wykonaniu Josephy to było istne чудо.

Wszystkie ogrody zostały przeznaczone pod uprawę roślin jadalnych. Kartofle już zebrano, została jeszcze biała kapusta. Pory nadal tkwiły w ziemi. W małych doniczkach rosły pietruszka i szczypiorek. Na balkonach liście tytoniu stawiąły czoło nadchodzącej zimie. Tabliczka przyczepiona drutem do żelaznego płotu ostrzegała: „Złodzieje będą bezwzględnie przekazywani policji”.

– *Nebich* – naigrawała się Betsy. – Jakby niemiecka policja nie miała nic innego do roboty, tylko ochraniać niemiecką kapustę. Wybacz, Fanny, masz naprawdę oziębłą babkę, która ciągle zapomina, że nie możesz znać tego słowa.

– Ależ znam! Wujek Erwin zawsze je powtarzał. Doskonale to pamiętam.

– Twój wujek Erwin jest moim synem.

– Wiem, ale zanim się nie pojawiłaś, nie było to dla mnie tak do końca jasne. Co wieczór modłę się, żeby do nas napisał. Anna tak bardzo na to czeka. Czasami myślę sobie, że się w nim durzyła.

– Z całego rodzeństwa miał największe serce i najlepszy charakter. Do końca życia będę się wstydzić, że Anna odkryła to wcześniej niż ja.

– Anna także ma wielkie serce – powiedziała Fanny.

– I komu ty to mówisz? Chodź, podejźmy na moment do domku wodnego. Tak dawno żadnego nie widziałam. To typowe budowle frankfurckie. Dzieci wydawały tam każdego feniga na oranżadę w proszku i lukrecjowe ślimaki. Tylko nasza Alice nigdy się nie skusiła. Oczarowały ją śliskie zielone gumowe węże. Jak to później powiedział Erwin, w ten sposób przygotowywała się do wyjazdu do Afryki Południowej. Boże, chroń mnie przed moją pamięcią!

Domek wodny z nieheblowanych desek stał na pasie zieleni rozdzielającym obie jezdnie alei Habsburgów. Jedna z desek została zdjęta z drzwiczek i funkcjonowała jako lada. Widniał na niej stary napis „Uwaga! Trucizna!”. Na ladzie opierał się mężczyzna o pożółkłej twarzy, w szarej wełnianej czapce na głowie i w okularach. Już z daleka skinął głową Fanny i Betsy. Na prawej ręce miał podziurawioną rękawicę wojskową. Palcem wskazał na papierowy szyld, na którym na czerwono zapisano:

„Gorący napój, zawsze świeży”. Przed drzwiami stał niewielki piecyk opalany drzewem, w którym żarzył się ogień, a z czarnego garnka z chybotliwą pokrywką unosiła się para.

– Za pięć minut będzie gorący jak samo piekło – zachwalał mężczyzna. – Gorące napoje Thea Tausendsassy rozgrzewają od góry do dołu i z powrotem. Wtedy zaczyna się rozumieć swoje szczęście, że się przeżyło tę przeklętą wojnę. Nie mieliśmy takich rarytasów na wycieczce do Stalingradu. Rozpuszczaliśmy śnieg i zdychaliśmy na czerwone.

– Skoro tak – powiedziała Betsy – to bierzemy dwie porcje. Który bardziej rozgrzewa: czerwony czy zielony?

– Najważniejsze, żeby nie był brunatny. – Theo zarechotał. Chwycił ustami gumkę, na której wisiały jego okulary. – Z brunatnymi koniec. Przynajmniej tak mówią ludzie, którzy wiedzą lepiej. Lepiej niż Bóg i lepiej niż Amerykanie. Teraz mamy demokrację. Każdy kretyn może mówić, co myśli. Tyle że myślą ciągle to samo. Chleb ze smalcem za Adolfa był tysiąc razy zdrowszy niż głód w czasach demokracji. Pobożnymi sentencjami nikt się jeszcze nie najadł.

Betsy i Fanny oparły się o ścianę domku i piły z pogniecionych blaszanych kubków parujący napój o kolorze truskawek, mocno posłodzony sacharyną i z tego powodu zbyt gorzki. Już przy pierwszym łyku Betsy przypomniał się Hans Fallada<sup>[26]</sup>.

– Kto choć raz żarł z blaszanego naczynia – mruknęła. Zobaczyła siebie siedzącą na pokrytej czerwonym pluszem sofie stojącej w ogrodzie zimowym. Książka Fallady leżała na białym lakierowanym stoliczku do kawy w stylu wiedeńskim, który dostała od Johanna Isidora na piętnastą rocznicę ślubu.

Fanny zaczęła się śmiać tak mocno, że musiała odstawić swój kubek.

– Zawsze myślałam, że tylko psy żrą – prychnęła. W jej oczach błysnęła wesołość osób pozbawionych trosk. Przez ułamek sekundy wyglądała jak dziecko.

– Wydaje mi się, że zostaniemy przyjaciółkami, panno Feuereisen – stwierdziła Betsy.

– Pierwszy raz słyszę, jak się śmiejesz. Nie wiesz nawet, ile to dla mnie znaczy. Zobaczyć twoją radość to więcej niż to, na co liczyłam. Poza tym musisz wiedzieć, że bardzo się cieszę, że nie muszę być tradycyjną babką. Ze srebrnymi loczkami i w koronkowym kołnierzyku. Taką, która rzuca piłeczki, szyje ubranka dla lalek i śpiewa „Piecz się, piecz, ciasteczko”, bo nie umie policzyć nawet do trzech. To już mnie dawno ominęło.

– Mnie też – dodała Fanny. – Tylko inaczej. Nie wiem, czy miałam kiedyś lalki, którym trzeba było szyć ubranka.

– Na pewno trzeba było, tylko Hitler się sprzeciwił. Nie mieliśmy już głowy do tego, żeby rozpieszczać dzieci i tworzyć wymyślone światy. Nikt też z tobą nie śpiewał.

Fanny otarła z czoła i oczu ból ukryty pod postacią potu.

– Mój ojciec pięknie śpiewał – powiedziała do swojej babki, którą знаła nie dłużej niż trzy tygodnie.

– Nie zapomniałaś? Po wszystkich tych latach pamiętasz, że miał niesamowity głos! Zawsze powtarzaliśmy, że z takim głosem Fritz mógłby zarabiać na życie jako kantor. Raz nam odpowiedział: „Żydowski chleb jest twardy”. Byłaś taka mała, gdy wyjechał. Myśleliśmy, że nic nie pamiętasz. Nigdy o niego nie pytałaś.

– Nie zapomniałam niczego. A już na pewno nie mojego ojca. Tylko czasami brakuje słów, żeby powiedzieć to, co się chce powiedzieć, więc nic się nie mówi. Poza tym gdy jestem z tobą, język mi się płacze, od razu to zauważyłam. A teraz ci coś powiem: dobrze wiem, gdzie teraz jesteśmy. Jeśli zamkniesz oczy i pozwolisz mi się poprowadzić, sama trafię na aleję Rothschildów. Staniemy przed domem i będziemy udawać, że nigdy stamtąd nie odeszliśmy. Sophie lubi się ze mną bawić w psa przewodnika.

– Na litość boską! Jeśli będę korzystać ze swoich oczu, to właśnie w ciągu następnego kwadransa. Niedobrze mi. To wszystko z emocji.

– Mnie też. Ale tylko troszeczkę. Reszta przeszła na ciebie.

Przeszły przez handlową Berger Strasse, znaną we Frankfurcie jako „Zeil Bornheimu”, dumę całej dzielnicy. Przed wojną mówiło się, że na tej ulicy można znaleźć wszystko – od spinek do kołnierzyka po gwoździe do trumny. W sklepie warzywnym, którego Betsy wcale nie zapomniała, gdyż zawsze tydzień wcześniej niż gdzie indziej sprzedawano tam szparagi, szyld obwieszczał, że tu przyjmuje się pończochy do cerowania. Na czterech ceglach leżała dachówka, na której stała ręczna maszyna do szycia. Na stołku siedziała chuda młoda kobieta o ustach pomalowanych na czerwono. Wydawała się przerażona, gdy zauważyła, że Betsy się jej przypatruje, ale zamachała do niej szarą męską skarpetą.

– Pończochy do cerowania. – Fanny pokręciła głową. – Ktoś tu jest w gorącej wodzie kąpany. Skąd w ogóle weźmiemy pończochy, nawet takie do zacerowania?

Przed domem, z którego zostało tylko pierwsze piętro i parter, siedziało dwóch czarnoskórych żołnierzy. Zajadali się długimi kiełbaskami włożonymi między dwie

grube bułki i polanymi keczupem. Rozbawieni Amerykanie przyciągnęli trzy młode, lubieżnie zerkające blondyny i całą chmarę zebrzących dzieci. Chłopcy krzyczeli na zmianę: *chewing gum* i *camels*, a kilkuletnie dziewczynki w za małych kurtkach wołały: *candy*, i wyciągały przed siebie ręce.

– Jeszcze tylko pięć minut – powiedziała Betsy – i będziemy na miejscu. Jesteśmy już na Höhenstrasse.

Mimo że wiele domów było zniszczonych, nadal istniały sklepy, które znała z dawnych czasów. Niektóre z nich były zamknięte, a w innych trudno było dociec, co tak naprawdę sprzedawano. Ostrzyciel noży w podziurawionej czapce stał przed zbombardowanym domem. Na zmianę podnosił sztucze do krojenia mięsa i swoją ostrzałkę. Inwalida wojenny z kulami wystawił na wyświechtanym papierze małe wyrzeźbione z drewna koniki.

– Umieją nawet rzeć – powiedział do Fanny, która się przed nim zatrzymała.

Na dawnym sklepie kolonialnym, znanym z szerokiego asortymentu kawy, zamieszczono zdobiony kolorowymi nićmi napis: „Sprawdzona wróżbiarka czytająca z rąk. Tylko za kartki na mięso lub na chleb albo inne produkty spożywcze. Potrzebuje także niezniszczonego płaszcza dla dziecka”.

– Myślę, że wróżbiarki mają powodzenie. Tylu ludzi szuka zaginionych krewnych.

– Gdybym miała kartki na mięso – powiedziała Fanny – też bym do niej poszła. I ja kogoś szukam.

– Nam nie pomoże żadna wróżbiarka. Czekamy tylko na ponowne uruchomienie połączeń pocztowych z zagranicą.

Przed piekarnią na skrzyżowaniu z Heidestrasse stała zwyczajna kolejka smutnych, bezradnych ludzi. W oknie wystawowym naklejono małą gałązkę świerkową i ogłoszenie: „Z powodu zakazu pieczenia w domu nie przyjmujemy ciasta do wypieczenia od osób postronnych”. Przed ladą z nabiałem stały głównie kobiety i dzieci, wszystkie trzymały w ręku naczynia, menażki z magazynów Wehrmachtu, dzbanki lub słoje wekowe.

– Tutaj – powiedziała Betsy – też zawsze robiliśmy zakupy. Josepha za nic nie przyniosłaby masła z innego sklepu. Nawet z Fressgasse. Właściciel nie był zbyt przyjazny, ale nie żaden nazista, broń Boże. Do ostatniego dnia mówił mi „dzień dobry”. Dobry Boże, tam stoi. To nie może być prawda. Nic się nie zmieniło, świat nadal się kręci, jakby nie było nazistów ani obozów. Pozwól, że się o ciebie oprę,



Fanny. Powiedz mi, że żyję i że to wszystko się dzieje. Mam wrażenie, że zaraz zabraknie mi powietrza. Albo że się przewrócę.

W oczach Fanny błysnęła radość. Jeszcze nigdy nie była podporą dla słabszej osoby, zawsze sama wyciągała ramię w poszukiwaniu wsparcia. Po chwili czuła już tylko dumę, która ją rozgrzewała, a potem przepłynęła przez nią miłość. Poczowała się silna i pewna siebie. Tym razem nie dziwiło jej, że nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa, powiedzieć tego, co w niej buzowało.

– Jesteśmy nie po tej stronie – zauważyła Betsy. – Zabawne, ja zawsze szłam po tej stronie, a dziewczęta po drugiej. Dlaczego przypominam sobie takie szczególiki? I dlaczego tak bardzo ta przeklęta pamięć mnie boli?

Na skrzyżowaniu alei Rothschildów i Burgstrasse rozpoznała drogerię, w której każdej wiosny Josepha kupowała świeże lepy na muchy, kulki przeciwmolowe, przyprawy i spirytus na wielkie porządki. Drzwi do sklepu były otwarte, właścicielka w biało-niebieskiej wełnianej sukience w grochy i ściśle upiętym koku stała przed ladą ze skrzyżowanymi rękami. Betsy zauważyła, że kobieta od razu ją rozpoznała, zachowywała się, jakby nie wiedziała, co zrobić, złapała się za głowę. Zrobiła jednak ruch w jej kierunku.

– Chodź, Fanny, szybko. Jeśli będę z kimś teraz rozmawiać, a zwłaszcza z nią, to sobie nie poradzę. Ani z głową, ani z nogami. Zawsze była taka przeraźliwie ciekawska. Już wtedy nie mogłam tego znieść. Jeszcze ją widzę, jak nas obserwuje, gdy opuszczamy nasz dom. Nic wtedy nie powiedziała, a nie można przecież mijać ludzi bez słowa. Jeszcze minuta i będziemy na miejscu. Raz na zawsze. Czy w ogóle można tak patrzeć za siebie, przerzucać kartki przeszłości, jakby to była książka? Czy znajdę to, czego szukam, czy też zmienię się w słup soli jak żona Lota?

Stała przed domem, którego dumną właścicielką była przez trzydzieści osiem lat, domem, gdzie żyła nadzieją, cierpiała i na zawsze pożegnała się ze złudzeniem, że Niemcy staną się jej ojczyzną, a Frankfurt własnym miejscem na ziemi. Oczy zasły jej łzami. Nic już nie słyszała, a jej usta drżały. Lewą rękę przycisnęła do serca i z każdym jego uderzeniem czuła powracający strach i zwątpienie ostatniego dnia w ukochanym domu. Znowu ogarnęły ją wstyd i rezygnacja związane z tym, że należała do wyobcowanych i przeklętych.

– Musiałam przyjść – wyszeptała. – Nie mogłam zapomnieć. – Położyła dłoń na ścianie.

Obrazy, które widziała, ciągnęły ją do piwnicy i spiżarni, przed drzwiami najemców i wreszcie do jej własnego mieszkania z bordowymi poduszkami przy oknach

w salonie, a na koniec do wiśni rosnącej na podwórku. W tym roku trzeba zawczasu zebrać wiśnie, nigdy nie wiadomo, kiedy uderzą wróble. „Nie tylko wróble” – powiedział Erwin. Johann Isidor klepnął go w ramię. „Syn okazał się mądrzejszy od ojca” – stwierdził. „To wszystko było złudzeniem, ale na nic lepszego nie zasłużyłem. Wierzyłem w Niemcy” – dodał. „Nie tylko ty, ojcze”.

– Nie wiedziałam, że jestem tak mocno związana z tym domem, Fanny. – Betsy przełknęła łzy, gdy wreszcie opuściły ją cienie. Chwyciła pręt kraty, jej knykcie zbieleły. – Temu bzowi jest obojętne, dla kogo kwitnie. Zawsze powtarzałam, że natura nie ma sumienia. Ptaki ćwierkały także w Theresienstadt i słońce wstawało tam tak samo jak w Wenecji czy Timbaktu. Zobacz, dom oberwał podczas bombardowania. Nie ma trzeciego i czwartego piętra.

Nad drugim piętrem położono prowizoryczny dach z drewna i blachy. W mieszkaniu na pierwszym piętrze, w którym Sternbergowie jeszcze w pamiętnym roku 1933 twierdzili, że można zaufać narodowi poetów i myślicieli, tylko okna od frontu były jeszcze oszklone. Te na ścianie bocznej zabito deskami. Na wybrukowanym podwórzu uparta trawa rozprzestrzeniała się między płytami, a w ogrodzie przed domem, na dawnym klombie różanym, rosła kapusta. W żywopłocie widać było dziurę wielkości szczura. Drzwi wejściowe – niegdyś duma Johanna Isidora ze względu na ich kunsztowne wykonanie i to, że przeciwstawiały się przepychowi swoich czasów – zostały prowizorycznie załatane. Brakowało ołowianych części, szkło zostało stłuczone, a mosiężna gałka zamieniona na zwykłą bakelitową klamkę. Skrzynki pocztowe były zniszczone, pogięte i zapisane większą liczbą nazwisk niż kiedyś. Także nazwiska przy dzwonek, czasami po prostu dopisane ołówkiem, wskazywały, że w domu mieszkało więcej niż sześć rodzin, dla których był on przewidziany.

– Neugebauer – przeliterowała Betsy. – Na niebiosy, oni tu nadal mieszkają. Cała ta banda! Naziści do szpiku kości. W oknie wywiesili swastykę, ale co niedziela chodzili do kościoła. Mąż pracował chyba w księgach wieczystych. O, jak cudownie! Jeszcze jedno nazwisko na parterze: Jensen. A więc szykowna pani Neugebauer, która biła swoich synów smyczą i której na koniec tak się baliśmy, że przemykaliśmy z przerażeniem po kątach, gdy ją spotykaliśmy, ma przymusowego lokatora. Najwidoczniej jest jeszcze jakaś sprawiedliwość. Mam nadzieję, że to rodzina z czwórką dzieci. Niech wszystkie mają krztusiec i smarują po ścianach. A kto trafił do naszego starego mieszkania?

Nie zdążyła przeczytać tabliczki z nazwiskiem lokatora z pierwszego piętra. Ktoś tak mocno szarpnął drzwiami do wewnątrz, że Betsy, która oparła rękę na klamce, ledwie

utrzymała się na nogach. Mężczyzna zmierzył ją wzrokiem, gdy jeszcze zastanawiała się, czy ma przeproszać. Miał na sobie długi, zielony, skórzany płaszcz. Przypominał jej okrycia gestapowców.

Fanny była blada, wyglądała niewyraźnie. Zacisnęła oczy i przerażona przytuliła się do muru. Betsy chciała do niej podejść, bo lepiej niż ktokolwiek wiedziała, że jeśli w odpowiedniej chwili nie weźmie się dziecka za rękę, czeka je śmierć.

– Tak – powiedziała. Jej głos zabrzmiał donośnie, chociaż w tym właśnie momencie pomieszały jej się czas i miejsce. Myślała, że Fanny to Claudette. – Tak, jesteś już od dawna w Palestynie – stwierdziła.

– Ależ jestem przy tobie – odparła Fanny. Już nie opierała się o ścianę. Już nie była mała ani nie zaciskała oczu.

Mężczyzna zdjął kapelusz. Jego siwe włosy były gęste, przez czoło przebiegała mu głęboka zmarszczka. Nad szarymi oczami jeżyły się bujne brwi. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat i najwidoczniej stracił sporo na wadze. Płaszcz był na niego za duży, spodnie za długie. Miał cienką, pomarszczoną szyję. Na lewej nodze nosił but ortopedyczny.

Betsy natychmiast go rozpoznała. Mimo to spojrzała na jego luźno zwisającą prawą rękę.

– Ach – powiedziała. Zrobiło jej się niedobrze. Poczwała dłoń Fanny na swoim ramieniu. Czy musi mu tłumaczyć, kim jest? Co mu powiedzieć, jak znieść to, co trzeba było znieść?

– Pani Sternberg – odezwał się mężczyzna. Jego głos, tak przyjemny dla muzycznego ucha, Betsy rozpoznałaby bez pudła. – Cóż za radosny dzień dla wszystkich. Nie spodziewałem się tego. Nic się pani nie zmieniła. Ani trochę. Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– Najlepiej nic, Theo. Już pan wystarczająco wiele powiedział, gdy się ostatnio widzieliśmy.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak się państwu powodziło w tych okrutnych czasach. Zwłaszcza pani małżonkowi. Zawsze był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Podziwiałem go już jako chłopak. Mój Boże, widzę go teraz...

– Mojego małżonka zamordowali w obozie. Prawdopodobnie w Auschwitz. Jak również Victorię i jej małego synka.

– Zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– Już pan to mówił.

Nazywał się Theodorich Rudolph Berghammer. Od szóstego roku życia mieszkał w domu przy alei Rothschildów 9. Był najlepszym przyjacielem Ottona. Uwiódł siedemnastoletnią Clarę i był ojcem Claudette. Podczas pierwszej wojny światowej stracił stopę, siłę w ręce i chęć do życia, a w czasach nazizmu sumienie i przyzwoitość. To, że po wojnie nie tylko mógł zatroszczyć się o rodzinę, ale też wyjść na zadowolonego, pewnego siebie człowieka, zawdzięczał swojej żonie Waltraud, która urodziła mu czworo dzieci i zmusiła go, by w czasie zamętu po bombardowaniu zajęli mieszkanie dawnych właścicieli domu. W 1945 roku inwalida wojenny Theodorich Berghammer złożył w Urzędzie Mieszkaniowym oświadczenie, że ma córkę Żydówkę, która musiała wyemigrować do Palestyny i którą „w bliskiej przyszłości” zamierzał „sprowadzić do domu”. W przekonaniu urzędnika o prawdziwości swoich słów pomógł mu kilogram słoniny i jeszcze jeden świńskiego smalcu. Urzędnik wziął kolejny kilogram słoniny i przekazał Theowi mieszkanie dawnego gospodarza domu „do dalszego korzystania”.

Theo powiedział Betsy, że ma nadzieję, że „ze względu na dawne czasy” będzie ona wkrótce ich odwiedzać.

– Moja żona bardzo się ucieszy. Tak wiele jej opowiadałem o rodzinie Sternbergów – mówił, patrząc dawnej gospodyni prosto w oczy. Nie brakowało mu odwagi ani elastyczności.

– Gdybym tylko wiedziała, co mam pamiętać – odparła Betsy. – To, że był pan najlepszym przyjacielem mojego syna, czy też to, że wyrwał mi pan w korytarzu siatkę z zakupami i nazwał mnie przeklętą żydowską szmatą.

## GROM Z JASNEGO NIEBA

Grudzień 1945–marzec 1946

– Kochany Bóg rzuca bomby na nasz dom – krzyczała Sophie. – Musimy szybko do piwnicy.

– Nie – uspokoił ją ojciec. – Nie, to tylko złe burzowe diabły. Chcą nas przestraszyć, ale my się wcale nie boimy. Wiemy, że już nigdy nie będzie wojny. Żadne dziecko nie musi już się chować w piwnicy.

– Lena mówi, że nadchodzą Rusczy. Zaciągają kobiety do lasu i gotują dzieci w wielkich garach.

– Nie w czasie pokoju, Sophie, powiedz to Lenie.

Rok 1945, rok biedy, odchodził z Frankfurtu w czasie wielkiej burzy. W poranionym mieście drżały zniszczone domy. Ruiny się zapadały, a prowizorycznie zreperowane drzwi wejściowe leżały na ulicy. Nieliczne tramwaje, które wróciły na trasy, stały bez ruchu. Przez całą noc zacinający wiatr ściągał z dachów ogromne połacie papy, które na nieoświetlonych ulicach wyglądały jak monstrualne smoki. Na ludzi przechodzących po chodnikach spadały kamienie i gałęzie. Włamywacze korzystali z okazji, wskakiwali do piwnic pozbawionych okien i okradali głodujących z ostatnich zapasów – kartofli i lasek dla inwalidów, pordzewiałych rowerów, wózków dziecięcych bez kółek i całego szrotu, który obecni właściciele sami wcześniej ukradli.

„To bardzo zły znak dla roku 1946” – krakali przesądni mieszkańcy. „Kara boska” – twierdzili ci pobożni.

Nieszczęście zostało zapowiedziane długo przed Bożym Narodzeniem. Z dnia na dzień zaopatrzenie było coraz gorsze i narastało zwątpienie. Gazety, stacje radiowe i publiczne głośniki niezmordowanie przypominały, że tysiąc pięćset kalorii dziennie, które do tej pory przysługiwało każdemu dorosłemu, już nie obowiązywało – nawet

w strefie amerykańskiej, która uchodziła za najlepiej zaopatrzoną. Rzeźnicy, handlarze żywnością i piekarze stali za pustymi ladami i odczuwali gniew ludu. Mleko dla niemowląt i małych dzieci było rozcieńczane, do margaryny dodawano wody, a sznycle, jeśli w ogóle były, robiono tylko z końskiego mięsa. Mówiono, że piekarze sprzedają racje żywnościowe na czarnym rynku, a rzeźnicy na śniadanie zajadają się słoniną i napychają swoje dzieci wątróbką. W kolejkach sklepowych i w urzędach szeptem przeklinano Amerykanów, a demokrację posyłano do diabła. Ludzie nie wahali się publicznie mówić: „Za Adolfa przynajmniej się najadaliśmy”. Bez oporów marzyli o dobrym maśle, które synowie i mężowie przysyłali do domu z okupowanej Holandii. Wspominali dobrą polską kiełbasę i pyszną belgijską czekoladę.

– I koniaku z Francji i łososia z Norwegii też nie chcemy zapomnieć – kpił sobie Hans, gdy z Berger Strasse za kartki na pięćdziesiąt gramów mięsa przyniósł jednorazowy przydział pięciuset gramów ryby (nieoczyszczonej, z głową i ogonem). – Nikt nie zauważył ironii – skarżył się potem Betsy. – Mógłbym nimi wszystkimi potrząsnąć, tak jak tam stali. Te puste łby.

– Głodni nie wyczuwają ironii – powiedziała Betsy. – Nie czują też wstydu. Nauczyłam się tego w Theresienstadt.

Po mieście krążyły nieprzyjemne historie. „Ta banda uchodźców, która wyjada nam resztki, przywlokła tu świerzb i wszy. Ci z obozów – tyfus plamisty, cholera i gruźlicę. A od Amerykanów co druga złapała już syfilis”. O starych ludziach donoszono, że zamierzali w nieogrzewanych pomieszczeniach, o rachitycznych dzieciach – że rodzice musieli je przyprowadzać pod strefę amerykańską na żebry, a o pozbawionych sumienia spekulantach – że rzucą na czarny rynek nawet przydzielone im leki wzmacniające dla niemowląt i środek na wszy. „Moralność i przyzwoitość tylko za okazaniem dokumentu” – powtarzano na ulicach.

Każdy miał krewnego lub sąsiada, który dla dobra rodziny cierpiącej głód pojechał szukać jedzenia, ale któremu policjanci albo żandarmi zabrali łupy na dworcu lub w pociągu. Na czarnym rynku ceny osiągnęły kolejny niebotyczny pułap. Słabnąca marka nie była warta już nawet papieru, na którym ją drukowano. Wyłącznie za „jankeskie papierosy” można było dostać masło, mąkę, materiał, buty i odrobinę woli życia. Mimo to ludzie pożąдали nie tylko chleba. Godzinami wystawali w kolejkach do nielicznych kin, które ponownie otwarto. Gazety ukazywały się zaledwie dwa razy w tygodniu i trafiały do tak wielu rąk, że musiały być odprasowywane. Z pustym żołądkiem, ale w kapeluszach i szalach frankfurczycy trzęśli się w nieogrzewanej sali giełdy – i zaśmiewali do łez, bo niejaki pan Harpagnon siedział na bujanym fotelu

w szlafmocy i pełnym troski wzrokiem wpatrywał się w nocnik z pięknej porcelany. Siegfried Nürnberger wyreżyserował nieśmiertelną komedię Moliera *Chory z urojenia*. Ludzie stali po bilety w kolejkach tak samo długo jak po chleb, wszyscy jednak zgadzali się, że te niedogodności były warte zachodu. A na Boże Narodzenie wystawiono sztukę dla dzieci, które bawiły się w ruinach i nie miały ojców. Była to historia Piotrusia Kłamczuszka.

– To bajka bożonarodzeniowa – wyjaśniła Betsy.

– Czy można to jeść? – spytała Sophie.

– Tylko oczami, ale to daje nawet większą radość niż jedzenie buzią – powiedziała Betsy. Pomyślała o Victorii, która w czasach nazistowskich, gdy Żydzi nie mogli już nawet siadać na publicznych ławkach, przemykała pod osłoną nocy na przedstawienia do dzielnicy Römerberg. – Jej życie zawisło na włosku dla Floriana Geyera<sup>[27]</sup> – mruknęła Betsy. – Nikt dziś w to nie wierzy.

Chociaż natychmiast zamknęła oczy, zobaczyła Victorię, która wsiada w Theresienstadt do pociągu, i usłyszała, jak Salo woła matkę. Mimo to jej córkę wysłała wraz z Sophie na *Piotrusia Kłamczuszka* – miasto Frankfurt chciało pokazać, że czasy się zmieniły, i przekazało żydowskiemu domowi starców dwa bilety na premierę. Nie przydały się one jednak za bardzo ludziom, którzy utracili wnuki w obozach koncentracyjnych.

Przedostatniego dnia roku, który choć rozpoczął się jeszcze w czasie wojny, to nazywany był rokiem pokoju, rodzina Dietzów była w tak dobrym humorze, jakby wygrała los na loterii życia. Hansowi udało się zdobyć kilogram chleba, szklanek masła orzechowego, dwie puszki białej fasoli w sosie pomidorowym i litr amerykańskiej whisky. Na butelce napisane było „Bourbon” i *Property of the US Army*.

– Co to znaczy „bourbon”?

– Nie mam pojęcia. Zapytaj mister Morgenthaua<sup>[28]</sup>. On wie wszystko. Nawet to, jak z Niemiec zrobić państwo rolnicze, tak abyśmy już nigdy więcej nie pomyśleli sobie, że świat do nas należy. Zabierz to stąd, Anno. Gdy ktoś zobaczy tę butelkę, pomyśli, że ukradliśmy ją naszym wyzwolicielom.

– Wszystko jedno. Najważniejsze, że nie obciąża to twojego sumienia.

– Moje sumienie ma się dobrze. Który z naszych rodaków może tak o sobie powiedzieć?

Anna pozwoliła Hansowi na pięć kieliszków na spróbowanie i powiedziała, że chce zrobić z bourbona poncz.

– To barbarzyństwo – zaprotestował. – Taka whisky to lekarstwo.

– Chcesz ją wysączyć sam? Na sylwestra trzeba się dzielić z innymi. Zawsze tak było. Inaczej będziemy mieli zły rok.

Anna rozcieńczyła whisky wodą i resztkami soku berberysowego, który sama zrobiła. Następnie posłodziła całość sacharyną i dodała dla smaku kieliszeczek prawdziwej kawy oraz trzy krople kosztownej esencji do pieczenia z aromatem rumowym, który upatrzyła sobie Sophie. W wieczór sylwestrowy podała tę mistrzowską miksturę w brzuchatej zielonej misie kryształowej, którą udało się jej uratować jeszcze z domu Sternbergów.

Betsy zmusiła się, by spojrzeć na naczynie bez przywoływania wspomnień.

– Nie trzeba opłakiwać rzeczy, które można kupić za pieniądze – powiedziała do wnuczki i chociaż Fanny nie znała dziejów misy, wiedziała, że jej babka nie mówi o zastawie stołowej. Wbiła wzrok w podłogę.

– Też tak uważam – zgodziła się.

Najmłodszy uczestnicy święta lekko się wstawili tym napojem. Sophie pozwolono pociągnąć po łyku ze szklanek matki i ojca. Była tak uradowana, że zaśpiewała wszystkie piosenki ze swojego bogatego repertuaru. Wreszcie po *Wiem, że kiedyś zdarzy się cud* Zarah Leander nastąpiło *Wiatr opowiedział mi pieśń* oraz najnowszy hit uliczny *Odra, Nysa, ojczyzna łysa*.

– Przestań – rozkazał jej ojciec. – Natychmiast!

– Niech śpiewa – broniła wnuczki Betsy. – Nie ma złych piosenek dla dzieci.

Po pierwszym łyku ponczu Erwin był tak pokojowo nastawiony, że pozwolił, by siostra odebrała mu połowę jego chleba z masłem orzechowym. Fanny śmiała się do ochrypnięcia, gdy Anna opowiedziała, że w rodzinie Sternbergów w sylwestra wypełniano naleśniki szampanem zamiast musem śliwkowym.

– Nie mogę sobie wyobrazić, że kiedyś tyle było jedzenia, że naleśniki wypełniano szampanem.

– Ja też – powiedziała Anna. – Jak również tego, że punkt dwunasta wszyscy rzucaliśmy się do okien, by oglądać fajerwerki. Biedna mała Alice wybiegła raz na balkon i oznajmiła, że tam też niebo płonie. A potem rzewnie się rozplakała.

– Biedna mała Alice zawsze rzewnie płakała – wspomniała jej matka. – Mam nadzieję, że oduczyla się tego w Afryce.

– Jak wyglądają fajerwerki? – spytała Fanny.



– Dokładnie tam samo jak to, co nasi wyzwoliciele zrzucali nam na głowy – powiedział Hans. – Tyle że przy nalotach bombowych chowaliśmy się po piwnicach, nic nie widzieliśmy i pilnie się modliliśmy, żeby bomby spadły raczej na sąsiada. Nie pamiętasz już, Fanny? Pani Schmand marzyła o cudownej broni, a Anna trzymała nas krótko. Nie pozwoliła, bym ukręcił łeb tej Schmandowej.

– Jeszcze to wszystko pamiętam. Zawsze sobie wyobrażałam, że panią Schmand trafia szlag, a ja spokojnie wstaję, pakuję zieloną fasolkę do naszej torby i wyżeram na jej oczach marmoladę truskawkową.

– Grzeczna dziewczynka.

– Ja byłam w żadnej piwnicy – stwierdziła Sophie. – Bawiłam się z aniołami.

– Sama jesteś aniołkiem – roześmiała się Betsy. – One nie wiedzą przecież, jak stosować podwójne przeczenie.

To właśnie Betsy uczyniła ten wieczór szczególnym. Dziesięć minut przed północą postawiła swój kieliszek na stole. Spojrzała na Hansa i Annę, złapała Fanny za rękę i lekko drżącym głosem, nad którym, mimo starań, nie mogła zapanować, powiedziała:

– Mieliście wszyscy rację, od początku to wiedzieliście. Tylko mądra pani Sternberg musiała całymi dniami walczyć sama ze sobą, zanim doszła do przekonania, że Bóg nie pozwolił jej przeżyć Theresienstadt po to, by wegetowała w jakimś domu starców i liczyła owce na trawniku. Jeśli dobrze to sobie przemyśleliście i naprawdę chcecie wziąć do siebie starą kobietę, która na plecach niesie jedynie worek koszmarów i nie potrafi już nawet przypilnować zupy, tak żeby nie trzeba było się martwić o obiad, jeśli to sobie przemyśleliście, to ja bardzo chętnie się do was przeprowadzę. I zostanę przynajmniej do chwili, gdy stanie się cud i Żydom, których nie udało się zabić, zostanie zwrócone to, co im zabrano. To może jednak potrwać. Zakładam, że całe pokolenia. Więc... to była za długa przemowa. To już się nie powtórzy. Stare kobiety za wiele paplają.

Jej zwilgotniałe oczy, dodała, nie mają nic wspólnego z decyzją o przeprowadzce na Thüringer Strasse. Wywołał je wyłącznie poncz.

– Ostatnio alkohol piłam w alei Rothschildów, a zresztą nigdy nie byłam zbyt wielką amatorką trunków.

– Raz nawet zapomniałaś w sylwestra, że nie jestem twoją córką – zaśmiała się Anna.

– Ciągle o tym zapominam. Nie tylko w sylwestra.

O północy w przerażonym wyjąłym wiatrem mieście rozbrzmiały dzwony kościelne. Dało się nawet rozróżnić głosy, które przypominały radość zapomnianych dni. W domu naprzeciwko jakaś kobieta, o której mówiono, że miała trzech synów i wszyscy zginęli na froncie wschodnim, włączyła płytę i otworzyła okno. Heinz Rühmann, Willy Fritsch i Oskar Karlweiss zaśpiewali piosenkę *Przyjaciel, prawdziwy przyjaciel*.

– Trzech chłopaków ze stacji benzynowej – zdziwiła się Betsy. – Boże drogi, jeszcze to. Johann Isidor uwielbiał Rühmanna. Dwa razy poszliśmy do kina zobaczyć ten film, a na urodziny podarowałam mu płytę. Tak, teraz to już naprawdę płaczę.

– Ja też – powiedziała Anna. – Czy to się nigdy nie skończy?

– Nigdy. Pamięć jest sadystką.

W bladym świetle latarni, która zwykle świeciła się tylko do dziesiątej wieczorem, stało kilkoro niedorostków. Machali cienkimi gałązkami i się śmiali. Ich śmiech był tak wątki jak oni sami. Jeden z nich wykonał gest w stronę krzaków, chciał je podpalić, ale inni go powstrzymali. Opał był wart więcej niż krótka radość z ogniska. Dwaj młodzieńcy krzyczeli jeszcze: „Niech żyje nowy rok!”. Rzucali czapki w górę, prosto w ciemne niebo, i skakali za nimi. Przez chwilę wydawało się, jakby przez cały dzień najedli się do syta, a w szafie na każdego z nich czekało ciepłe palto.

– Czy to jest pokój? – spytała Fanny.

– A jakże! – potwierdziła Betsy. – Już moja babka powtarzała, że radość przepędza cierpienie.

– Myślałam, że wcześniej nikt nie wiedział, co to znaczy cierpieć.

– Żydzi zawsze to wiedzieli. Czterdzieści lat szli przez pustynię w poszukiwaniu ziemi obiecanej. To nie były wakacje. Nawet manny spadającej z nieba można mieć powyżej uszu.

Erwin spał w fotelu, ssąc kciuk. Sophie drzemała przed piecykiem, w którym z okazji nadejścia tak wyczekiwanego nowego roku podsycono ogień dwoma dodatkowymi brykietami. Hans zaopatrzył kanciastą kuchenkę w resztki jakiejś ławki, którą znalazł porąbaną w alei Habsburgów, pewnie zanim ten, który ją porąbał, zdążył wszystko zaciągnąć do domu. Anna podgrzała zupę z wysuszonych pokrzyw, mniszka, świeżych obierek ziemniaczanych i zachowanych na sylwestra pasków kapusty włoskiej. Ten posiłek, który podała o północy, określiła mianem gulaszu, gdyż dodała do niego prawdziwego pieprzu oraz węgierskiej papryki, którą Hans wytargował jako dodatek do whisky. Betsy wyglądała na tak wypoczętą jak jeszcze nigdy od czasu powrotu z piekła. Zgasła świece w niebieskim porcelanowym lichtarzu.

– Trzeba oszczędzać – powiedziała – bo teraz będzie jeszcze jedna gęba do wykarmienia.

– Tak strasznie się cieszę – szepnęła jej Fanny. – Nie wiem, jak to wyrazić, jak bardzo jestem szczęśliwa. Jeszcze nigdy nie spełniło się żadne moje życzenie. Przynajmniej od dnia, w którym powiedziałaś, że muszę wyczyścić buty na wielką podróż. Pamiętasz jeszcze, że to wtedy powiedziałaś? Wyczyściłam też botki Sala. Widziałaś to, ale nie pamiętam, czy coś powiedziałaś.

Pierwszy raz Fanny wypowiedziała imię swojego brata. Betsy przycisnęła ją do piersi tak mocno, jak jeszcze nigdy nie przytuliła żadnego z własnych dzieci. Podziękowała Bogu, że znowu pozwolił jej kochać, i ostrzegła Fanny:

– Nie ciesz się zbyt wcześnie, dziecko. Na koniec twoja babka zdobędzie się na odwagę, by zdradzić swoje najgłębsze życzenie.

– Zrób to! Naprawdę! Musisz sobie tylko zaufać. Nie będziesz rozczarowana. Umieć szyć, robić na drutach, wyszywać i haftować. Mogę czytać bez zmęczenia i potrafię dość dobrze malować i rysować. Przynajmniej moja nauczycielka mnie chwaliła. Szkoda, że mamy tak niewiele papieru i że już nie pamiętam, jak wygląda pudełko z akwarelami. Więc muszę jednak poczekać, aż czasy będą lepsze.

– Obawiam się, że znalazłaś sobie niewłaściwą babkę. Już jako matka nie byłam w guście moich dzieci. Nie reagowałam okrzykiem zdziwienia, gdy dawały mi prezenty własnej roboty. Nie wieszalałam ich obrazków w kuchni, a naszyjniki i bransoletki, które wszyscy dla mnie robili, wędrowały do pudełek, a te pudełka potem do piwnicy. Nie byłam *jidysze mamele* i nie uważałam swoich dzieci za geniuszy. Dzisiaj się wstydzę, że nie rozpoznałam od razu talentu twojego wuja Erwina. Patrzyłam na jego obrazki i mówiłam: „Ładne, ładne”, a potem chowałam je do szuflady.

– A nie było mu okropnie smutno?

– Na pewno, ale ja tego nie zauważałam. Bóg jeden wie, czym się wtedy zajmowałam. Zresztą szczególnie ciężko mi było z dziełami szydełkowymi, ale wyobraź sobie, ile podkładek pod naczynia mogą wydziergać przez całe dzieciństwo cztery córki. Na każdą okazję, a czasami nawet po dwie. Później Claudette. Moja najstarsza wnuczka była pilnym dziewczątkiem, wyprodukowała więcej podkładek, niż mieliśmy naczyń. Do każdej doniczki wydziergała serwetkę, wszystkie ręczniczki ozdobiła obrębkami. Widzisz, Fanny, trudno żyć z ludźmi, którzy już wszystko kiedyś przeżyli. W każdym razie jeśli chodzi o moje najgłębsze życzenie, to by je spełnić, nie musisz mieć ani akwarelek, ani wełny. Potrzebna jest tylko odwaga, ale za to mnóstwo odwagi. Mianowicie bardzo bym sobie życzyła, byś poszła do szkoły. Tylko tego, co

mamy w głowie, nikt nam nie odbierze.

– Wiem – odparła Fanny. – Przeczuwałam to już wtedy, gdy wszystko zmierzało ku końcowi. Nie chodzi o to, że nie chcę się uczyć. Boję się dziewcząt, z którymi będę musiała się uczyć. I nauczycielek, które nigdy nie widziały żydowskiej uczennicy, nie mogą sobie tego w ogóle wyobrazić.

– A ja tak – westchnęła Betsy. – Theo Berghammer z alei Rothschildów 9 był dobrym wstępem do tego tematu. Dobrze, że przy tym byłaś.

Cały majątek Betsy nadal mieścił się w małej brązowej walizce, którą po wyzwoleniu Theresienstadt wcisnęła jej amerykańska pielęgniarka o twardym głosie i miękkim sercu. Na walizce napisane było to samo co na butelce whisky: *Property of the US Army*. Przetrwała ona nawet miesiące w szpitalu – w przeciwieństwie do spódnicy, którą Betsy także otrzymała w Theresienstadt. Pani Sternberg ukradziono również dwie bluzki oraz zostawione jej przez młodą lekarzkę dziesięć tabletek aspiryny. Jej najnowszym skarbem był wycinek z „Münchner Zeitung” z wygłoszoną w sylwestra mową Wernera Fincka, kabareciarza prześladowanego dawniej przez nazistów. Betsy podziwiała go już we wczesnych latach trzydziestych. Mistrz puenty pożegnał stary rok następującymi słowami: „Czy możemy czterdziestemu piątemu produktowi dwudziestego wieku poświęcić choć jedną łzę? Nie, bo już żadnej nie mamy”. Finck poprosił też rok 1946: „Odmień nasz los, daj nam nowe złudzenia!”.

W czwartek 3 stycznia pani Sternberg, której tak bardzo zazdrozczono i o której nadal uważano, że pochodziła z Rothschildów i posiadała stosowne do tego nazwiska bogactwa, pożegnała się ze swoimi towarzyszami z domu starców. Walizkę włożyła do wózka Erwina i wspierając się na Annie wyruszyła wielkimi krokami i z niespokojnym sercem ku nowemu etapowi życia w domu na Thüringer Strasse 11. Szron pokrywał szyby, drzewa i ostatnie kapusty w ogrodach. Na małym drzewku bożonarodzeniowym przed zachowanym w całości domem powiewała lameta.

– Chciałabym wiedzieć, skąd to wzięli.

– Przechowywali pieczołowicie przez całą wojnę – snuła przypuszczenia Betsy – tak jak ja swoje obrazy w głowie. Dlaczego Fanny nie przyszła?

– Po raz enty szoruje pokój Erwina, w którym będziesz spać.

– I co na to Erwin, że go wypędza jakaś stara kobieta, którą jego rodzice każą mu uważać za babkę?

– Nic. Jego siostra dobrze go wychowała. Poza tym teraz dzieci nie wybrzydzą tyle co kiedyś.

– Ty nigdy nie wybrzydzałaś. Już inni robili to z nawiązką za ciebie. Gdy coś szło nie po ich myśli, marudzili niemiłosiernie. Czy Fanny zawsze jest taka pilna i dokładna?

Fanny nie szorowała podłogi, nie trzepała materaca ani poduszek. Siedziała przy kuchennym stole, ssała żółty guzik, wyobrażając sobie, że to cytrynowy cukierek, i malowała na kawałku papieru, który w ostatniej chwili zdobył dla niej Hans, prymulki, róże i niezapominajki. Na czerwono wypisała dużymi literami: „Witaj w domu, Betsy Sternberg!”. Wykrzyknik pomalowała na granatowo. Na górze dorysowała jaskółkę z listem w dzióbku. W tych nerwach pilna rysownicza zapomniiała, że jej babka nie radzi sobie z młodymi ludźmi, którzy wyrażają swoje emocje za pomocą farb i pędzla.

– Czy mogę nie zdejmować obrazka? – spytała mimo to Betsy. Kilka sekund później podwoiła pochwały i zachwyty, mrugając przy tym do Fanny.

Po wyprowadzce z domu starców stała się kobietą, jaką była wcześniej. Gdy się śmiała, nie wstydziła się swojej wesołości, mogła już myśleć o przyszłości bez strachu, że zapeszy. W dobrych chwilach była pewna, że wkrótce dostanie wiadomości od Erwina i Clary i że Alice napisze do niej z Afryki. W marzeniach na jawie widziała Claudette, która w dawnych czasach nazywała swego dziadka „dziadzią misiem”, jak zbiera w Palestynie pomarańcze. Jednak nocami modliła się o cud – by ojciec Fanny przeżył na wygnaniu w Holandii.

– Gdy w najbliższej przyszłości nadal nic o nim nie usłyszymy – powiedziała do Hansa – to koniec nadziei.

– Chciałbym móc ci teraz zaprzeczyć.

Pierwszego poniedziałku nowego roku, 7 stycznia, Betsy wyszła z domu o ósmej rano. Na tym samym posterunku policji, na którym w 1939 roku musiała zgłosić, że rodzina Sternbergów nie mieszka już we własnym domu przy alei Rothschildów 9, podała swój nowy adres.

– Jestem podnajemcą u zięcia Hansa Dietza – powiedziała.

– To nie tutaj się zgłasza – burknął urzędnik. – To nie jest urząd stanu cywilnego. – Lizał skórkę od chleba, bo od tygodni miał problemy z protezą i, niestety, żadnego odpowiedniego towaru na wymianę, by przypomnieć dentyście o obowiązku pomocy choremu. – To nie nasza sprawa – powtórzył.

– Moja jednak tak – podkreśliła Betsy.

Umundurowany mężczyzna wlepił wzrok w biurko poplamione atramentem, wyraz

jego twarzy wskazywał, że nie życzy sobie prywatnych rozmów. Mimo to Betsy spytała o pannę Josephę Krause. Do 1938 roku mieszkała w alei Rothschildów 9. Spytany przejechał rękawem po twarzy. Potrząsnął głową i pokazał dziąsła.

– Jeśli chce pani uzyskać informacje o żyjących osobach, musi się pani udać do biura meldunkowego – wydusił.

– Myślałam... – Betsy odważyła się zaproponować.

– Gdybyż ludzie tyle nie myśleli. Wtedy można by popracować w spokoju. Dlaczego każdy dziś musi podkreślać, że myśli?

– Bo w demokracji myślenie nie jest karane.

Betsy była zaskoczona, że właśnie ona to powiedziała. Zwykle ludzie wypowiadali się o demokracji, kiedy chcieli obciążyć ją winą za swoje trudne położenie. Urzędnik patrzył tępo przed siebie. Jego twarz była purpurowa, oczy pozbawione życia. Resztę skórki od chleba wsadził do kieszeni kurtki, postawił mnóstwo stempli wokół blaszanego kubka z płynem o kolorze kawy i kilkakrotnie chuchnął na mokry jeszcze tusz. Z szuflady wyciągnął niezwykle grube akta, zaczął się przygotowywać do ich przejrzania, ale ponownie je zamknął i jeszcze raz potrząsnął głową – nie tak mocno jak poprzednio, lecz jakby błagająco i z zażenowaniem.

– Nie to miałem na myśli – wyjaśnił. – Ani trochę. Cieszę się, że mamy demokrację. Nie chciałem też pani obrazić.

– Nie udałoby się panu mnie obrazić – upewniła go Betsy. – Do tego trzeba bowiem dwóch rzeczy: kogoś, kto obraża, i kogoś, kto pozwala się obrażać.

Zakłopotany ton mężczyzny sprawiał jej przyjemność. Widziała, jak trzepocze powiekami i robi się błydy. Uczucie, że niemiecki urzędnik za biurkiem boi się jej, a nie ona jego, ożywiło ją, wzmocniło i w jakiś przerażający sposób ośmieliło. Nie zaniepokoiło jej nawet odkrycie, że również ci ludzie, którzy mają wstręt do zła i brutalności, są zdolni do sadyzmu. Przez Betsy przemawiało wspomnienie tego, co przeżyła. Pomyślała o roku 1938, gdy Żydzi byli w urzędach szykanowani, obrażani i dręczeni. Johann Isidor Sternberg, człowiek nieustraszony i nieugięty, nie odważył się zameldować rodziny w „domu żydowskim”. To Betsy poszła wówczas na posterunek policji. Musiała trzy godziny stać na korytarzu i ilekroć pytała o toaletę, wszyscy ją ignorowali. Młody chłopak w mundurze, z przedziałkiem po prawej i wąsikiem jak u Führera, który wreszcie przyjął jej wniosek o przemeldowanie, mówił jej na ty, w dodatku trzymając chusteczkę przy twarzy

– Ta szmata śmierdzi cebulą na dziesięć metrów pod wiatr – uskarżał się koledze.

– Jak oni wszyscy. To już było u Wilhelma Buscha<sup>[29]</sup>. Cebula to żydowskie jedzenie.

– Już nie mogę. Znasz to, Sara? Żydek z krzywą łapą, w krzywych portkach, z krzywym nosem wpełza na porządną giełdę, bez morale i bez duszy.

– Może mógłby mi pan podać adres Gminy Żydowskiej? – spytała Betsy. Ani jej głos, ani wyraz twarzy, ani ręce nie wskazywały na to, że przeszła drogę z królestwa duchów, które nigdy nie przestaną jej dręczyć. – Musi być gdzieś tu niedaleko – kontynuowała. – Czy o ten adres też muszę się gdzieś indziej dowiadywać? Może w zakładzie pogrzebowym? Albo w zieleni miejskiej? Mnóstwo naszych zmuszano do pracy na cmentarzach, zanim nie wysłano nas w podróż. Ostatnią podróż.

Widziała, jak władcy przy biurku głowa opadła jak marionetce, której zerwała się nitka. Ścisnął swój kubek, knykcie mu zbieleły.

– Gmina Żydowska – powtórzył. Między pierwszym a drugim słowem wciągnął powietrze. Zadrżała mu górna warga. Patrzył tępo na Betsy, jakby go zaskoczyła i trzymała na muszce. Przez chwilę była zupełnie pewna, że mężczyzna się jej wymknie i spróbuje ukryć twarz w dłoniach. Jej wyobraźnia mocno trzymała ją w świecie, gdzie są tylko zemsta i niegodziwość, a ludzie, którzy wierzyli w Boga, kochali swoje dzieci i wieczorami zakrywali klatki z ptakami, stają się potworami. Betsy poczuła ucisk w głowie, łzy napłynęły jej do oczu. Zawstydziała się swojej żądzы zemsty, a jednak nie ustępowała, dalej kopała leżącego, a ten nie mógł się bronić. Nie miał prawa się bronić. Już nie. Czy od tej pory już zawsze będzie poddawać się temu przymusowi wpędzania ludzi w przerażenie, które sama musiała kiedyś znosić?

– Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie tu jest toaleta? – zapytała.

– Toaleta dla pań jest na pierwszym piętrze, drugie drzwi po lewej – odpowiedziała jej ofiara. Mężczyzna puścił kubek, przesunął go na skraj biurka i poszukał oparcia w porzewiały ch nożycach.

– Dziękuję. W tej chwili nie potrzebuję. Chciałam tylko wiedzieć. Na wszelki wypadek. Zakładam, że toalety są dostępne dla wszystkich.

– Tylko dla gości – podkreślił urzędowym tonem mężczyzna – nie dla obcych. – Przekartkował zapisany ręcznie zeszyt, w którym każda linijka była podkreślona na czerwono. Zeszyt przypominał Betsy brulion, w którym nauczyciel Gotthold Grundig z Pforzheim notował błędy i złe uczynki sześciolletnich dzieci. Ponowne spotkanie z nauczycielem Grundigiem niezmiernie ją zmieszało. Nastąpiło po raz pierwszy po sześćdziesięciu ośmiu latach. Był on barczystym mężczyzną, nosił wąs w stylu cesarza Wilhelma II i trzymał pod ręką różgę z krwawoczerwonym uchwytem. „Ręce na stół” –

rozkazywał Gottfried Wilhelm Grundig. „Rozczapierzyć!” Jego głos był nadal donośny. Gdy krzyczał, jego cesarska broda była cała mokra, a nienawiść rozpaliała mu twarz.

– Mam ten adres – powiedział urzędnik. – Baumweg pięć przez siedem.

– Słucham?

– Gmina Żydowska. Pytała pani o ten adres. Tu w każdym razie jest napisane, że mieści się tam żydowskie biuro pomocy. No tak, wszystkim należy się pomoc, zawsze to powtarzam. Trzeba tylko spytać kiedy i komu.

Betsy włożyła do kieszeni potwierdzenie, że przemeldowała się z Gagerstrasse 36 na Thüringer Strasse 11. Kwadrans później dotarła na Baumweg. Natychmiast przypomniała sobie tę krótką uliczkę – przez czterdzieści lat przychodziła tu do warzywniaka na skrzyżowaniu z Sandweg, kupowała wczesne ziemniaki i pierwsze maliny z Kronbergu. W przeciwieństwie do sklepiku zachowała się lipa, która kwitła wyjątkowo wcześnie i obficie. Betsy obroniła się dzięki radości z tego, że drzewo przetrwało wojnę. Zobaczyła jednak siebie z czteroletnim Ottonem, wtedy jeszcze rozpieszczonym jedynakiem i już przyszłym spadkobiercą uświadomionym klasowo, jak biegną Berger Strasse, by kupić karpie na wielkie święta. To było ostatnie święto Rosh Hashana<sup>[30]</sup> dziewiętnastego wieku. Otto dostał wtedy swój pierwszy strój marynarza, ale czapkę Betsy pozwoliła mu nosić już w tygodniu poprzedzającym święta. Ottonie, podnoś stopy. Chcesz przecież zostać porządnym żołnierzem. Cesarz się smuci, gdy tak szurasz nogami.

Domy na Baumweg, które przetrwały wojnę, miały silnie uszkodzone dachy, a z ich ścian odpadał tynk. Okna były tylko prowizorycznie naprawione, w wielu ogródkach leżał jeszcze gruz, w jednym także dwa krasnale ogrodowe bez głów. Słup ogłoszeniowy jeszcze sprzed pierwszej wojny, postawiony naprzeciwko stolarni, był jednak nienaruszony i obklejony tak samo jak w czasach dobrobytu. Wśród ogłoszeń wyróżniał się wielki plakat przedstawiający zbombardowany kościół. „Kościoły zrujnowane doszczętnie, dzieło Hitlera namiętne” – brzmiał podpis.

– Nie tylko kościoły – dodała Betsy.

Stara kobieta w chustce na głowie i w czarnym płaszczu, który nawet w styczniowym zimnie pachniał naftaliną, z trudem postawiła torbę na ziemi. Oparła się na lasce i skinęła głową.

– Najpierw spalili synagogi – powiedziała Betsy. – Zniszczone kościoły to tylko wyrównanie rachunków. Kara boska, można powiedzieć.



– Nic o tym nie wiem – wymamrotała kobieta. – Polityką się nie interesowałam. Miałam piątkę dzieci i męża chorego na pylicę. Nie było czasu na chodzenie do kościoła. Mój Gustav zawsze mówił, że Bóg nas nie potrzebuje.

Spojrzała wściekle na Betsy, złapała torbę i pokuśtykała w swoją stronę.

Dom na Baumweg miał dwa piętra i szare ściany. Między bramą a drzwiami wejściowymi znajdowało się długie przejście na podwórzu. Szkody wyrządzone przez działania wojenne dało się dostrzec wszędzie, mimo to budynek był już na drodze ku pokojowi – prawie w każdym oknie wstawiono szybę, w niektórych powieszono nawet szare zasłony i odmalowano ramy. Na małej metalowej tabliczce przyczepionej drutem do czarnego metalowego płotu widniał napis: „Gmina Żydowska. Biuro pomocy. Wizyta tylko po wcześniejszym umówieniu się”.

– Mnie to nie dotyczy – powiedziała Betsy. – Umawiałam się w życiu na zbyt wiele wizyt. – Poczła zakłopotanie, gdy usłyszała własne słowa. Zamyśliła się. Czy rzeczywiście jest wyczerpana, czy po prostu ludzie w jej wieku rozmawiają sami ze sobą, bo nikt inny nie chce ich słuchać? – Chwilowo wyczerpana z powodu wieku – zdecydowała. – Jeszcze nie jest ze mnie żadna *meszuga*<sup>[31]</sup>.

Ironia, puenta tego, że świadomie zdecydowała się na rozmowę z samą sobą i na znane z dawnych czasów słowo „meszuga”, ożywiła ją. Podeszła do drzwi, zauważyła, że nie są domknięte, i uderzyła energicznie w cienkie drewno. Pewność straciła, dopiero gdy stanęła w mrocznym korytarzu i odkryła, że ma przed sobą trzy pary zamkniętych drzwi. Na każdym z nich widniały niewielkie napisy. Nikogo nie było widać. Wiatr trzasnął okienkiem. Betsy stanęła na czubkach palców, otworzyła.

– Halo! Jest tam kto? – krzyknęła tak głośno, jak tylko mogła.

Nie było odpowiedzi.

Usłyszała dźwięk, który przypominał stukot maszyny do pisania, weszła więc po schodach na górę. Jedne z czworga drzwi stały otworem. Betsy zajrzała do niewielkiego pomieszczenia, najwidoczniej nieogrzewanego, bo na rurze od piecyka wisały ścierki kuchenne i ciemnoszary męski sweter. Jedyne światło padało ze stojącej lampy, w której tkwiła samotna żarówka osłonięta zielonym szklanym abażurem. Przy stole nakrytym ceratą siedział siwowłosy brodaty mężczyzna w płaszczu, szalu i kapeluszu. Układał dokumenty, z jękiem podnosząc je z ziemi i mamrocząc coś pod nosem. Betsy starała się rozpoznać, czy mówił po niemiecku, po polsku czy w jidysz. Mógł mówić także po czesku – od czasów Theresienstadt miała ucho do tego języka. Na grubej księdze w niebieskiej obwolucie stał kubek, wyglądał

tak samo jak ten na posterunku policji.

– Nie – broniła się Betsy – już nie. Nie mogę więcej. – Zrozumiała, że obrazy i emocje zniekształca jej własna panika, ale tym razem nie udało jej się uciec z piekła przemocy. Kubek zmienił się w naszpikowaną gwoździami maczugę, ściana za stołem zachwiała się. Ostro brzmiące głosy wywrzaskiwały rozkazy, a niebo płonęło. Pierwsze zginęły dzieci.

Betsy ogłuchła, oniemiała i oślepla. Nadal wiedziała, że musi sobie przypomnieć, co zamierzała, ale jej pamięć walnęła w mury Theresienstadt i już się nie podniosła. Betsy poszukała wzrokiem drzwi, przez które tu weszła, chciała przeprosić i wyjść. Jej ramiona były jednak sztywne, a stopy jakby przyrosły do podłogi.

Mężczyzna spojrzął na nią.

– *Nu?* – zagadnął.

Zawieszona, dobrze jej znana sylaba, słowo z przeszłości, od dawna niesłyszane, ale nigdy niezapomniane. Johann Isidor używał takiego pytającego *nu* w trudnych negocjacjach handlowych, by dać innym czas na zastanowienie i samemu się namyślić. Jego nieżydowscy partnerzy często się mylili co do znaczenia tego zwrotu. Betsy ścisnęła dłonie, znowu poczuła życie, została odczarowana, oddychała bez bólu i wysiłku. Spojrzała na człowieka, który swoim *nu* przywrócił ją światu żywych, spojrzała tak, jakby nic jej nie było.

– Przyszłam zgłosić w gminie swoją wnuczkę – powiedziała.

Mężczyzna zdjął szal, rozpiął płaszcz, ponownie zaczął mamrotać niezrozumiałe słowa i złapał się za głowę.

– Jest więc Żydówką? – spytał.

– Kto?

– No, wnuczka. Czy mówimy tu o Rooseveltcie lub Mojżeszu?

– Czy meldowałabym tutaj Fanny, gdyby nie była Żydówką? Myśli pan, że to jest jakaś zabawa w bycie Żydem?

– Mnie nikt nie pytał, co myślę.

– Mnie i mojej wnuczki też nikt nie pytał.

Mężczyzna miał tylko dwa zęby w górnej szczęce, w dolnej tkwiły czarne pieńki. Jego oczy pełne były wiedzy o przeżyciach, o których nie dało się mówić. Mimo to wydało się Betsy, że się zaśmiał.

– We Frankfurcie – wyjaśnił – mieszkają Żydzi i Żydzi mleczni. Przed tymi drugimi

gmina musi się bronić. To są pijawki. Pijawki z zębami.

– Kto to są ci Żydzi mleczni, na litość boską?

– To pani nie wie? Skąd się pani wzięła? Żyd mleczny przypomniał sobie, że jest Żydem, po tym jak inny Żyd mleczny powiedział mu, że w Gminie Żydowskiej od czasu do czasu rozdają dodatkowe przydziały. Najczęściej amerykańskie dary. Na Chanukę przytargali cały worek prezentów i nie minął tydzień, a mnóstwo ludzi przypomniało sobie, że zawsze jedli macę na Pesach<sup>[32]</sup> i od pierwszej chwili nienawidzili nazistów. Wszyscy próbowali gasić płonące synagogi i wszyscy byli przez dobrych Niemców ukrywani w ogrodowych altankach. Teraz na kolanach dziękują Bogu, że wreszcie znowu mogą być Żydami. Skąd mam wiedzieć, czy pani wnuczka także nie stała się Żydówką tydzień temu?

– Mieliśmy pecha. Od początku byliśmy Żydami. Mój mąż, moja córka i mój wnuk zginęli w Theresienstadt. Matka mojego zięcia również. Obie moje siostry zmarły z głodu we Francji. Tylko ja musiałam przeżyć. I moja wnuczka. Rzeczywiście Fanny ukrywała się przed nazistami. Przed tymi, których przesadą byłoby nazwać ludźmi.

– Moich wnuczek nikt nie ukrył. Było ich pięć. Nie, pięć i trzy czwarte. Moja córka była w siódmym miesiącu. Tylko moja żona miała szczęście.

– Dzięki Bogu. Gdzie udało się jej przeżyć?

– Na cmentarzu przy Eckenheimer Landstrasse. Zmarła w 1936 roku.

– Przepraszam, że tak głupio zapytałam.

– Wcale niegłupio. Dobrze mi robi, gdy rozmawiam z ludźmi, którym nie trzeba nic tłumaczyć. Wyjaśnienia są jak nóż, który człowiek sam sobie wbija w ciało. Proszę popatrzeć. Powiem pani, że u nas też panuje dobry pruski porządek. Pani Betsy Sternberg, z domu Strauss, od 1945 roku należy do Gminy Żydowskiej we Frankfurcie.

– Od 1894 roku – poprawiła Betsy. – Wtedy wyszłam za mąż i przeniosłam się tu z Pforzheim.

Pokazała zdjęcie Johanna Isidora, małe i pożółkłe.

– Ta fotografia to dar od Boga – wyjaśniła. – Moja córka Anna przez cały ten czas przechowywała ją w leksykonie francuskim. Swoją drogą, nikt w rodzinie nie zna francuskiego.

– Ma pani szczęście. Zdjęcia swojej rodziny musiałem zachować w głowie.

Gdy wpisywał Fanny Mathilde Feuereisen na listę członków gminy, Betsy zobaczyła na jego przedramieniu wytatuowany numer z Auschwitz. Poczła silną potrzebę

powiedzenia czegoś odpowiedniego, ale każde słowo, które przychodziło jej do głowy, wydawało się bluźnierstwem.

– Gdy do gminy wpływają pytania lub ogłoszenia poszukujących krewnych, wysyła się odpowiedzi? – spytała.

– Oczywiście. Jak pani myśli, co ja tutaj robię całymi dniami? Odpisuję ludziom, że niestety, Bóg nie miał okazji, by uczynić cud.

– Ojciec Fanny dość wcześnie wyemigrował do Holandii. My także trzymamy się nadziei, że zdarzy się cud i znowu go zobaczymy.

– Słyszałem, że Holandia nie jest krajem, w którym Żydom przydarzają się cuda.

A jednak słoneczna niedziela 10 marca okazała się dniem cudu. Około drugiej po południu Sophie tłumaczyła na ulicy swojemu misiowi zasady przetrwania. Nagle zahamował przed nią jeep, z którego wysiadł ogromny czarnoskóry żołnierz. Na głowie miał stalowy hełm, a w ręce trzymał paczkę, która wydała się Sophie największa ze wszystkich, jakie widziała w swoim czteroipółletnim życiu. Olbrzym w mundurze zaśmiał się donośnie, wyjął z kieszeni spodni kartkę, pokazał ją Sophie i zapytał o Dietza. Słowo to stanęło mu w gardle i mała nie rozpoznała własnego nazwiska. Chociaż potrafiła powiedzieć jedynie *candy*, *cookies*, *chesterfield* i *thank you*, a on po niemiecku znał tylko słowo „frollajn”, Sophie zaprowadziła w końcu żołnierza do domu numer 11 i dzwoniła do drzwi tak uporczywie, jakby stał za nią sam diabeł.

Anna, Hans, Betsy i Fanny stanęli zakłopotani, zdziwieni i oniemiaли przed barczystym mężczyzną w hełmie. Ten powiedział najpierw *hi*, a potem *from Frizzie*. Postawił na podłodze mocno osznurowaną, w dawno tu niewidziany sposób paczkę, przyjrzał się wszystkim – a najuważniej Fanny ubranej w zbyt mały sweterek – wetknął w wyciągniętą dłoń Sophie paczkę gumy do żucia i wyszedł sam, ponieważ nikt nie odważył się ruszyć z miejsca, by go odprowadzić.

– Kto to jest Frizzie? – krzyknął Hans przez w pośpiechu uchylone okno, ale jeep już odjechał.

Anna zaniosiła paczkę do kuchni, a cała rodzina podążyła za nią. Tam ją rozpakowała, bez słowa stawiając na kuchennym stole kolejne skarby: kawę, jaja w proszku w żółtej puszcze, mleko w proszku w białej, wołowinę w puszcze, masło, steki, słoninę, płatki owsiane, kakao, suszone śliwki, budyń i ananasy w puszcze. Znalazły się też dwa kartony cameli. Hans odzyskał mowę i powiedział, że tych ostatnich wystarczy, aby zapewnić im chleb do końca roku.

– I będzie na buty dla Sophie – rozmarzyła się Anna.

Z kartonu wyciągnęła jeszcze dwa funty rodzynek, zupki w proszku i cztery tabliczki czekolady. Na trzech paczkach narysowano ciasto udekorowane lukrem i wielkimi orzechami laskowymi.

– Dodać tylko mleko, jajka i masło. – Betsy przetłumaczyła przepis na opakowaniu.

– Ależ mają tupet!

– Popatrz tylko! – powiedziała Anna. Wypakowała puszkę orzeszków ziemnych. – Robi się coraz ciekawiej.

Na denku przyklejono brązową kopertę zaadresowaną do pani Betsy Sternberg. Nie rozpoznała pisma, ale jej serce od razu zaczęło bić jak szalone. Mimo drżenia rąk udało jej się wyciągnąć z koperty cztery kartki. Przeczytała tylko pierwszą linijkę i list wypadł jej z dłoni.

– On żyje. – Rozpłakała się. – Żyje, Fanny. Jest w Norymberdze.

Sophie obserwowała, jak jej matka i Fanny płaczą, podczas gdy ojciec znieruchomiał na kuchennym taborecie. Jego praktyczna córka pomyślała, że ktoś umarł. Wyjęła gumę z buzi, schowała uważnie kulkę do kieszonki fartuszka i wzięła jedną z tabliczek czekolady ze stołu.

## I M P O N D E R A B I L I A

Kwiecień 1946

Urzędnik cywilny amerykańskich władz okupacyjnych Friedrich Feuereisen został zatrudniony jako tłumacz, ponieważ był bezpieczeństwa „z dobrą znajomością angielskiego i niderlandzkiego, płynną znajomością niemieckiego w mowie i piśmie oraz ukończonymi studiami prawniczymi”. Od 1946 roku mieszkał na udęconej wojną ulicy w pobliżu norymberskiego kościoła Mariackiego. Miasto zostało doszczętnie zniszczone w trakcie bombardowań. Jego mieszkańcy oraz uchodźcy ze wschodu opowiadali przy różnych okazjach, kiedy czuli się jeszcze bardziej przygnębieni niż w innych chwilach swojego nędznego bytowania i beznadziei, o „niehumanitarnej zemsty zwycięzcy na niewinnych cywilach”.

Dom wdowy wojennej von Hochfeld, w którym armia amerykańska zakwaterowała Friedricha Feuereisena, pozostał nienaruszony – kule, chociaż pozostawiły wyraźne ślady na murach budynku, nie spowodowały niczyjej śmierci. Zostały wystrzelone przez pewnego młodego bohatera z Teksasu, który w sierpniu 1945 roku świętował zrzućenie bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki. Umięło mu to stare wino frankońskie i jeszcze starszy francuski koniak. Dom pani von Hochfeld występił zaś o północy w roli tarczy strzelniczej. Wino frankońskie w brzuchatej butelce, takiej jakiej, także opróżnione, ceniono jako *souvenirs from fucking Germany*<sup>[33]</sup>, wpadło w ręce olbrzyma w momencie szturm na znaną w całym mieście winiarnię. Koniak wraz z wartościowym zbiorem bawarskich kufli do piwa i równie cenną bronią palną z osiemnastego wieku przypadł mu zaś w udziale podczas konfiskaty w pewnej willi w Fürth.

Bezpieństwowy cywil Feuereisen pisał do swojej teściowej w korespondencji nawięzanej po latach śmiertelnego strachu i wątej nadziei, że żyje na książęcej stopie: „Każdego ranka Bóg pyta mnie: «Fritz, skąd u ciebie taka bezczelność?». Swój świeży dobrobyt i zdobyty szacunek społeczny zawdzięczam wyłącznie temu, że mam prawo

robić zakupy w tak zwanym sklepie PX<sup>[34]</sup>, który jest rajem dla amerykańskich żołnierzy i osób zatrudnionych przez armię. Można tu dostać wszystko to, czego także w Holandii nie widzieliśmy od lat. Nawet wiarę w siebie i odwagę życia. Także zawartość paczki, którą wysyłam Tobie i Annie, pochodzi z tego niewiarygodnego kawałka Ameryki na naszej ziemi. Myślę, że moja szlachetnie urodzona gospodyni w ciągu kilku tygodni złoży mi z tego powodu propozycję matrymonialną. *Nebich!*”.

Pani von Hochfeld wychwalała przed szwagierką swojego lokatora jako „jedyny dar, jaki jej niebo zesłało”. Bardzo się starała, by Fritz czuł się w jej mieszkaniu, a przede wszystkim w jej obecności, jak u siebie. Ponieważ w jej pamięci powstały luki typowe dla większości Niemców tamtego czasu, nie wzięła pod uwagę, że tacy ludzie jak Fritz nigdzie już nie są „u siebie” i szczególny ból sprawia im słowo „ojczyzna”.

W dniu, w którym Wehrmacht wkroczył do Holandii, aż do wyzwolenia jej przez aliantów w 1944 roku Fritz Feuereisen przestał się bać o swoje życie i stracił nadzieję na to, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy rodzinę. Już w grudniu 1945 roku dowiedział się przez Czerwony Krzyż, że jego żona, córka, syn, matka oraz teściowie zostali deportowani z Frankfurtu. Chociaż stale czynił sobie wyrzuty, że nie ma na tyle silnego charakteru, by nie wracać do kraju morderców, natychmiast zdecydował się przyjąć stanowisko tłumacza w Norymberdze. „To był zupełny przypadek – donosił w liście Betsy – ale odebrałem go jako znak z nieba”.

Po raz pierwszy od momentu, gdy wyemigrował, dawny radca prawny i notariusz miał regularne dochody i żył na poziomie, którego się nie wstydził. Zamieszkiwał największy pokój w mieszkaniu pani von Hochfeld. Było to pomieszczenie urządzone niezwykle gustownie, z inteligenckim sznytem, jeszcze zimą przełomu lat 1945 i 1946 wskazującym na samoświadomość niemieckiej szlachty. Ściany obito eleganckim kremowym jedwabiem, półki biblioteczne wypełnione były wydaniem klasyków i albumami o sztuce, a skórzane fotele przypominały te z elitarnych klubów angielskich. Na ścianie wisiały oprawione w złote ramki kopie *Koncertu fletowego w Sanssouci* Adolpha Menzla i *Wyspy umarłych* Böcklina. Fritz znał oba te obrazy, wisiały także w salonie jego rodziców. Ku własnemu zaskoczeniu opowiedział swej gospodyni, jakby było to coś oczywistego dla mężczyzny z jego przeszłością, o fascynacji swojej matki Böcklinem. Mimo że pani von Hochfeld oczywiście znała już nazwisko Fritza i z przydziału meldunkowego wiedziała, że pracował dla Amerykanów, rozumiała więcej, niż on chciał jej powiedzieć.

– Przepraszam – powiedział zakłopotany Fritz – zwykle tyle nie gadam.

– Moim zdaniem to dobrze, że ludzie ze sobą rozmawiają – uspokoiła go pani von Hochfeld.

Tak samo jak jego matka nazywała zasłony portierami. Także sposób, w jaki ustawiała posrebrzane misy lub układała biedermeierowskie podstawki na noże, wyzwał w nim wspomnienia.

– Czegoś panu potrzeba? – pytała z troską.

– Tylko opanowania.

– I tak spokojnie pan to mówi? Większość ludzi nie jest w stanie nawet przeliterować tego słowa.

Fritz początkowo nie chciał tego przyjąć do wiadomości, ale wkrótce po swojej przeprowadzce do pani von Hochfeld poczuł, że mimo tego wszystkiego, co mu zrobili naziści, wracał do swojego starego świata. Wstydział się odczuwanej melancholii, a jeszcze bardziej własnego zadowolenia. Najbardziej niepokoiła go jednak sympatia, jaką odczuwał do tej kobiety, której mąż nie tylko walczył za hitlerowskie Niemcy, lecz także w nie wierzył. Pani Adelheid nie wahała się do tego przyznać. Fritz, nadal podporządkowany nawykom obiektywnego myślenia, wypracowanym podczas studiów i kariery zawodowej, wzbraniał się jednak obarczać wdowę grzechami jej męża.

Adelheid von Hochfeld miała głęboki melodyjny głos. Taki jaki zawsze podobał mu się u kobiet. Jej piersiom czasy braków żywnościowych odjęły niewiele uroku i nic z siły przyciągania mężczyzn. Jej imiona – pierwsze: Adelheid, a potem jeszcze: Beatrix, Alexandra i Louisa-Marie – nasuwały Fritzowi myśl o jakimś dramacie Kleista<sup>[35]</sup>, jego ulubionego poety jeszcze z czasów studenckich. Pani Adelheid swoje bujne blond włosy upinała wysoko i nosiła zieloną kurteczkę bawarską, która przypominała Fritzowi jego wędrowki z rodzicami po tym regionie. Bezdzienna wdowa była w wieku Fritza, ale wydawała się mieć mniej lat niż w rzeczywistości. Zdawało mu się na pewno, że Adelheid jest młodsza niż on. Była kobietą wysoką i o pełnych kształtach, chociaż zaliczała się do zwykłych zjadaczy chleba, o których mówiono we wszystkich strefach okupacyjnych, że ich racje żywnościowe są za małe, by żyć, a za duże, by umrzeć. Kobiety z tendencją do lekkiej nadwagi zawsze fascynowały Fritza i zastanawiało go, że jego gust tak niewiele się zmienił.

Jeszcze bardziej niż wygląd pani Adelheid podobało się Fritzowi to, że gospodyni zawsze tytułowała go doktorem. Krótco po przeprowadzce zwierzył się jej, że odwykł od tego podczas pobytu w Holandii, ona jednak zaperzyła się z całym urokiem, który dla niego świadczył o jej wykształceniu i kulturze osobistej.



– Zapracował pan na ten tytuł – wyjaśniła. – Więc ma pan do niego prawo.

Imponowało mu, że Adelheid von Hochfeld nie uskarża się na swój los. Nigdy nie próbowała retuszować swojej przeszłości. Starła się okazać elegancję i mądrość. Okoliczności zmusiły ją do dzielenia wypielegnowanego domu z uchodźcami ze wschodu, których nazywała po prostu ludźmi, chociaż czasy sprzyjały łatwym do przewidzenia ocenom. W pańskim mieszkaniu kwaterowała obecnie wdowa po blacharzu z Opoła. Według pisma z biura meldunkowego przyznano jej pokój „z prawem do codziennego użytkowania kuchni oraz cotygodniowego korzystania z łazienki i ciepłej wody, jeśli tylko będzie to możliwe”. Twardy dolnośląski głos pani Konietzky brzmiał dla bawarskich uszu jej gospodyni jak zniewaga, a ośmioletnie bliźniaki obrażały moralność bogobojnych. Oba dzieciaki cierpiały na krztusiec, zawsze zapominały splukiwać wodę w toalecie i budziły się nocą z przeszywającym krzykiem: „Polacy przyszli”.

„Mały salon” z artystycznie wykonanym zestawem wypoczynkowym z Zakładów Niemieckich pani von Hochfeld musiała oddać byłemu nauczycielowi licealnemu Hugonowi Winterowi i jego żonie Edeltraut. Parze przysługiwało także użytkowanie kuchni oraz łazienki. Winterowie uciekli do Norymbergi z Królewca. Mimo że gospodyni traktowała ich poprawnie, nieustannie dawali do zrozumienia, że uważają Bawarię za nie do końca cywilizowaną część Rzeszy Niemieckiej, a jej mieszkańców za ograniczonych i bezpodstawnie aroganckich.

Adelheid von Hochfeld, w przeciwieństwie do wielu znajomych i obu szwagierek, nosiła tytuł szlachecki jeszcze przed ślubem. Jej rodzina, osiadła przed wiekami w okolicach Würzburga, w czasie wojny nie straciła nic poza wiarą w Führera i ojczyznę. To, że akurat jej warunki mieszkaniowe się teraz pogorszyły, wynikało nie tylko z tego, jak urzędnicy postępowali z klasą posiadającą. Po zasoby wdowy von Hochfeld sięgnęły zarówno Urząd Mieszkaniowy, jak i amerykańskie władze okupacyjne. Inaczej niż radca Friedrich Feuereisen, który już w gimnazjum Lessinga we Frankfurcie nauczył się szanować obiektywizm i sprawiedliwość jako miarę rzeczy, takie traktowanie pokonanych uważały one za uzasadnione. Generał Victor Ludwig von Hochfeld, udekorowany na froncie rosyjskim i w ostatniej fazie działań wojennych przeniesiony do Normandii, stracił życie w wyniku nalotu. Zginął we własnym służbowym samochodzie. Należał do partii od samego początku. W życiu prywatnym pracował jako architekt i planista cieszący się zresztą ponadlokalną sławą i był jednym z uczestników decydującego zjazdu partyjnego w Norymberdze w roku 1935.

Po wojnie nie omieszkało obciążyć wdowę tą ochoczą pracą jej męża. Tego, że

Amerykane przydzielili jej żydowskiego najemcę – ledwie po tygodniu zorientowała się co do jego wyznania – w żadnym razie nie uznała za ironię losu. Wbrew złośliwym insynuacjom znajomych uznała zakwaterowanie w jej mieszkaniu „wykształconego człowieka z Amsterdamu” za oznakę zaufania ze strony „szanownych wyzwolicieli”. Swoim wybrzydającym krewnym i znajomym dawała do zrozumienia, że jest bardziej niż zadowolona.

Doktor Feuereisen podobał się pani von Hochfeld niezależnie od wszystkich kwestii politycznych i zwykłych dla tego czasu wysiłków, by pokazać swoje oddanie demokracji. Wzruszały ją jego oczy, które w swoim dzienniku określiła górnolotnie jako „bliskie poezji i zatracone dla świata”. Jego rezerwa i grzeczne zachowanie sprawiały jej przyjemność. Nie pozwolił jej nigdy odczuć, że należy do zwycięzców, a ona do pokonanych. Imponowało jej, że był tłumaczem w procesach norymberskich.

– Całkiem gruba ryba – wspomniała swojej szwagierce Sieglinde, skłonnej nie tylko do zazdrości, ale też do niewyobrażalnej nienawiści. – Takiego by nie zakwaterowano byle gdzie.

– Powiedziałabym, że tylko u byłych członków partii – odparła szwagierka. Politycznie znajdowała się w sytuacji, którą potocznie określano jako niczego sobie. Jej mąż, mimo nieustannych nacisków, wymigał się od członkostwa w partii, więc uchodził za „politycznie nieobciążonego”. Nigdzie nie zapisano, że pracujący w administracji inżynier budowlany w 1938 roku podczas nocy płonących synagog jako jeden z pierwszych splądrował mieszkanie swojego byłego lekarza rodzinnego – Żyda.

Piękne biureczko w stylu empire uratowane przed śląskimi bliźniakami przeniosła pani von Hochfeld ze swojej sypialni do „salonu pana doktora”. Wczesnym popołudniem trzeciego kwietniowego piątku siedział on przy tym dziele bawarskich rzemieślników i po raz kolejny czytał niepojęty, rozdzierający mu serce list z jego niegdysiejszej ojczyzny.

To był Wielki Piątek. Niektóre ze zniszczonych kościołów zostały pokryte prowizorycznymi dachami, wiele pozostało jednak zamkniętych. Mnóstwo ciemno ubranych kobiet chodziło po mieście, widziało się też wychudzonych starców i młodych inwalidów wojennych w przefarbowanych płaszczach wojskowych, którzy opierali się na kulach. Dzieci o starannie przyczesanych włosach trzymały się rąk matek. Polecenie „podnoś nogi” przetrwało dwie wojny światowe, inflację i głód. Małe dziewczynki trzymały w rękach lalki ubrane lepiej od nich samych. Chłopcy patrzyli tęsknie w stronę ruin, w których chętnie się bawili. Gdy matka nie patrzyła, machali przejeżdżającym jeepom. W kościołach, gdzie ponoć Bóg wysłuchuje

wszystkich, modlili się o bilet na statek do Ameryki. W amerykańskiej strefie okupacyjnej dzieci powyżej szóstego roku życia dostały dodatkowo po jednym jajku.

Dla trybunału wojskowego w Norymberdze Wielki Piątek był zwykłym dniem pracy. Rano były generalny gubernator okupowanych terenów Polski Hans Frank został uznany za winnego – jako pierwszy z dwudziestu sześciu oskarżonych. W czasie przerwy obiadowej tłumacz do zadań specjalnych Friedrich Feuereisen otrzymał list z Frankfurtu, choć jego nazwisko na poczcie dla urzędników cywilnych zapisano błędnie – brzmiało tam „Fredric Fereisen”.

– Z Polski – zdziwił się doręczyciel, spojrzał na Fritza ostro i zmarszczył czoło. Pochodził z Minnesoty i według armii świetnie się orientował w geografii Europy. W tym jednak przypadku kapral Kingston przeoczył fakt, że poza tym leżącym nad Odrą, a więc w Polsce<sup>[36]</sup>, istniał jeszcze jeden Frankfurt. Rodzinne miasto Fritza, w którym znajdowała się kwatera główna amerykańskiej strefy okupacyjnej, położone było niecałe dwieście kilometrów od Norymbergi.

– Nad Menem – mruknął Fritz po niemiecku. – Dobry Bóg oszczędził mi kontaktów z Polską. – Usta mu spierzchły, gdy to mówił. Głowa także mu płonęła.

Zrezygnował z przysługującego tłumaczom posiłku, a nawet z dwóch filiżanek kawy, z których nadal codziennie się cieszył. Z ulgą stwierdził, że z wokandy wypadło popołudniowe posiedzenie, do którego był przydzielony. Pobiegł do mieszkania pani von Hochfeld tak szybko, jakby uciekał przed niebezpieczeństwem. Zegar w pokoju wybijał trzecią, gdy Fritz rozrywał kopertę. A gdy zachodziło słońce – to jego obecność sprawiła, że ten dzień był tak wyjątkowy – nadal siedział przy biurku, z oczami pełnymi łez, odrętwiały.

Pani von Hochfeld wydało się w pewnym momencie, że usłyszała szloch swojego lokatora, mimo to nigdy w życiu nie przyznałaby się dobrowolnie, że ma zwyczaj podsłuchiwać pod cudzymi drzwiami. Tak więc nie mogła mu okazać tego, co uważała za swój obowiązek – z uwagi na wyznanie swojego najemcy nie chciała używać określenia „obowiązek chrześcijański” ani w myśli, ani w mowie.

Betsy napisała do zięcia:

Przyjedź jak najszybciej nas odwiedzić. Nawet jeśli miałbyś dojechać o trzeciej w nocy. Dopóki Cię nie zobaczymy i nie obejmiemy, nie będziemy do końca przekonani, że żyjesz. Bóg uczynił trzy cuda w jednej rodzinie: pozwolił przetrwać Fanny, Tobie i mnie, starej kobiecie – nie pojmę tego do końca życia. Musiał się pomylić w obliczeniach ten nasz nieomylny Wszchemocny. Resztę naszych dni musimy koniecznie poświęcić wyjaśnianiu sobie nawzajem, dlaczego przeżyliśmy. Twoja kochana matka także chciałaby przeżyć. Do końca nie porzuciła nadziei, że Cię znowu zobaczy. Nie wiem, czy powinnam Ci o tym pisać. I to jest dla nas typowe: nie wiemy, czy możemy mówić, czy raczej

powinniśmy milczeć. Ja na przykład nie zdobyłam się na to, żeby porozmawiać z Fanny o jej matce i bracie, a kiedy ostatnio o nich wspomniała, nie mogłam mówić o Victorii i Salu. Ani o Johannie Isidorze, który długo przedtem nim umarł z głodu w Theresienstadt, powiedział mi: „Przeżyłem samego siebie”.

Dopiero po dłuższych rozmyślaniach zrozumiałam, że musiałeś dostać mój adres od tutejszej Gminy Żydowskiej, jeszcze zanim tam poszłam, żeby zapisać Fanny. Annie i Hansowi nie przyszło do głowy, żeby to zrobić. Przez lata drżeli, że ktoś się dowie o pochodzeniu Fanny i zdradzi ich przed gestapo. Jeszcze nawet teraz Fanny blednie na widok żony dawnego stróża, mimo że role się już odwróciły i to ona boi się nas. Hans i Anna mieszkają od końca wojny w dawnym mieszkaniu nieszanownego pana stróża, a tamci przenieśli się na poddasze. Przypomnij sobie tylko: Justitia przy źródle sprawiedliwości przed frankfurckim ratuszem nigdy nie miała opaski na oczach. Erwin zwrócił mi na to uwagę. Ach, Fritz, wspomnienia, nic poza wspomnieniami, które łamią serce! Fanny Cię zadziwi. Nie tylko dlatego, że moim zdaniem jest do Ciebie tak bardzo podobna, jak tylko córka może być podobna do ojca. Jest także taka jak Ty w sposobie bycia: powściągliwa, rozważna, a również mądra. Stopniowo dostrzegam (znam ją przecież ledwie kilka miesięcy), że mimo wszystkiego, co przeżyła, jest pełna życia. Chociaż rzadko się śmieje, ma poczucie humoru, i to takie, jakie czasem przypomina mi Erwina. Ależ mój daleki syn by się cieszył, że przeżyłeś. Zawsze bardzo wysoko cenił swojego szwagra – kiedy jeszcze utrzymywaliśmy kontakt, nie omieszkął nigdy wspomnieć o Tobie. Jak dotąd nie udało mi się ustalić, czy można pisać do Palestyny lub otrzymywać stamtąd listy. Hans co tydzień chodzi na pocztę się dowiadywać.

Przyjeżdż, ukochany, najdroższy Fritzu, przyjeżdż. Nim nastanie maj i niecierpliwość nas wszystkich zabije. Niecierpliwość i radość! Boże drogi, że też radość wstrząsa ludźmi tak samo jak kłopoty i strach. Fanny wybiega z domu za każdym razem, gdy widzi samochód na ulicy. Godzinami siedzi przy oknie. Wcześniej nie chciała w ogóle pójść do szkoły, ponieważ bała się spotykać z ludźmi, którzy nie wiedzą, co jej zrobiono. Gdy jednak otrzymaliśmy Twój list, postanowiła, że dla Ciebie się przemoże. Słowo „ojciec” podkreśla w taki sposób, jakby była jedyną osobą na świecie, która ma ojca. Za każdym razem trudno mi powstrzymać łzy. Wyobraź sobie po prostu, że Twoja teściowa już nie jest tą silną Betsy, która nadaje ton, lecz starą kobietą, potrzebującą, by inni mówili jej, co ma robić.

Fritz złożył list. Bezustannie starał się wyobrazić sobie starą kobietę, która widziała, jak jej mąż, córka i wnuk idą na śmierć, podczas gdy ją samą Bóg skazał na przeżycie. Z mozaiki swojej przeraźliwej fantazji nie pojął jednak w najmniejszym choćby stopniu rzeczywistości, którą chciał zrozumieć. Nie zauważył, że drży, że skulił się w sobie jak człowiek, który widzi nadchodzących siepaczy, ale nie może się poruszyć, gdyż stoi już na przedpolu piekła. Pokryty stiukami sufit spadał na niego, a z obrazu *Koncert na flecie w Sanssouci* wybrzmiewały znane, ukochane melodie.

Wspomnienia jeszcze nie sprawiały bólu, jeszcze patrzył wstecz bez strachu. Udało mu się jednak, jakby po ośmiu latach tego życia bez korzeni i światła było to zrozumiałe, przypomnieć sobie własną córkę. Widział czerwono połyskujące włosy Fanny, jej zielone oczy, odkrył mały wieniec laurowy, który Victoria przypięła jej na piersi do białej sukni w dniu pierwszych urodzin. Z tak uwieńczoną córką stał przed obrazem Franza Marca. Przedstawiał on trzy krowy, czerwoną, żółtą oraz zieloną.

Mistrzowskie dzieło. „Obraza dla oczu” – krytykowała Victoria. „Jesteś kompletnym idiotą, żeby pokazywać coś takiego małemu dziecku”.

Czyż Victoria nie odrzucała zawsze tego, co podobało się jej mężowi? Książki, obrazy, ludzi, jego przyjaciół. Czyż nie opóźniała swojego przyjazdu do Holandii? Boże drogi, Victorio, musiałem spróbować. Wszyscy próbowali, wszyscy mężczyźni w moim wieku. To nie grzech – mieć nadzieję. „Kto wszelką nadzieję zgubił i nie dał się jej odrodzić, niech za życia do grobu się rzuci, po co było mu się rodzić”<sup>[37]</sup>. Gottfried Keller. Moja matka uwielbiała ten wiersz. Specjalnie dla niej nauczyłem się go na pamięć. W 1938 roku nadal jeszcze wierzyłem, że uda nam się przeżyć w Holandii, Vicky. Całej czwórce.

Świece, zapalone jak co wieczór po wyłączeniu prądu, powoli wygasały. Ich chybotliwe światło przywróciło Fritza do piekła tych, którzy zostali oszczędzeni. Nagle sprawą życia i śmierci stało się dla niego, by jeszcze raz zobaczyć twarz żony, ale jego podniecająca i pełna tajemnic Victoria, kobieta o tygrysim temperamencie, tak nieustępliwa i zawsze pełna sprzeczności, już się nie pojawiła. Czy nie słyszała, jak on, Fritz, ją woła? Czy nie widziała, że wyciąga do niej ręce? Powróciła tylko raz. Wspomnienie pochodziło z ich miesiąca miodowego w Brixen. Słońce świeciło, rękawy jej bluzki powiewały na wietrze. Piękna Malutka stała w ogrodzie obok kwitnącego maku i żółtych róż, ale nie miała twarzy. Wybacz, Vicky, wybacz mi noc poślubną. Byłem młody. I rozczarowany!

Gdy kładł się do łóżka, dzwon na wieży kościelnej wybił dwunastą. Fritz liczył uderzenia i z ostatnim schował się pod ciężką kołdrę, wyobrażając sobie życie, w którym mężczyzna odmawia wieczorną modlitwę, zanim zaśnie. Chociaż wszyscy mówili, że Fritz Feuereisen miał niezwykle dobrą pamięć, nie pamiętał słów, którymi należało się zwracać do Boga. Potem zobaczył, że kalendarz wskazywał 10 maja 1940 roku, dzień wkroczenia Niemców do Holandii.

W chwili gdy dostrzegł żołnierskie buty, niebo pokryło się ciemnymi burzowymi chmurami. Bóg, do którego Friedrich Feuereisen nie umiał się zwrócić, rozkazał mu natychmiast zdecydować, czy był szczęśliwy, że jego córka przeżyła, czy chciał umrzeć, bo naziści zamordowali mu syna. Wszechmocny groził błyskawicami, bo Fritz zamykał oczy i kręcił głową, chociaż jako prawnik wiedział, co oznacza wahanie przed sądem. Wtedy usłyszał krzyk. To ośmioletni bliźniacy z Opoła wołali o pomoc, bo na ich oczach mordowano im ojca. Zadziwiało go, że matka nie pochylała się nad swymi dziećmi, tak jak robiła to jego matka, gdy nocami dręczyły go koszmary. Można jednak powiedzieć, że pani Konietzky była już tak przyzwyczajona do dziecięcych łez, że

najwidoczniej jej dusza się na nie uodporniła, a ona sama nie potrafiła już współczuć płaczącemu dziecku. Za to nad żydowskim ojcem, który wołał swojego zamordowanego syna, pochyliła się wdowa po Victorze von Hochfeldzie.

Ostatniego dnia urlopu generał posprzątał piwnicę i wyciągnął z niej późne wino reńskie, rocznik 1937. Wypił całą butelkę na pusty żołądek i przed ostatnim łykiem opowiedział przerażonej żonie o „przeklętej okrutnej wojnie przeciwko cywilom”, która toczyła się na Wschodzie. Miał płaczący głos, co w ogóle nie licowało z jego naturą. „Ale nikt z nas – dodał bohater wojenny na schodach do piwnicy – nie może teraz żałować, że pobrudził sobie tym ręce. Nawet my, oficerowie. Kto zapomina, że to Żydzi są winni niemieckiego nieszczęścia, grzeszy przeciwko ojcom i dzieciom”.

– Kim jest Salo? – spytała Adelheid.

Miała na sobie czarny jedwabny szlafrok ozdobiony złotymi kwiatami i czerwonymi ptaszkami. Jej latarka malowała na ścianie krąg kojącego światła. Fritz rozpoznał tę królową nocy, a orkiestra zagrała uverturę do *Czarodziejskiego fletu*. Chociaż natychmiast zasłonił sobie uszy i nakazał sercu siłę, godność i przyzwoitość, poczuł ból i przygotował się do ucieczki. Jeździec znalazł rów, który miał przeskoczyć, ale kusicielskich demonów nie dało się już powstrzymać. Salo nie przestawał krzyczeć, ale uciekającemu udało się jednak wytłumaczyć synowi, że Bóg nie pozostawia dzieci w potrzebie. Fritz obiecał drżącemu chłopcu, że najpóźniej w południe obaj będą bezpieczni. Razem odmówili modlitwę za podróżnych. W tej samej jednak chwili, w której ten silny, odważny, wszystkimogący i na wszystko zdecydowany ojciec chciał się podnieść, potknął się i ponownie wpadł w mrok. Na zawsze.

– Nie jestem przyzwyczajony do niemieckich kołder – powiedział Fritz. – Są takie ciężkie. Przysparzają człowiekowi koszmarów.

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiła go kobieta, która nauczyła się patrzeć do przodu.

Mówiła głębokim i miękkim głosem. W świetle latarki jej włosy miały kolor lata, leżały na ramionach jak tkana chusta. Skóra Adelheid pachniała niczym róże w południowym słońcu. Mydło różane dzień wcześniej przyniósł Fritz ze sklepu px. Zacerwieniła się niczym młoda dziewczyna. Gdy się śmiała, przypominała mu Monę Lisę. Fritz zapomniał już, co to znaczy śmiech wdzięcznej kobiety. Teraz ręce tej Giocondy głaskały jego rozdygotaną głowę. Różane ręce ścierały mu z czoła zwątpienie i strach nieudacznika.

– Coś cię gryzie? – spytała. – Musiało ci się coś przyśnić. Krzyczałeś przez sen, jakby wszystkie furie świata cię ścigały. Słyszałam cię, chociaż bliźniaki darły się jak

dzicy.

Mężczyzna, który kilka godzin temu dowiedział się, że jego żona i syn nie żyją, nie zauważył, że pani domu mówiła do niego na ty. Przyzwyczał się do tego w Holandii. Na początku jego emigracji to holenderskie „ty” dawało mu nadzieję, że nauczy się, jak zwalczać swoją nostalgię, jednak szybko zauważył, że „zapomnieć” to tylko słowo i że człowiek nie może ot tak uwolnić się od swoich wspomnień.

W tym momencie kobieta z uśmiechem Mony Lisy pozwoliła zapomnieć człowiekowi z zasadami o tym, o czym zapomnieć nie powinien. Zamknął oczy i przekroczył granicę. Poddał swoje ciało, jakby był mężczyzną, od którego nikt nie wymagał żadnych wyjaśnień. Na jedno uderzenie serca udało mu się wyprzeć to, co czynił tą swoją słabością zmarłym – żonie, synowi, matce, teściowi i milionom Żydów, którzy zostali zamordowani w Niemczech.

– Myślałam, że nic takiego nie może mi się już przydarzyć – wyszeptała Adelheid.

– Ja nadal tak myślę – odparł Fritz.

Gdy światło nocy zaczęło się barwić nadchodzącym dniem, a kos radować się na wczesnowiosennej lipie, królowa nocy zeszła z tronu. Owinęła się w szlafrok i powoli zamknęła od zewnątrz drzwi do pokoju swojego lokatora. Jej krok był lekki, ale pokonany mężczyzna słyszał, jak w korytarzu skrzypią deski. Myślał, że jego serce pęknie wreszcie i podczas snu usłyszy trąby gniewu, ale nie pytał już więcej sam siebie, dlaczego przekroczył granicę i dlaczego jego poczucie przyzwoitości, godności i szacunku go nie powstrzymało. Przypomnił mu się znak na czole Kaina, pamiątka mordu na bracie. Ból rozdzierał mu ciało i głowę, ale bardziej dręcząca niż wstyd była świadomość, że nie będzie mógł wybaczyć sobie tej nocy z 19 na 20 kwietnia 1946 roku.

– Przygotowałam nam śniadanie. Nie w kuchni, tylko w moim pokoju – powiedziała Adelheid. – Dzisiaj przecież Wielka Sobota. Człowiek potrzebuje trochę świątecznego nastroju. Tym bardziej w tak złych czasach, zawsze to powtarzam. W Boże Narodzenie zapaliłam dla siebie samej świece i zaśpiewałam *Cichą noc*. Rozumiesz to?

– Ja nie śpiewam *Cichej nocy*.

Urząd Kwaterunkowy zostawił pani von Hochfeld tylko jej dawną sypialnię. Tam spała, czytała, swetry męża przerabiała na damskie skarpety i ciepłe kamizelki, cerowała pończochy i bieliznę, rozmyślała o prawie i sprawiedliwości oraz codziennie robiła zmarłemu mężowi wyrzuty, że „nie przewidział tego, co musiało nadejść” oraz „do samego końca dosiadał niewłaściwego konia”. Co najmniej dwa razy w tygodniu pisała obszernie podania zarówno do niemieckich, jak i do amerykańskich władz. Miała

potrzebę dokładnie wyjaśnić, że nie była członkinią partii ani żadnej innej organizacji narodowosocjalistycznej. Prosiła, by „życzliwie przychylić się” do jej „uzasadnionego roszczenia do jeszcze jednego pokoju”.

Do swojego sypialniosalonu wstawiła tyle mebli, ile tylko zdołała uratować przed narzuconymi jej lokatorami. Z szerokiego szeszlona, który nocą tak spieszenie opuściła, zdjęła pościel. Stosowne jedwabne poduszki i fioletowy pled pasujący do zasłonek leżały na swoim miejscu. Pod oknem stało niewielkie biurczko z końca osiemnastego wieku, na którym w ozdobionym kwiatami porcelanowym naczyniu zatknęła gęsie pióro. Szczególnie dumna była zaś ze srebrnego kałamarza, który odziedziczyła po ciotecznej babce Amalie z Würzburga. Jeszcze godzinę temu na biurku stał również oprawiony w srebrne ramki portret zmarłego generała w mundurze i ze wszystkimi orderami. Gdy wdowa nalewała kawy, Fritz dostrzegł, że portret zniknął. Właściwie nie chciał tego robić, a jednak się zaśmiał. Zawstydził się, gdy dostrzegł, że Adelheid mu się przypatruje.

– Kawa ze sklepu PX – zachwyciła się przy pierwszym łyku. – Warta każdego grzechu.

– Nie każdego – sprzeciwił się Fritz.

– Kiedy chcesz jechać i jak?

– Gdybym to wiedział, czułbym się lepiej. Wiem tylko, że za osiem dni po raz pierwszy będę mógł wziąć cztery dni wolnego. Muszę koniecznie wykorzystać tę okazję. Inaczej będę musiał czekać sześć tygodni na kolejne wolne dni. Myślę, że ojciec potrzebuje co najmniej czterech dni, by poznać swoją córkę. Gdybyśmy się spotkali na ulicy, minęlibyśmy się, nie wiedząc nic o sobie.

– Tak było z moim kuzynem, który wyszedł z francuskiego obozu jenieckiego w Badonii. Wrócił zupełnie odmieniony. Rozpoznałam go tylko po głosie.

Między Norymbergą a Frankfurtem nadal nie kursowały pociągi. Wśród wojskowych kierowców obsługujących trybunał był jednak pewien niezwykle człowiek, któremu wiele radości sprawiało robienie dobrych uczynków, zachowywał się jak harcerz. Nazywał się Washington Gaylord Jones, był kapralem, pochodził z Charlestonu i przysiągł swojej matce, której najstarszy syn poległ w Ardenach, że „będzie kopał każdego przekłętą Niemca w obmierzły tyłek”. Jednak jak tylko dotarł do kraju wroga, złamał tę przysięgę. Zawsze nosił przy sobie gumy, czekolady i papierosy na wypadek, gdyby spotkał obdarte dzieci o błagalnym wzroku albo jakąś piękną niemiecką frollajn, która przynajmniej na chwilę pozwalała mu zapomnieć o tęsknocie za trzema małymi córeczkami i sernikiem mamusi.



Fritz poznał tego pełnego pasji filantropa zupełnie przypadkowo, jak to się zdarzało w tych czasach, kiedy nie można było ufać ani doświadczeniu, ani instynktowi, a już na pewno nie swoim nadziejom. Kapral Jones zagadnął go w kantynie i w bardzo poruszający sposób opowiedział o swojej ojczyźnie i tęsknocie za domem. Pozwolił, by jego lody malinowe się rozpuściły, wypił trzy filiżanki kawy, czwartą wylał na spodnie, nazwał kucharza *bloody bastard*<sup>[38]</sup> i nie owijając w bawełnę, poprosił Fritza, by napisał mu list do żony. Pani Jones bowiem tak mocno zwątpiła w wierność męża, że zagroziła mu rozwodem. Washington był człowiekiem czynu, nie słowa – dlatego też stwierdził jasno, że list z wyjaśnieniami musi napisać mu „człowiek pojętny, obyty w świecie”. Fritz okazał się właściwą osobą, czego dowodziła odpowiedź od pani Jones. Przysięgała w niej szczęśliwemu mężowi miłość i wierność do śmierci. Na koniec zacytowała dwie linijki z sonetów Szekspira, co zdaniem Fritza, który list przeczytał, wskazywało z całą pewnością, że zauroczona małżonka także poprosiła kogoś o wyręczenie jej w pisaniu.

Od tamtej pory Washington nazywał wielce tym zadziwionego autora „swojego najpiękniejszego listu miłosnego w życiu” po prostu Frizzie. Zaproponował mu, żeby nazywać go Washi – jak mówili na niego w domu. Prośba Fritza, by wybrał się z nim do Frankfurtu, bardzo Washiego uszczęśliwiła. Podczas jednej z podróży służbowych poznał tam bowiem szczególnie przychylną frollajn. Miała biust jak Jane Russell w filmie *Wyjęty spod prawa*, była ochoczą i zawsze wesołą blondynką. Gdy śpiewała *Na lüneburskim wrzosowisku* lub *Orzechy są ciemnobrązowe*, Washi czuł bliskość z kulturą europejską. Piękna blondynka miała marzenie, którego z powodu braku wspólnego języka nie zdradziła Washiemu – mianowicie widziała siebie w białych szortach na pokładzie statku płynącego do Ameryki, gdzie miała zostać żoną żołnierza.

Swój frankfurcki grzech nazywał Washi Veronicą, chociaż prawdziwe imię dziewczyny brzmiało Ortrud. Za uciechy na jej niewielkim tapczanie odwdzięczał się nylonowymi pończochami, które wywoływały u frollajn ostry krzyk zachwytu, co go stymulowało tak samo jak jej pełne piersi. Z Norymbergi przywoził pełne torby chesterfieldów i kilogramy kawy, a także whisky dla pogrążonej w depresji matki, która jeszcze w lutym 1945 roku wierzyła w cudowną broń, oraz czekoladę dla brata Hermanna-Dietricha. Miał on tak zręczne palce, że przy każdej wizycie okradał Washiego z paczki prezerwatyw, które żołnierze musieli nosić przy sobie, gdy opuszczali teren wojskowy. Washi był mistrzem organizacji i improwizacji. Zaledwie dwa dni zajęło mu zdobycie benzyny na podróż do Frankfurtu i z powrotem oraz pozwolenia na jednorazowe zakupy w sklepie PX we Frankfurcie, a także na spędzenie

czterech nocy w domu dla podróżujących amerykańskich wojskowych. Znał już drogę na Thüringer Strasse 11. To on był tym zaraźliwie wesołym żołnierzem w imponującym hełmie, który przed czterema tygodniami przyjechał jeepem pod ten właśnie adres, by dostarczyć paczkę w imieniu swojego przyjaciela Frizziego.

– Tej paczce zawdzięczamy naszą podróż – wyjaśnił mu Fritz.

– Nic nie rozumiem, ale moja babcia zawsze powtarzała, że nie wszystko trzeba rozumieć.

– Miała rację! Im mniej rozumiesz z tego świata, tym lepiej ci się powodzi.

W poniedziałek 29 kwietnia było już właściwie jak w maju. Jabłonie i bez rozkwitły wcześniej niż zwykle, jaskółki latały jak w lecie, słońce rozścielało złote promienie na polach niedojrzałej kukurydzy, wodzie w rzece, w strumieniach i stawach, a nawet na miejskich ruinach i zniszczonych wiejskich domach. Osiemdziesiąty ósmy okres rozdawania przydziałów zaczął się poza tym od dobrej wiadomości. Po raz pierwszy od końca wojny ludność otrzymała przydział na cukier. Popularna tancerka rewiewa Marika Röck, gwiazda filmów *To był upojny bal* i *Kobiety są lepszymi dyplomatami*, z powodu swoich powiązań z nazistami dostała zakaz występów. Washi natknął się na niemieckiego obdarciucha, nazwał go *a fucking German*<sup>[39]</sup> i zarekwirował jego zieloną kurtkę myśliwską. Kapelusze z długim rdzawym piórem jeszcze bardziej rozwiązał mu język. Potok słów przerwało mu dopiero włożenie do ust nowej gumy do żucia.

Fritz musiał się wysilić, by nadążyć za krętymi ścieżkami wspomnień Washiego. Mylili mu się jego brat i ojciec, bo i jeden, i drugi miał na imię Joseph, na każdego z nich mówiono też Jake. Brat zginął na wojnie, ojciec zaś opuścił rodzinę, gdy jego żona przebywała u umierającej matki, a dzieci modliły się w kościele o powrót do zdrowia ukochanej babci. Gdy przejeżdżali przez zrujnowany Würzburg, Fritz próbował uporczywie wmówić sobie, że to miasto nie ma dla niego znaczenia. Właśnie tam nie tylko poznał wino frankońskie i niemiecki barok, lecz także pożegnał się ze złudzeniem, że koledzy przyjmą go jak jednego ze swoich. Jego myśli zatrzymały się przy studencie o delikatnym głosie i miękkim spojrzeniu, którego do ostatniej chwili uważał za przyjaciela. Nagle zorientował się, że drogowskaz pokazuje Hanau i Offenbach. Na palcach policzył lata, które upłynęły od momentu, gdy uciekł ze swojej ojczyzny.

– Osiem lat – powiedział po niemiecku. – Nie, osiem lat i siedem miesięcy.

– Hej – zaprotestował Washi – ustaliliśmy przecież, że nie będziesz mówił po chińsku. Kogo właściwie odwiedzasz w tym Frankfurcie?

- Teściową – wyjaśnił Fritz. Jeszcze nie był w stanie rozmawiać z obcymi o Fanny.
- Mój Boże, ja przed swoją uciekałbym, gdzie pieprz rośnie, byle tylko jej nie widzieć. Śmierdzi, gryzie i łapie mnie za tyłek.
- Nie widziałem swojej teściowej osiem lat.
- To dopiero szczęście.
- Była w Theresienstadt.

– A gdzie to znowu jest? Byłem niezły z geografii, ale do końca życia nie rozeznam się w tej przeklętej Europie.

– Theresienstadt to był obóz koncentracyjny. Czy możesz się na moment zatrzymać? Słabo mi jakoś. Powinienem być jednak wypić rano trochę herbaty.

Widząc już z daleka ruiny Frankfurtu, Fritz wymiotował pod niemieckim dębem i wspominał pannę Farn z kokiem i wystającymi zębami. Panna Farn kazała mu dziesięć razy napisać: „Im silniejsze burze, tym mocniej zakorzenia się niemiecki dąb”. „To cię nauczy, jak zachowuje się niemiecki chłopiec” – krzyczała.

Fritz był przerażony, że jego ciało musiało się poddać i nie opanowało wyobraźni. Mimo to zachował spokój i pozostał nieustraszony, gdy z powrotem wszedł do jeepa.

– Jesteśmy Żydami – wyjaśnił krótko.

– A więc jedziemy na tym samym wózku – stwierdził Washi. – I czarnym, i Żydom rzadnie mina, gdy inni ruszają na polowanie.

– Świetnie to ująłeś, przyjacielu. Wyświadcz mi przysługę, Washi. Gdy dojedziemy na Thüringer Strasse, zatrzymaj się, proszę, na rogu. Chciałbym ten ostatni kawałek przejść sam.

– Zawsze mówisz „proszę”, kiedy czegoś chcesz. To mi się podoba. Tacy jak ja nie nawykli do podobnej grzeczności.

Mężczyzna, który dopiero dziesięć dni i cztery godziny temu dowiedział się, że jego córka przeżyła, stał przed domem o numerze 11 i patrzył w stronę odjeżdżającego jeepa. Słyszał własny oddech i czuł chęć, by z powrotem sprowadzić tu Washiego. Potem zeszytniały mu ręce, wreszcie i szczęki. Pytał sam siebie – choć bez strachu – czy człowiek słyszy, gdy jego serce przestaje bić.

Sznur dzwonka w drzwiach wejściowych był biały i rzucał się w oczy. Fritz dostrzegł, że na jednej z tabliczek napisano nazwiska Dietz i Sternberg. Przeliterował obydwa, podszedł do drzwi, wyciągnął rękę, ale nie odważył się nacisnąć dzwonka.

– Ach – powiedział do siebie. Już to jedno słowo utknęło mu w gardle. Postawił

walizkę na podłodze, znowu ją podniósł, schylił głowę i był pewien, że musiał już przestać oddychać.

– Czego tutaj szukasz? – spytała jakaś dziewczynka. Na niebieskiej sukience miała kwiecisty fartuszek dziecięcy, a we włosach białą wstążkę.

Sophie odsunęła swoją przyjaciółkę Lenę, posadziła lalkę w różowej sukni balowej między prętami płotu, wyciągnęła do Fritza prawą rękę i złożyła mu głęboki ukłon, bo widziała, że wysiadł z jeepa. Ponieważ sprytna kilkulatka zobaczyła, że odstawił walizkę, wiedziała już, że musi ona dużo ważyć i że grzeczne zachowanie jest pożądane.

– Jesteś jednym z Amerykańców? – spytała.

Fritz chciał się do niej uśmiechnąć, wyrazić zachwyt lalką i spróbować wyjaśnić dziewczynce, dlaczego tutaj przyszedł, ale jego usta pozostały sklezione. Sophie zaczęła chichotać, najpierw cicho, potem głośno, a po chwili śmiała się do rozpuku. W tej chwili Fritz się potknął, stracił odwagę i orientację. Zobaczył, że jego walizka stanęła w ogniu, płomienie buchnęły, pomyliły mu się czas i miejsce, szczęście wynikłe z odnalezienia pomyliło mu się ze zwątpieniem wynikłym z utraty. Dlaczego nie rozpoznawał oczu, w które patrzył? Dlaczego jego córka była taka mała i miała jasne włosy? Dlaczego nie była podobna ani do niego, ani do Vicky? Jak mogła po tym wszystkim, co jej się przytrafiło, bawić się lalką i dygać sobie jak kilkuletnie dziecko?

– Jestem twoim tatusiem – powiedział do niej jednak.

– Mnie nie nabierzesz – odparła Sophie. – Nie mnie. – Znowu zachichotała, tupnęła prawą nogą i potrząsnęła głową. Jej długie warkocze uderzyły ją w twarz. – Mój tatuś ma tylko jedną nogę – zapiszczała. – I jest w domu.

– Ale Fanny tutaj mieszka, prawda? Fanny Feuereisen?

– Oczywiście, że tak. Przecież to moja siostra. Ale jej nie ma w domu. Jest w szkole.

## GOŚCINNE WYSTĘPY DOKTORA FRIEDRICHA FEUEREISENA

Maj 1946

Chociaż kasztanowce po drugiej stronie ulicy kwitły już od dwóch tygodni, a w ogrodzie sąsiedniego domu niewielka jabłoń cała obsypana była kwiatami, Anna intonowała na zmianę „Nadszedł maj, drzewa wypuszczają pąki” oraz „Chodź, ukochany maju, zazielen drzewa znów”. Ani wesoła piosenka, ani radość z natury nie były dla niej czymś oczywistym. Odkąd jednak jej szwagier Fritz stanął z Sophie za rękę w drzwiach – prawie wtedy zemdląca, bo przez krótką chwilę sądziła, że to Erwin wrócił do domu – Anna cieszyła się nieustannie.

Tego słonecznego dnia, w którym przypomniała sobie wszystkie wiosenne piosenki, miała również nadzieję, że pokrojona w kostkę wysuszona brukiew położona na rurze piecyka zmieni się w rodzynki. Anna chciała upiec ciasto, które w publikowanym na Wielkanoc przepisie określano jako świąteczny tort. Przepis, podobno autorstwa pewnej szlachcianki z Hermannshofen, rozdawano w piekarni zamiast piernika z czarnej mąki, który początkowo miały otrzymać dzieci poniżej szóstego roku życia. Szlachecki tort świąteczny składał się z płatków owsianych, czarnej mąki, jaj w proszku, sacharyny oraz ekstraktu słodowego i sztucznego miodu.

To kuchenne dzieło stworzenia miało nie tylko ukoronować wizytę Fritza. Już od dwóch tygodni Anna była w stanie najwyższego podniecenia. Los sprawił, że spełniło się jej największe marzenie.

– Teraz znowu jesteśmy poważanymi ludźmi – mówiła, kiedy tylko zostawała z mężem sam na sam.

– Tylko tego nie rozpowiadaj. Tylko głupcy pracują na swój chleb powszedni – odpowiadał za każdym razem.

Inwalida wojenny Hans Dietz też to jednak robił. Jego były pracodawca otrzymał od amerykańskich władz licencję na wydawanie „Frankfurter Neue Presse”. Pierwszy numer ukazał się 15 kwietnia. Przechowywano go w szafie pod adamaszkowym obrusem na dwanaście osób, który pochodził jeszcze z domu Sternbergów. Podczas pierwszego posiłku z Fritzem pani domu z triumfem go zaprezentowała. Podpis na stronie pierwszej brzmiał: „Człowiek służy prawu”.

– To przytyk do mnie – powiedział Fritz.

Ponieważ Hans Dietz był znany wydawnictwu i poza tym mógł udowodnić, że nie tylko nie był politycznie obciążony, ale też odsiedział swoje w obozie w Dachau, zatrudniono go jako drukarza. Na początku zarówno „Frankfurter Neue Presse”, jak i „Frankfurter Rundschau” z powodu ograniczonych dostaw papieru mogły ukazywać się zaledwie dwa razy w tygodniu. Nowo zatrudniony drukarz uznał to za uśmiech losu. Kiedy tylko upewnił się, że Anna go nie usłyszy, wyjaśnił Fritzowi, że dzięki temu zostawało mu „wystarczająco dużo czasu, by godnie zaopatrzyć rodzinę na czarnym rynku”.

W dniu pięknych pieśni Sophie była tak samo wesoła jak jej matka. To, że na śniadanie dostała gorzką kawę zbożową i suchy chleb, w dodatku nie tyle, ile by chciała, tym razem jej nie zmartwiło. Odkąd wujek Fritz wkroczył do jej życia, stała się księżniczką z własną krainą mlekiem i miodem płynącą. Dla księżniczki Sophie rosły żółte chleby z marcepana na łąkach z czekolady, a przed pójściem spać zjadała tyle kiełbasek z białymi bułeczkami, „ilu nie ma na całym świecie”.

W rzeczywistości obdarzona bujną wyobraźnią dziewczynka ssała już od rana zielone cukierki z dziurką w środku. Dostawała je za każdym razem, gdy natykała się na człowieka z pełnymi kieszeniami, który nie mógł się opędzić od żadnego dziecka i nigdy nie dał jej odczuć, że jest ojcem tylko Fanny, a jej już nie. Zaraz po śniadaniu Sophie zaczynała na małej łączce w podwórku zbierać dla „króla Fritza” stokrotki, mniszek i liliowe koniczyny. Chciała mu także śpiewać piosenkę o ojcu chrabąszczu na wojnie.

– Chrabąszcz Sumsemann także stracił nogę. Jak mój tata – opowiadała dzielna ogrodniczka swojej przyjaciółce Lenie.

Ponieważ Lenie zdarzało się wątpić w nową wiedzę, Sophie zachowywała się, jakby o tym, o czym mówiła, wiedziała już od dawna. Tak naprawdę opowieść o pięcionogim chrabąszczu poznała z klasycznej książeczki dla dzieci *Wyprawa Piotrusia na Księżyc* dopiero trzy dni temu. Betsy i Fanny nie tylko dokładnie przejrzały nową centralę handlu wymiennego na ulicy Zeil, lecz także tam handlowały,

tak samo wytrwale i z powodzeniem jak Hans, który szrot i zużyte opony wymieniał na masło, słoninę, buty dziecięce i sztuki materiału. Starą gofrownicę Anny, która stała bezużyteczna, bo nie było składników na gofry, oraz kociołek, który w głodnym roku 1946 przydałby się tylko budzącym zazdrość działkowiczom, niezmordowana Betsy i jej zaskakująca wnuczka zamieniły na godną podziwu stertę książek. Radośnie przytargały do domu *Götza*, *Tassa* i *Egmonta* Goethego, *Marię Stuart* i *Don Carlosa* Schillera, oprawiony w zieloną skórę tom wierszy z trzech stuleci oraz zbiorów opowiadań Ernsta von Wildenbrucha, pruskiego pisarza z czasów Bismarcka, bardzo cenionego niegdyś przez Johanna Isidora. Do tego zdobyły *Walkę o Rzym* Feliksa Dahna, którą najpierw Erwin i Clara, a potem Vicky czytali z latarką pod kołdrą. Wreszcie – słynną powieść antywojenną *Na Zachodzie bez zmian* Ericha Marii Remarque’a. Egzemplarz tej ostatniej przetrwał palenie książek i cały okres nazistowski, jak poinformował je przejęty właściciel, w wysłużonym korycie w chlewni. Sprzedawcę poruszyła radość klientek. Dorzucił im *Wyprawę Piotrusia na Księżyc*, chociaż już wzięły tyle, ile im się należało.

Słynna książka dla dzieci autorstwa Gerda von Bassewita jeszcze w centrali handlu wymiennego wywołała u Betsy przypływ wspomnień, a nocą jezioro łez. Te poetyckie utwory czytała najpierw Alice, potem Claudette, wreszcie pięcioletniej Fanny. Minęła jedna wojna światowa i doszło do ludobójstwa, wtedy nadeszła kolej Sophie. W każdym razie jako pierwsza spośród zaciekawionych słuchaczek Betsy chciała wiedzieć, czy piernikowy człowiek z bożonarodzeniowej łąki był jadalny i komu potrzebna była noga bez jej właściciela – chrabąszcza. Gdy Fanny była dzieckiem, nie znalazł się nikt, kto by znał odpowiedzi na jej pytania, musiała więc odpowiedzieć sobie sama po cichu. Kiedy odnalazła ojca, zabrakło jej słów, aby powiedzieć mu, co czuła. Także Fritz wzbraniał się mówić o odwadze, błogosławieństwie i zbawieniu. W chwili osłabienia ojciec i córka chcieli tylko na siebie patrzeć i się nieśmiało dotykać. Gdy ich dłonie się spotykały, przeczuwali, co mieli na myśli beztroscy ludzie o giętkich językach, gdy mówili o szczęściu. Bali się jednak wypowiedzieć to słowo.

– Znasz tę niezwykłą pracę Michała Anioła, na której Bóg dotyka Adama? – spytał wieczorem Fritz, gdy jeszcze raz słowa pokonały milczące porozumienie.

– Nie znam jeszcze Michała Anioła – odparła Fanny. Zdziwiła się, że udało jej się wymówić to dziwne nazwisko i ośmieliła się po raz pierwszy zaśmiać w obecności ojca. – Do powrotu babci nie znałam w ogóle nikogo, kto by mówił o obrazach. I o muzyce. Nigdy się tego nie nauczę.

– Nie masz pojęcia, ile jeszcze się nauczysz! Poczekaj tylko, aż będę na tyle zamożny, żeby kupić dwa bilety do Rzymu i Florencji. I do Paryża. Tak, do Paryża pojedziemy w pierwszej kolejności. Zobaczyć Monę Lisę. Jej uśmiech nie zniknął. A potem pojedziemy do Amsterdamu. To wspaniałe miasto, gdy nie widać w nim niemieckich mundurów i nie trzeba się bać o życie.

– Co będziemy robić podczas tych podróży?

– Nadrabiać to wszystko, czego pozbawili nas naziści. Życie i sztukę. I śmiech. Nigdy już nie będziemy się smucić, ty i ja, i kupimy sobie tłustą kurę.

– Na rosół?

– Na jaki znowu rosół? Żeby składała jajka. Złote jajka w gnieździe z gwiazdowego pyłu. Już jako dziecko marzyłem o takim gnieździe.

– A ja marzę o brytfance. Dla Anny. Ta, którą ma, zupełnie już się nie nadaje.

– Nie musimy tym zawracać głowy Fortunie. Ani dobremu Bogu. Brytfanki można kupić w sklepie PX.

Pierwszego dnia na nowej drodze życia Fritz i Fanny zyskali świadomość, że znowu mogą być ojcem i córką. Już następnego ranka umieli patrzeć na siebie spokojnie, bez obaw, że los spleta im figła.

– Nadal nie mogę w to uwierzyć – wyszeptwała Fanny. Chciała powiedzieć ojcu, że nie zapomniała o bracie, a na pewno nie o matce, nie potrafiła jednak rozmawiać o tych, których pędzono na śmierć w szarej mgle pod frankfurcką Wielką Halą Targową. – Anna – przełknęła łzy – mnie wyciągnęła. Była w ciąży. Z Sophie.

– Wiem, zawsze to będę pamiętał.

– Zdjęła mi na ulicy płaszcz. Ten z gwiazdą. Wiesz, że Żydzi w Niemczech musieli nosić gwiazdy przyszyte do ubrania? Żeby można było ich rozpoznać. Żółte gwiazdy.

– W Holandii było tak samo.

– Myślisz, że można coś takiego zapomnieć?

– Oby nie. Gotowość do zapomnienia o zmarłych zawsze była grzechem.

– Chodzi mi o to, co nam zrobili.

– Nie wybieramy tego, co chcemy zapomnieć, Fanny.

Trzeciego dnia Betsy powiedziała:

– Nawet najszcześniejsze chwile kiedyś się kończą. Zanim się obejrzymy, Fritz będzie musiał wrócić do Norymbergi. Dlaczego nie pójdziecie sobie we dwoje do



zoo? To niedaleko i możecie tam naprawdę pobyć sam na sam. Powiedzieć sobie to wszystko, co powinno zostać powiedziane w cztery oczy. Są tam też ławki, widziałam niedawno, piękne, staromodne ławki, takie, jakie były tam wcześniej, gdy ludzie na widok kawałka drewna nie myśleli od razu o swoich piecach i kuchenkach.

– Powiedz tylko, że znowu mamy zoo we Frankfurcie. Skąd, na litość boską, biorą jedzenie dla zwierząt, gdy cały kraj głoduje? Myślałem, że teraz w Niemczech raczej zabija się lwy, niż je karmi.

– Bez obaw – wyjaśnił Hans. – We Frankfurcie żadnemu zwierzęciu włos z głowy nie spadnie, gdyż niestety nie ma tu ani jednego zwierzęcia.

Ojciec i córka usiedli na ławce przed dawną klatką lwów, w której najukochańsze pluszowe lwiątko całego miasta siedziało na niebieskiej poduszce i złotymi oczami patrzyło w stronę słońca. Biała kartka obramowana czarną taśmą izolacyjną przypominała o obu lwach, które straciły życie w ostatnim ataku lotniczym na Frankfurt. Złodzieje drewna odcięli ławce oparcie, a jakiś narwaniec wyrył na niej nożem napis „Wszystko gówno!”. Taki pesymizm nie licował jednak z tym ciepłym majowym dniem. Trawa wokół stawu była mocna, kwiaty kwitły letnią czerwienią, chabrowym błękitem i cytrynową żółcią. Prymulki na drodze, fiołki i niezapominajki sprawiały, że nawet ci, którzy dawno zwątpili, odzyskiwali nadzieję. Drzewa i krzewy pachniały tak, jakby w tym mieście nie umarły nagle tysiące ludzi. Pszczoły i motyle nadal umiały rozwiązywać swoje życiowe sprawy. Maślanożółte słońce wyglądało zza zasłony chmur. Ogrzewało zmęczone kości i poranione dusze. Ludzie, którzy męczyli się z wypełnianiem kwestionariuszy, by ukryć swą nazistowską przeszłość, właśnie dzięki słońcu nie zważali już na to, że wielkie zapomnienie i wielkie przebaczenie są tylko kwestią energii i czasu. Ponieważ ptaki nie straciły podczas bombardowań ani własnych dóbr, ani własnej godności, znowu budowały gniazda i wyśpiewywały pieśni przyszłości.

– Czy nie śpiewałeś mi, kiedy byłam dzieckiem, „Ptaki chciały mieć wesele”?

– „W lesie otoczonym zieleń”. Boże drogi, Fanny, że też to nadal pamiętasz! To było całe życie temu.

– Mam dopiero piętnaście lat. Może dzięki temu pamiętam lepiej niż wy, starsi.

W zoo stały ręcznie obsługiwane karuzele z białymi rumakami przed połączanymi karetami, staromodne huśtawki w kształcie statków. Obsługiwali je mężczyźni w podkoszulkach. Poza tym były tam też loterie i strzelnice, na których wygrywało się

papierowe kwiaty i torebki z lemoniadą w proszku, a w przypadku wyjątkowego szczęścia pusty słoik, drewnianą chochlę lub kubek, który jeszcze niedawno był hełmem. Młodzi chłopcy, którzy także w tym czasie niedoboru trenowali swoje mięśnie, by zaimponować dziewczętom, mieli do dyspozycji młot. Na samym szczycie skali siły królował korpulentny marynarz w pasiastej koszulce i czapce admirałkiej. Cyrk Helene Hoppe występował gościnnie dwa razy dziennie. Zachęcał do wejścia kolorowym plakatem, na którym ogłaszano, że można tam zobaczyć osiemset różnych zwierząt. Frankfurczycy mogli podziwiać śmiejącą się żyrafę i ozdobionego biżuterią słonia, na którym siedział czerwono ubrany szlachcic ze Wschodu.

– Ja też chcę jeździć na słoniu – zdecydował sześciolatek z nogami cienkimi jak zapalki i rękoma czerwonymi od blizn. Spodnie miał usmarowane atramentem i tak duże, że wystarczyłyby mu jeszcze na kolejne trzy lata.

– Gdy tata wróci – obiecała mu matka.

– Zawsze mówisz: „Gdy tata wróci”, jak tylko czegoś chcę. Willi mówi, że tata nie żyje. Jest martwy, mówi Willi.

– Williemu trzeba by dziś wieczorem sprawić lanie. Następnym razem najpierw się zastanowi, zanim powie coś takiego o swoim ojcu.

Zoo oferowało także przedstawienia teatralne i operetkowe. Aktorzy spojrzeli w otchłań, nadal karmili się głównie marzeniami, bo brakowało chleba. Ich oczy jednak żyły, a głosy umiały wznieść się wysoko. Recytowali wiersze, które mimo katastrofy humanitarnej pozostały w pamięci publiczności. Utwory, które czytali, mówiły o wierze, miłości i nadziei.

– W sali giełdowej widziałam *Ogrodnika z Tuluzy* Geорга Kaisera – opowiedziała Fanny. – Oraz *Nasze miasto* Thorntona Wildera. Całą noc nie mogłam spać, tak mnie ta sztuka poruszyła. Słyszałeś coś o Thorntonie Wilderze?

– Szczerze mówiąc, nie.

– To Amerykanin. Napisał jeszcze jedną sztukę: *O mały włos*. Bardzo chciałabym ją zobaczyć, ale nasz nauczyciel niemieckiego mówi, że grają ją tylko w Darmstademie. Najchętniej poszłabym któregoś dnia do teatru. Nie wiem właściwie dlaczego.

– Ja wiem – powiedział Fritz. Przełknął z trudem ślinę, gdyż ukazała mu się Victoria. Pomyślał o tragedii swojego małżeństwa i życia. Wiedział, że nigdy nie pozbędzie się tego gniewu. Vicky nie mogła odejść z jego snu, odgrywała w nim role wszystkich bohaterów. Jeszcze będąc w drugiej ciąży, stała przed złoconym lustrem z tulipanem we

włosach i grała Ofelię. Czy Fritz byłby w stanie rozmawiać z Fanny o jej matce bez tego uczucia, że jego serce płonie? Prawie każdej nocy obwinał się o to, że nie dość energicznie próbował wybić Victorii z głowy te jej złudzenia.

– W szkole czytamy *Wilhelma Tella*. To dla mnie zupełna nowość. Nigdy nie czytałam sztuki teatralnej. To, co stare, upada, czasy się zmieniają, a nowe życie rozkwita wśród ruin. Uważam, że to przepiękne.

– „Kto nazbyt myśli, nie dokona wiele” – wpadł jej Fritz w słowo. – To zawsze był mój ulubiony cytat. Nie wiem, jak to się stało, że utkwił mi w głowie. „Siekiera w domu – oszczędność na cieśli”<sup>[40]</sup>.

– Niemiecki to jedyny przedmiot w szkole, który mi się podoba. Tam nie czuję się tak, jakbym mieszkała na księżycu i musiała się z tego tłumaczyć.

– Chciałabyś kiedyś sama stanąć na scenie?

– Na pewno nie. Nie mogę zrozumieć, jak ktoś w ogóle chce być aktorem. Wyobrażam sobie, że to jest przerażające, gdy wszyscy na ciebie patrzą. Zaraz bym się rozpląkała. Powiedziałaś coś niewłaściwego?

– Wręcz przeciwnie. Powiedziałaś coś wspaniałego, poza tym zupełnie nie umiesz powiedzieć niczego niewłaściwego. Od razu to zauważyłem.

Matki pchały wysłużone wózki z odkształconymi kołami, ale z czyściutkimi poduszkami i małymi kołderkami w eleganckich poszewkach. Niemowlęta w szydełkowych czapczkach ssąły smoczki sprzed wojny, które kołysły już ich starsze rodzeństwo.

– Wszystkie wyglądają, jakby mamusia prowadziła je do ziemi obiecanej, mlekiem i miodem płynącej – stwierdził Fritz.

– Ja bym wolała truskawki z bitą śmietaną – rozmarzyła się Fanny. – Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam truskawki.

– Dzisiaj będziesz – obiecał jej ojciec. – Przynajmniej w postaci lodów. Gdy pójdziemy do sklepu PX kupić dla Anny nierdzewną brytfanę, oko ci zbieleje. A raczej szczerwienieje – truskawki są przecież czerwone. Amerykanie wymyślili nie tylko piorunochron, żarówkę i rewolwer. Robią też wyśmienite lody. Będziesz mogła zjeść ich tyle, że aż zrobi ci się niedobrze.

– To musi być piękne: zjeść tyle, że aż się człowiekowi robi niedobrze. Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło.

– Więc już najwyższy czas na to, madame.

Chłopcy w krótkich spodenkach uszytych z przefarbowanych mundurów i koszulach przerobionych z ręczników kuchennych nosili buty z obciętymi czubkami i wyciętą piętą, tak by pasowały na ich stopy. Jedli zupę z pokrzyw, kradli węgiel z ciężarówek i pociągów towarowych oraz wyjmowali starszkom kartki żywnościowe z torebek, a jednak wierzyli w Boga oraz w to, że któregoś dnia ich zaginięni w Rosji ojcowie staną w drzwiach.

Mur domku wodnego był czarny od sadzy. Kiedyś można było w nim kupić kolorowe lemoniady, laski lukrecjowe i pianki w czekoladzie, cukierki śmietankowe oraz piwo w butelkach. Dzisiaj wisiał tam wielki plakat z napominającym hasłem: „Rolniku, pomyśl o nędzy w mieście”. Mężczyzna z wielkim brzuszyskiem, ubrany w kapelusz, skórzaną kamizelkę i eleganckie wysokie buty, z zadowoloną miną palił długą fajkę. Śliczna dziewczynka ubrana jak Czerwony Kapturek, z okrągłymi zdrowymi policzkami, gryzła bułkę grubo posmarowaną masłem. W tle widać było kolejkę wygłodniałych mieszkańców miasta stojącą przed piekarnią w zrujnowanym budynku.

– Zabawne: Niemcy nadal wierzą, że plakaty mogą zmienić świat – stwierdził Fritz.  
– Tak było też w czasie pierwszej wojny. Jako ucniak uwielbiałem je czytać. Plakat z gotyckimi literami wisiał na słupie ogłoszeniowym, który codziennie mijałem w drodze do szkoły. „Precz ze szwajcarskim pozdrowieniem *Adieu*. Niemcy mówią: «Do widzenia»”. Wyjęli mi to z ust. Nie mogłem znieść mojego nauczyciela francuskiego. A on mnie. W 1933 roku znowu się zaczęło. „Führer jest naszym sumieniem!” czy „Kto nie z nami, ten przeciw nam”. A wczoraj, gdy przechodziłem obok sądu – bo wielkiego głupca Friedricha Feuereisena mimo wszystko tam ciągnie, jakby wszyscy prawnicy Frankfurtu tylko na niego czekali, by mu wręczyć złote klucze – wiesz, co głosił tamtejszy plakat? „Dziś wracają prawa, które nazizm łamał”. Kto w to wierzy, jest święty, powiedziałyby moja matka.

– Twoja matka – zaczęła Fanny i bardzo ją zaskoczyło, że odważyła się dokończyć to zdanie – była moją babką, prawda? Jak Betsy.

– Oczywiście. Nie pamiętasz tego? Za każdym razem przynosiła ci paczuszkę tabletek na kaszel i jakąś moją starą zabawkę, a ty robiłaś tak nieszczęśliwą minę, że chciałem się zapaść pod ziemię. A gdy dostałaś od niej trójnogiego króliczka, którego kochałem, jakby był żywą istotą, i z którym do dziewiątego roku życia spałem w łóżku, powiedziałaś: „Jest zepsuty, wrzucę go do skrzyni”. Boże drogi, ależ matka poczuła się dotknięta. Była tak oszczędna, że nasze służące po kolei rezygnowały z pracy. A ja kradłem kanapki koledze z ławki, bo sam miałem chleb ledwie posmarowany masłem. Mimo to była fantastyczną kobietą, odważną, silną, pomocną i w dodatku fanatyczną

sprawiedliwości. Betsy napisała mi w swoim pierwszym liście, że była z nią do końca. W tym samym domu w Theresienstadt. Kojąca jest ta świadomość, że moja matka nie umierała w samotności. Ach, twój ojciec jest sentymentalnym starym osłem, ale myśli sobie, że jesteś do niej podobna. Tylko znacznie ładniejsza. Wybacz, mamó! Zawsze powtarzałaś, że nie można kłamać. Ach, Fanny, wiesz, co jest najgorszą karą, jaką zsyła nam Bóg? Nawet gdy odbierze nam już ostatnią kromkę chleba i ostatnią nadzieję, zostawia nam wspomnienia.

– Wiem. Ja też wiem za dużo. Za dużo pamiętam z dawnych czasów. Nie wyobrażasz sobie, jak zazdroścę dziewczętom w klasie. One ciągle mówią o przyszłości, o konfirmacji, o białych pończochach, które sobie szyją z worków na cukier. O tym, że chcą obciąć warkocze i kiedy skończą szesnaście lat, chodzić już na tańce. Myślę, że zupełnie zapomniały bomby i wojnę. O swoich matkach mówią tak zwyczajnie, jak ja o swojej chusteczce do nosa.

W tej samej chwili oboje poczuli, że ból jest trybutem płaconym przez tych, którzy przeżyli. Mimo to uśmiechnęli się do siebie, bo nie mieli obaw. Nie wiedzieli tego jeszcze, ale był to właśnie moment, w którym ojciec i córka wreszcie się odnaleźli.

– Gdybyśmy byli Filemonem i Baucis<sup>[41]</sup>, zasadzilibyśmy teraz drzewo – powiedział Fritz.

– Skąd znasz tyłu ludzi? Przecież też musiałeś się ukrywać i mogłeś wychodzić tylko pod osłoną nocy.

– Po kim możesz mieć to poczucie humoru? Na pewno nie po rodzicach.

– Babcia mówi, że po wuju Erwinie. Znałeś go?

– Oczywiście! Od razu poczuliśmy do siebie sympatię. A nawet więcej. Gdyby Bóg miał spełnić jeszcze jedno moje życzenie, po tym jak ciebie odzyskałem, chciałbym jeszcze raz zobaczyć Erwina. Mam nadzieję, że Wszechmocny jest świadomy, że rozsądne byłoby przyspieszyć tempo cudów. W każdym razie tych, które dotyczą Friedricha Feuereisena. Ma on już przecież czterdzieści sześć lat.

– To dla mężczyzny dużo czy mało?

– Czterdzieści sześć to mała część czasu, gdy pomyślisz o Matuzalemie albo o tym, w jakim wieku Abraham spłodził swojego syna. To jednak spory kawał, gdy uświadomisz sobie, że musisz zaczynać wszystko od nowa.

– Myślę, że ty też masz poczucie humoru – powiedziała Fanny.

Miała na sobie sukienkę w niebiesko-białą kratę, z rozkloszowaną spódnicą i wąskim gorsetem. Do tego błyszczące różowym blaskiem guziki z masy perłowej

i koronkowy kołnierzyk. Do królowej maja brakowało jej jedynie korony z kwiatów i pewności siebie dziewczyny, która nie dorastała w ukryciu. Anna uszyła tę sukienkę z przedwojennej pościeli, a brukselskie koronki pochodziły jeszcze z pasmanterii Sternbergów i przeczekały wojnę w puszcze po herbacie. Wzór znalazła w amerykańskim piśmie dla kobiet, które Hans przyniósł z drukarni. Pismo dotyczyło przede wszystkim mody dla dziewcząt – w świecie nieograniczonych możliwości nazywano je nastolatkami, nosiły białe skarpetki i mimo szminek i różu na twarzy wyglądały jak Shirley Temple, dziecięca gwiazda kina lat trzydziestych, z loczkami i dołeczkami w policzkach.

Panna Feuereisen z Frankfurtu nad Menem także miała dołeczki, gdy się śmiała. Tyle że nikt poza jej ojcem tego nie zauważył. Gdy Fanny była w dobrym nastroju lub zamieniała po prostu radość beztroskiej dziewczyny w radość dziecka, którym nigdy nie mogła być, w jej ślicznych kocich oczach błyszczały gwiazdy. Fritz podczas ośmiu pełnych zwątpienia lat widział te błyski w swoich koszmarach.

– Nigdy nie pomyślałabym, że modlitwa się opłaca – wyjaśniła filozofka w nowej sukience.

– Modlitwa spaja świat. Trzeba tylko umieć wierzyć.

Ojciec i córka spacerowali pod rękę wokół stawu w zoo i z radością podpatrywali parę kaczek, która cieszyła się z bycia razem i nie wiedziała nic o ubraniach ani kartkach na chleb.

– Modliłam się tylko dlatego, że Hans zawsze powtarzał, że trzeba wykorzystać każdą okazję, by przypomnieć niebu o sobie. Przy tym sam nigdy się nie modli. Mówi, że katolik z jedną nogą nie musi się modlić, bo nie może uklęknąć.

– Prawnicy nazywają to dyspensą. Twój zastępczy ojciec to mądry człowiek.

– Rzeczywiście. Mądry, prawy i cierpliwy. Nigdy nie widziałam, żeby się złościł. Ani na Annę, ani na nas, dzieci. Można z nim wspaniale się pośmiać, nawet wtedy, gdy nie ma żadnych powodów do śmiechu. Ciągłe powtarza, że cieszy się, że musiał oddać tylko jedną nogę, a nie swój śmiech. Już jako dziecko go podziwiałam, ale nie jest moim zastępczym ojcem. Już nie. Bo teraz mam swojego właściwego ojca, pana Feuereisena. Proszę to sobie zakonotować. Przepraszam, pana doktora Feuereisena. Babcia mówi, że nie można opuszczać tego tytułu. Jak to stwierdziła, pan doktor na swojego „doktora” musiał sobie zapracować.

W chwili, w której niebo zasnuło się ciemnymi chmurami, Fritz usłyszał głęboki głos Adelheid. Zobaczył też jej twarz i grube jasne włosy. Przerażony zamknął oczy, ale

było za późno na ucieczkę. Już królowa nocy pochylała się nad nim i pytała: „Kim jest Salo?”. Jej ręce pachniały różami, czarny jedwabny szlafrok rozchyłał się na nagiej piersi, orkiestra grała uwerturę do *Czarodziejskiego fletu*. Serce Fritza zamarło, zachwiał się. Jednak wrócił z krainy pokus z podniesionym czołem.

– Może mi szanowna panienska mówić na ty – powiedział. Od dawna wytęsknione poczucie humoru, o którym myślał, że stracił je na zawsze, dało mu pewność siebie. Zrozumiał, że bogowie wybaczą tym, którzy uznają swoje błędy. Jego głos odzyskał młodzieńczą barwę, sumienie było bez zarzutu, czoło suche. Odłożył chusteczkę. – Poza tym – mówił dalej – pani ojciec złożył dziś przed niebiosami uroczystą przysięgę, że nie opuści swojego dziecka, panienska Fanny. Grzechy i zaniedbania, nawet jeśli popełniliśmy je z głupoty i niewiedzy, Bóg wybacza tylko raz w życiu. Recydywiści nie mogą liczyć na karę w zawieszeniu. Wybacz, najwyraźniej oduczyłem się myśleć w tej Holandii. Na pewno nie wiesz, kto to jest recydywista. Sam się sobie dziwię, że jeszcze znam to słowo. Nie zapomniałem go, mimo że upłynęło tysiąc lat.

– Najważniejsze, że ja wiem, że mój ojciec nie jest głupi, ani troszeczkę. Zgrzeszyć też nie zgrzeszyłeś. Gdy zaczęłam rozumieć, co mi się przytrafiło, jakoś tak czułam, że nie mogłam postąpić inaczej. Musiałeś pojechać sam do Holandii. Tylko gdy chciałam powiedzieć to Annie lub Hansowi, słowa nie mogły mi przejść przez gardło. Na pewno nie wiesz, jakie to uczucie, gdy się nie można właściwie wysłować i stoi się jak jakieś ciele i głupio zerka dookoła.

– Wiem na pewno, że nie można się zdać na gładką wymowę. I nie jest to nauka z tamtych wspinających czasów, gdy mogłam pracować jako radca i mówiono do mnie „panie doktorze”, a Gustel co tydzień prasowała moją togę. W czasie wojny spędzonej w mojej przybranej ojczyźnie można było zapłacić głową, gdy się otworzyło usta na ulicy. Każde dziecko, a przede wszystkim każdy cuchnący szczur, który postawił na zwycięstwo Niemców, mógłby mnie zgłosić władzom jako Żyda. Nie musiałbym nawet ściągać spodni. Przy pierwszym słowie było widać, że nie jestem Holendrem, tylko nędznym uciekinierem. Friedricha Feuereisena można był odstrzelić. Do Westerbork! To był punkt zbiórki, przedsionek piekła. Stamtąd holenderscy Żydzi byli deportowani do obozów koncentracyjnych.

– Nie wiedziałam o tym. Inaczej modliłabym się jeszcze więcej. Zawsze myślałam, że wrogowie Niemiec Żydom nie zrobią krzywdy.

– Z pewnością łatwo jest złapać ptaka. Moja matka zawsze tak mówiła. Zrozumiałem, co to znaczy, dopiero w Amsterdamie, gdy zacząłem obliczać swoje ruchy na trzy kroki

do przodu, nim się w ogóle ruszyłem. Po wojnie moja mowa ojczysta także wyświadczyła mi niedźwiedzią przysługę. Dla Holendrów jestem nikczemnym Niemcem. Nikogo Holendrzy nie nienawidzą bardziej niż Niemców. Tymczasem wszyscy Holendrzy, którzy dzisiaj schodzą mi z drogi, wczoraj byli w ruchu oporu i osobiście zadbali o to, żeby Hitler przegrał wojnę. Do diabła z tym, mawiał mój nauczyciel matematyki i zaraz potem twierdzenie Pitagorasa zmieniało się w mieszanek kredy i masy mózgowej. Dlaczego się śmiejesz, Fanny? Tak to już jest, jak się ma ojca, któremu tak wiele w duszy gra, a z ust wypływa jeszcze więcej. Najpierw traci się poczucie miary rzeczy, a potem rozum. Większość ludzi, którzy tak się czują, wkłada czarny garnitur i się żeni. I ja też to zrobię. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, Królewno Śnieżko. Nie będziesz miała żadnej złej macochy, która pozazdrości ci urody i odbierze życie za pomocą zatrutego jabłka. Ożenię się z przyszłością.

– Hurra! Będę rozrzucać kwiaty i włożę czerwone lakierki! Ach, jak mi dobrze. Nawet jak będę miała sto lat, nie zapomnę tego dnia.

– Ja też nie. Zresztą ja już mam sto lat. Przeżyłem samego siebie. To nowa żydowska choroba. Stanie nad własnym grobem. Wiesz, gdzie jeszcze chciałbym pójść? Najlepiej natychmiast. Na aleję Rothschildów, zobaczyć dom twojego dziadka. Przejął go pewien łotr. Z pewnością codziennie błaga Boga, by nikt z rodziny Sternbergów nie przeżył i żeby nie pojawili się jacyś spadkobiercy.

– Anna powiedziałaaby, że to się w głowie nie mieści, na co ty możesz wpaść.

– A mogę wpaść na jeszcze więcej. Słuchaj! Doktor Friedrich Feuereisen, dawny radca prawny z Biebergasse we Frankfurcie i mianowany notariusz, stwierdza pod przysięgą, że w ciągu czterech tygodni dowie się, kim jest ten brunatny uzurpator. Zaczniemy już dziś. Ty, ja i dobry Bóg ze swoimi słynnymi powolnymi młynami. Jeśli tylko dobrze pamiętam, to mamy przed sobą niezły spacer. Chodzi mi o aleję Rothschildów.

– To nie jest tak daleko. A z zoo całkiem blisko. Najpierw trzeba iść aleją Wittelsbachów, przejść Berger Strasse i potem Höhenstrasse. Już raz tam byliśmy, babcia i ja. Ona się bardzo zdenerwowała. To było zaraz po tym, jak do nas wróciła.

– Wiem o tym. Opowiedziała mi szczegółowo o tej wizycie. Nadal się denerwuje, kiedy wspomina spotkanie z tym duchem przeszłości. Theo, tak się nazywa ten człowiek, prawda?

– Tak, Theo.

– Nasza Betsy ma wprawdzie sprawny umysł, ale w kwestii alei Rothschildów zupełnie traci rezon. Uważa, że nie ma już żadnych praw do domu. W jej głowie



zakorzeniła się mocno myśl, że nazistowska kradzież żydowskiego mienia uległa przedawnieniu i nie może zostać odwrócona nawet przez państwo prawa. Nie martw się, Fanny, jeśli nie rozumiesz ani słowa z tego, co twój ojciec sobie tam mamrocze. Naziści zabrali mi zawód, ale zostawili choroby zawodowe. Jeśli ciągle będę gadać w żargonie prawniczym, może ktoś mnie wreszcie zrozumie.

– Zrozumiałam tyle, że masz jakiś zamiar.

– Popatrz no tylko. Może się okazać, że opłacało się studiować prawo. Gdy byłem w czwartej klasie gimnazjum, przyłapali mnie na ściąganiu. Chciałem wtedy jechać do Afryki polować na dzikie zwierzęta.

– A co na to twoja matka?

– To była cudowna osoba. Żydowskie dziecko nie strzela z broni, powiedziała, i postawiła na stole mój ulubiony budyń. Czekolada z sosem waniliowym, a sos w srebrnym naczynku po babci. Boże drogi, mogę znowu myśleć o mojej matce i o niej mówić bez tego uczucia, że moje ciało płonie, i bez robienia sobie wyrzutów, że ją zostawiłem, bo pojechałem do Holandii. Zawdzięczam to tobie, Fanny, tylko tobie. Rozumiesz, ile to dla mnie znaczy?

– Gdybym tylko umiała!

Szli na aleję Rothschildów jeszcze kwadrans. Fanny była przyzwyczajona do tego, że w mieście, gdzie brakuje tramwajów, przemierza się spore dystanse piechotą, a Fritza pchała chęć działania.

– Nie myślałem, że jeszcze to umiem. Przynosisz mi szczęście, Fanny.

– A ty mnie.

– *Do ut des*<sup>[42]</sup>, mówią łacinnicy.

– Co to znaczy?

– Powiem ci w domu.

– Co to dla ciebie znaczy: w domu?

– Nigdy nie pytaj.

Budynek oznaczony numerem 9 wyglądał na zadbane mimo zniszczeń wojennych. Brakowało trzeciego i czwartego piętra. Podwórko było ogrodzone, prawie we wszystkich oknach wisiały zasłony, ktoś nawet wyczyścił tabliczkę z numerem wiszącą na płocie z kutego żelaza, a ślady zadrapania na skrzynce na listy zamalował tuszem. Ponownie przymocowano starą tabliczkę z napisem „Żebranie oraz prowadzenie handlu obnośnego zakazane”. Dawny klomb różany porastały kartofle, pod cierpliwym

bzem, który przetrwał bomby, rosły rzezucha, szczypiorek, pietruszka i trzy główki sałaty. Łopata, grabie i mały drewniany samochodzik z niebieskimi kółkami leżały pod balkonem parteru.

– Tę pietruszkę szybko wam wybiorę – zagroził Fritz.

Tak mocno chwycił Fanny za łokieć, że aż krzyknęła. Przez krótką chwilę niepewność znana z dni strachu sprawiła, że dziewczyna poczuła dawną nędzę, ale zaśmiała się i powiedziała:

– Dobrze.

Oboje ruszyli w tej samej chwili. Ramię w ramię, ciężko oddychając, stali przed drzwiami domu, bladzi i w napięciu.

– To jest to nazwisko, dobrze je pamiętam – stwierdziła Fanny, przejechawszy palcem po tabliczce, na której napisane było „Berghammer”.

– Szczęśliwy ojciec, któremu Bóg daje mądrą córkę. – Fritz zdjął palec z dzwonka, gdy usłyszał, że zamek w drzwiach się otwiera. Pchnął je ramieniem i powiedział uspokajająco: – Już. Państwo proszą do środka.

– Kto tam? – zawołał przestraszony głos kobiety w stronę klatki schodowej. A kierując się w głąb mieszkania, zameldował: – To jakiś mężczyzna. Mężczyzna z młodą dziewczyną.

– Niech to szlag! Musi ci się kłaniać aż z półpiętra.

– To mój chleb, Dieter. Powiem mamusi, jeśli mi zabierzesz – wrzasnęła dziewczynka z mieszkania na pierwszym piętrze.

– Otwórz tylko japę, ty zarazo, a wybiję ci wszystkie zęby – zagroził Dieter, zdecydowany najwidoczniej na rabunek i okaleczenie ciała.

– Co za miła rodzinka – powiedział Fritz. – Taką zawsze chętnie poznam.

Theo Berghammer o gładko przylizanych włosach miał na sobie brązową kurtkę, która z powodu głodu była na niego o dwa numery za duża, oraz ciemnoniebieski krawat w białe kropki. Sprawiał wrażenie kogoś, kto wie, o co chodzi. Jednym szorstkim słowem, którego ani Fritz, ani Fanny nie zrozumieli, odprawił kłócące się dzieci do kuchni, gestem nakazał odejście również żonie i zaprosił gości do pomieszczenia, gdzie stały dwa krzesła, sofa i stolik kawowy, a na nim popielniczka i pudełko z papierosami. Fritz dostrzegł stiuki na suficie i stwierdził, że razem z Fanny znajdują się teraz w dawnej jadalni Sternbergów. W przerażającym momencie, w którym odezwał się palący ból, zobaczył białe świece w menorze i Johanna Isidora krojącego chałkę długim srebrnym nożem. Dwuletni Salo w białej falbaniastej koszulce

siedział na kolanach Victorii. Ona ubrana była w jedwabną suknię koloru kawy, z głębokim dekoltem i trzyrzędową koliaż z pereł. „Twoja suknia ma za duże wycięcie, Vicky, za dużo tego dobrego”. „Możemy się założyć, że pan doktor Feuereisen jest jedynym mężczyzną w Niemczech, który patrzy na mój dekolt”.

Theo widział Fanny tylko podczas krótkiego spotkania przy drzwiach, ale domyślił się, skąd przychodzi – i szybko wpadł na fałszywy trop.

– Erwin? – spytał, gdy wyciągał do Fritza rękę. Dziwił się, że zupełnie nie rozpoznaje jego twarzy. – Mój Boże – westchnął – zupełnie nie wiem, co powiedzieć.

– Najlepiej niech nic pan nie mówi, panie Berghammer. To się w Niemczech sprawdzało już dawno. Nazywam się Feuereisen. Radca prawny, doktor Friedrich Feuereisen. Przynajmniej tak było do pamiętnego roku 1933. – Już kiedy mówił, przeszłość skumulowała się w górę gniewu. Widział siebie siedzącego w kancelarii i czytającego list, który oznaczał zniszczenie jego kariery zawodowej. – Jestem mężem Victorii – powiedział. Jego głos był aż nadto wyraźny. – Nie wiem, czy pan sobie ją przypomina.

– Oczywiście, że sobie przypominam. Razem dorastaliśmy, pańska małżonka i ja. Ona jeszcze... Mam na myśli, czy udało jej się...

– Ona już nie i nie udało jej się, panie Berghammer.

– Bardzo mi przykro, panie doktorze. Proszę przyjąć najszczerze wyrazy współczucia. Jej brat Otto był moim przyjacielem, najlepszym przyjacielem.

– Otto zginął w 1914 roku! Ale my nie o tym. Bardzo dobrze pana rozumiem. W tym kraju zawsze żałowano tylko martwych Żydów. – Fritz stał się nieprzyjemny, gdy to mówił. Dręczyło go wyobrażenie, że odtąd będzie nadużywał ojczystego języka, by mówić o winie swojej ojczyzny. Czy słowa Boże: „Do mnie należy pomsta”<sup>[43]</sup>, już nie obowiązywały? Kiedy to ofiary zyskały prawo do wymierzania sprawiedliwości?

– Dobrze znałem też Clare – rzucił Theo.

– Szczególnie dobrze, opowiedziała mi to jej matka. Przypuszczam, że w roku 1946 przyznaje się pan także do Claudette. Tyle że ona w czerwcu skończy dwadzieścia osiem lat i nie może już być pod ojcowską władzą. Chociaż żydowska córka w dzisiejszych Niemczech to wielki atut. Przepraszam, ostatnie zdanie trochę mi się samo powiedziało. – Fritz dostrzegł, że Theo blednie, a jego dłonie drżą. – Nie przedłużajmy, panie Berghammer – powiedział. – Nie przyszedłem tu, by mówić o przeszłości. Chodzi mi o przyszłość. Zakładam, że przejął pan ten dom. Jeśli rozumie

pan różnicę, to zauważył pan, że nie mówię o własności.

– Nie – powiedział Theo. – To znaczy tak. Wiem, co mi pan zechce powiedzieć, doktorze. Zostałem skierowany do tego mieszkania przez Urząd Kwaterunkowy. Dom należy do pana Baldura Ehrlicha. Jego ojciec Pius był niegdyś wspólnikiem szanownego pana Sternberga. Być może słyszał pan już to nazwisko.

– Tak. Po 1933 roku nawet bardzo często. Gdyby pan rozmawiał z panem Baldurem, byłoby z pana strony aktem miłości bliźniego przygotowanie go na to, że jeszcze o mnie usłyszy. I to wkrótce.

## POŻEGNANIE I NOWY POCZĄTEK

Styczeń–kwiecień 1947

W styczniu 1947 roku hamburski sąd denazyfikacyjny uznał za politycznie nienaganne zachowanie w czasach nazistowskich niemieckiego idola – boksera Maksa Schmelinga. Mistrz świata w wadze ciężkiej z roku 1930 i 1931 otrzymał od amerykańskich władz wojskowych zgodę na walki w strefie amerykańskiej. Poza tym na początku roku ludność niemiecka w trzech zachodnich strefach po raz pierwszy mogła obejrzeć *Młyny śmierci*, film nakręcony w dawnych obozach koncentracyjnych w Buchenwaldzie, Dachau i Bergen-Belsen. W Zagłębiu Ruhry nowy system punktowy miał zapewnić górnikom wyższe racje żywnościowe. Do comiesięcznych przydziałów specjalnych należało siedemset pięćdziesiąt gramów słoniny, dwie butelki piwa i sto papierosów. Chciano tym zwerbować niezbędną siłę roboczą do tak ważnego dla kraju wydobycia węgla. „Trzeba było zostać górnikiem” – wzdychali głodujący. Mimo to robotnicy strajkowali w prawie każdym większym mieście Nadrenii Północnej-Westfalii. Masowe manifestacje były na porządku dziennym. W brytyjskiej strefie okupacyjnej nawet racje żywnościowe dla robotników sięgały ledwie ponad tysiąc kalorii dziennie. Plakat z wezwaniem „Nie chcemy kalorii, chcemy chleba” odzwierciedlał nastroje w całym kraju. Wszędzie wysiłki reedukacyjne zwycięzców były wyśmiewane. Przeciwny Niemiec uznawał demokrację za źródło wszelkiego zła. W całych Niemczech głośno było o wypowiedzi Winstona Churchilla, od dwóch lat stojącego na czele brytyjskiej opozycji. Powiedział on w izbie niższej parlamentu: „Demokracja to najgorsza forma rządów”.

Nowy frankfurcki burmistrz, pochodzący z Bonn Walter Kolb, którego w momencie powołania praktycznie nikt nie znał, ale który bardzo szybko stał się obiektem powszechnej miłości ze strony obywateli, sfotografował się z łopatą w ręku na tle ruin. Chciał zachęcić mieszkańców do pomocy przy odgruzowywaniu – i porwał ich swoim urokiem. Uczniowie i nauczyciele wspólnie oczyszczali szkoły. Urzędnicy, policjanci,

lekarze i pielęgniarki chwyтали za łopaty. W kombinezonach i strojach roboczych, przerobionych spodniach i kurtkach wojskowych, a nawet w strojach do jazdy konnej z dawnych dobrych lat, w fartuchach rzeźnickich i piekarskich głodni mieszkańcy sprząтали teren dzielnicy Römerberg. Znalaziono pęk wielkich kluczy. To były klucze do bram ratusza. Sądzono, że portier zgubił je podczas ucieczki przed ogniem. Zginął w marcu 1944 roku, tamtej piekielnej nocy, która przyniosła śmierć także całemu Staremu Miastu.

Burmistrz osobiście powiadomił ludność, że wiosną rozpocznie się odbudowa kościoła Świętego Pawła. Tym razem jednak nie było takiej zgody. W kolejkach do sklepów spożywczych, rzeźników i piekarni głodujący i zmarznięci ludzie łapali się za głowy. Na frankfurckiej pustyni, wśród ruin, brakowało szpitali, szkół, domów starców i noclegowni. A przede wszystkim mieszkań. Sieroty wojenne mieszkaly w nieludzkich warunkach, wdowy przesiadywały ze swoimi dziećmi w piwnicach zrujnowanych domów i gotowały na dworze. Powracający z obozów jenieckich, a także ci, których domy spłonęły, oraz frankfurczycy, którzy podczas wojny zostali ewakuowani na wieś i tam traktowani byli jak nieproszeni goście lub natrętni żebracy, a teraz chcieli wreszcie wrócić do domu – wszyscy ci ludzie nie mieli się gdzie podziać.

„Zakwaterowanie w niebie przysługuje bez zezwolenia na pobyt stały” – namazał jakiś cynik na murze zniszczonego sklepu przy ulicy Zeil. Mieszkać we Frankfurcie można było tylko po otrzymaniu zezwolenia. Nawet dzieci, które urodziły się w heskich wsiach, gdy ich matki tam uciekły, musiały dostać odpowiednie zaświadczenie. O ten nędzny papier walczono jeszcze ostrzej niż o kartki na chleb, talony na rzeczy pierwszej potrzeby i ogromnie pożądane zaświadczenia oczyszczające z podejrzeń o współpracę z nazistami, zwane od nazwy proszku do prania *Persilschein*. Do największych osobliwości tamtych czasów należało to, że ani troska o codzienny chleb, ani wyzębione mieszkania nie powstrzymywały kobiet od spoglądania w lustro. Mróz malował na oknach wzory, zupę gotowano z obierek kartofli, w kolejce do sklepu rybnego trzeba było stać godzinami, by dostać ćwierć funta wsadu śledziowego lub dwie głowy, a mimo to jedwabiście miękkie marzenia z przeszłości nie znikaly. Niemieckie kobiety znowu interesowały się modą. Dzieliły stare sukienki i szyły z nich plisowane spódnice oraz bluzki z falbanką, a dla córek przerabiały białe zasłony i własne suknie ślubne na sukienki do tańca. Kapelusze po babci oddawano do modystek, a one wyczarowywały z nich prawdziwe cuda nasuwające na myśl czasy pokoju, z woalką, piórami i kolorowymi szpilami. Klientki płaciły za to w naturze. Kto mógł zapłacić parą nylonowych pończoch, nie musiał przynosić nici, igieł ani czterech

brykietów, których zwykle wymagano.

Monachijski projektant mody Heinz Schulze-Reichenbeck zaprojektował praktyczny płaszcz z kapturem, który łatwo można było uszyć według wzoru. Anna uszyła pierwsze z takich okryć dla Betsy.

– Ostatni płaszcz – wspominała – kupiłam sobie jeszcze u Wronkera. Był w kolorze piaskowym, z ciemnobrązowym kołnierzem z jedwabiu i z wielkimi perłowymi guzikami. Erwin poszedł ze mną, żeby mi doradzić przy zakupie, bo nie bardzo orientowałam się w najnowszej modzie. Powiedział wtedy, że wyglądam jak aktorka Lilian Harvey. Tyle że jestem trzy razy większa, szersza w biodrach i nie mam tak jasnych włosów, w dodatku jestem o wiele sympatyczniejsza. Uśmieśliśmy się do łez. Sprzedawczyni była bardzo obrażona. W domu włożyłam ten płaszcz i paradowałam przed Johannem Isidorem w tę i w tę jak jakiś koń cyrkowy. A kiedy wreszcie odłożył gazetę i na mnie spojrzał, powiedział: „Wyglądasz jakoś inaczej. Słabo ci? Dlaczego biegasz ciągle po pokoju?”. Wtedy to ja się obraziłam.

– Dobrze to pamiętam. Vicky odgrywała tę scenkę setki razy, gdy nie patrzyłaś, a Clara i ja za każdym razem padałyśmy na podłogę ze śmiechu.

– Pamiętasz jeszcze, że przerobiłaś ten płaszcz, żeby pasował na Alice, gdy tylko dowiedzieliśmy się, że w Afryce Południowej też mają zimę? Ach, Anno, nawet jeśli Bóg odbierze nam już wszystko, zostawi nam pamięć. To się nazywa zaostrenie kary, jak nam to niedawno wyjaśnił Fritz.

Krawcowa i właścicielka płaszcza objęły się przed zimnym piecem.

– Ciągle tylko płaczenie – skrzywiła się Sophie. – Myślę, że to głupie, gdy dorośli płaczą.

– Nie głupie, Sophie, tylko smutne.

– Czy to nie to samo?

Buty na drewnianym koturnie uważano za eleganckie, a kratkowane szale z Ameryki, które można było nosić także jako peleryny, stanowiły marzenie młodych i starych. Paczki z dziesięcioma metrami materiału oraz włóczką we wszystkich kolorach traktowano jak wygraną na loterii. Kronika filmowa była tak samo istotna jak sam film, bo pokazywała modę *New Look* francuskiego projektanta Christiana Diora. Jego z rozmachem uszyte, szerokie spódnice sięgały kobietom aż do kostek. W Niemczech materiał można było kupić tylko na czarnym rynku, więc kobiety przedłużały swoje spódnice i sukienki obszyciem z materiału uzyskanego z innych ubrań, wyciągniętych ze

strychu. Nawet Sophie miała strój w dwóch kolorach. Jej ciemnoniebieska odświętna sukienka została wydłużona żółtym obrusikiem ze stolika kawowego. Materiału wystarczyło jeszcze na wstążkę do włosów. Fanny dostała chustkę na głowę i szal. Na urodziny, które przypadały w marcu, Anna chciała jej sprezentować własnoręcznie uszytą spódnicę z pledu w szkocką kratkę, który dawniej leżał na sofie u Clary. Czerwono-zielona kreacja została obszyta filcem używanym w czasie wojny do zaciemnienia okna. Ta kraciasta spódnica tak uskrzydliła Betsy, że na szesnaste urodziny Fanny dostała od niej prezent idealnie dopasowany tematycznie. Za trzecim razem, po dwóch daremnych wizytach w centrali wymiany na Zeil, wreszcie udało się Betsy zdobyć dwie książki szkockiego pisarza Waltera Scotta. Za jego słynne klasyczne dzieła, *Ivanhoe* i *Rob Roy*, oddała skórzane rękawiczki, które otrzymała w dniu wyzwolenia Theresienstadt.

– Znowu płaczesz – stwierdziła Sophie, gdy zobaczyła, jak Betsy czyta *Ivanhoe*.

W męskiej toalecie w drukarni Hans znalazł pierwszy numer tygodnika „Der Spiegel”. Ostrożnie zapakował swoją zdobycz do teczki, jakby to było surowe jajko. Nowe pismo ukazało się w nakładzie piętnastu tysięcy egzemplarzy, miało dwadzieścia dwie strony i wyróżniało się potocznym językiem i wielką liczbą zdjęć. Hans czytał nawet przy kolacji. Nie zauważył, że podano mu udawaną pieczeń z kaszy jęczmiennej i kartofle. Wśród tematów omówiono wybory w Hesji, dyskusję o prawie do aborcji, sytuację na czarnym rynku oraz położenie niemieckich jeńców wojennych. U Dietzów czytanie skończyło się jednak drastycznie. Mały Erwin wykorzystał nieobecność matki, Betsy i Fanny oraz to, że jego wymęczony pracą ojciec właśnie odpoczywał, by wyciąć wszystkie obrazki z gazety i wkleić je do swojej książki. Użył do tego kleju sporządzonego samodzielnie przez Annę.

– Kiedyś nieposłuszne dzieci karano brakiem budyniu i wczesnym pójściem do łóżka – złościła się jego matka. – Ale ostatni budyń w tym domu jedzono rok temu, a odesłanie Erwina do pokoju dziecięcego byłoby morderstwem. Jest tam tak zimno, że nawet muchy zamarzają.

By wynagrodzić mężowi stratę „Spiegla”, wymieniła z sąsiadką pięćdziesiąt tabletek sacharyny na magazyn „Heute”. Na stronie tytułowej zamieszczono w tym numerze zdjęcie czterech marznących berlińskich kobiet pracujących przy odgruzowywaniu, ubranych w płaszcze, szale i chustki i rozgrzewających ręce nad ogniem, który wydobywał się z kupy kamieni na chodniku. Sophie ciągle wracała do tego zdjęcia. Malowała ogień na czerwono, a kobiety obrysowywała niebieskim atramentem. Potem podjęła decyzję, której długo nie zapomniała.



W aptece, gdzie zaglądała tylko po to, by rozgrzać sobie ręce przy wielkim piecu, skradziono jej rękawiczki. Zamiast przekląć złodzieja, który wykorzystał chwilową nieuwagę pięciolatki, Anna obsypała zarzutami jego ofiarę. Dwa dni później o dziewiątej rano Sophie zabrała się do dzieła. Z sąsiednich ruin przyciągnęła największe kawałki gruzu, jakie tylko mogła ruszyć, i wraz z przyjaciółką Leną zbudowały sobie ognisko jak w Berlinie. Sophie wypełniła swoje dzieło gazetami i drewnem, które jej matka schowała w piwnicy na czarną godzinę. Sprytna podpalaczka wykorzystała do wzniesienia ognia całą benzynę, którą dzień wcześniej ojciec wymienił za trzy papierosy Lucky Strike i trzy kamienie do zapalniczek.

Płomień buchnął natychmiast. Lena krzyknęła: „Ruscy idą!”, zatkała uszy rękami i schowała się, cicho jęcząc, za małym kasztanowcem. Podczas ucieczki zgubiła czapkę. W sąsiednim domu żona listonosza, cały czas zajęta matka trojga dzieci, która właśnie wywiesiła pościel do wietrzenia, złapała się przerażona za głowę, zabrała kołdry i poduchy do mieszkania i z hukiem zamknęła okno. Jakiś mężczyzna o lasce, bardzo doświadczony w patrzeniu w drugą stronę, pospieszył ku Königswarterstrasse, stawiając wielkie kroki, niepasujące zupełnie do jego nikłej postury.

To, że w takich okolicznościach nie doszło do tragedii, zawdzięczano dzielnemu osiemnastoletniemu uczniowi księgarza. Jego szef wysłał go tego poranka do Domu Ameryki, aby przepisał artykuł Ericha Kästnera<sup>[44]</sup> z „Neue Zeitung”. Dzięki szkoleniu w obronie przeciwlotniczej, które bystry chłopak przeszedł w ostatnim roku wojny, udało mu się zerwać już tłący się płaszcz z przerażonej Sophie. Dziewczynkę rzucił na ziemię, przeturlał tam i z powrotem jak dywan i sprawdził uważnie, dzięki wbitemu do głowy nawykowi, czy nie odniosła ran. Sophie wrzeszczała przeraźliwie. Gdy straciła głos, leżała nadal na ulicy, kwiląc z bólu i marznąc. Jej wybawca, nauczony opanowania zarówno przez swojego nauczyciela gimnastyki, odznaczonego w pierwszej wojnie światowej Żelaznym Krzyżem, jak i w czasach Hitlerjugend, pomógł jej wstać, ale z powodów pedagogicznych nie zapomniał jej też wytargać za uszy.

– To cię nauczy – krzyczał anioł stróż, kipiąc z gniewu – że z ogniem nie ma zabawy, ty niewydarzona gówniario.

Płaszczyk Sophie miał wyraźne ślady po ogniu na lewym rękawie i na kołnierzu. Był też lekko zabrudzony, ale poza tym nadawał się do użycia.

– Miałaś farta – stwierdził osiemnastolatek. Był człowiekiem czynu. Miał siostrę w wieku Sophie, do której był mocno przywiązany, oraz matkę, którą również kochał i która od października nadaremnie starała się o talon na płaszcz dla dziecka. – Nie

jestem świętym Marcinem<sup>[45]</sup> – tłumaczył odczytany chłopak szlochającej Sophie. Zatrzymał sobie jej płaszcz jako dar wdzięczności. A także czerwoną czapkę, która ciągle leżała na ulicy i za którą dziadek Leny oddał niedawno cały swój bożonarodzeniowy przydział papierosów.

Konfiskata własności była dla Sophie wielkim szokiem. Więcej troski przysporzyło jej jednak to, że jej przyjaciółka w mgnieniu oka uciekła z miejsca wypadku i nie wyszła z ukrycia przez cały dzień. Po raz pierwszy Sophie zetknęła się ze złamaną obietnicą i zostawieniem przyjaciół w biedzie. Na Boże Narodzenie dziewczynki przysięgły sobie wierność na całe życie i wzajemną pomoc w każdej sytuacji. Lena mogła jeść zielone cukierki, które wuj Fritz zawsze nosił w kieszeni. Poza tym dzieliły się także wspaniałymi pączkami z dziurką i masłem orzechowym, które Washi wyczarowywał z jeepa za każdym razem, gdy odbierał Fritza po wizycie na Thüringer Strasse.

– Lena nie jest już moją przyjaciółką – zawyrokowała Sophie w dniu wypadku. – Jest zwykłą świnią, wściekłą świnią.

– Jest człowiekiem. – Jej ojciec postawił sprawę jasno. – A do ludzi trzeba mieć cierpliwość. Tak jak ja mam cierpliwość do swojej córki Sophie. Wprowadza chaos w nasze życie, ale i tak ją kochamy. Najlepiej będzie, jeśli do czerwca nie będzie wychodzić z domu. Czy panienka zamierza rozpaść ogień na Świętego Jana przy Głównej Strażnicy? A może wygrzebie jeszcze z ruin opery jakiś niewybuch?

– Niewybuch – zdecydowała Sophie, która usłyszała to słowo po raz pierwszy.

– Przynajmniej troszczy się o to, żebym zawsze miała co robić – powiedziała Anna. – Maszyna do szycia nie przestaje pracować.

– Gdybyś nie była taka zręczna – stwierdziła zadziwiona Betsy – żadna maszyna do szycia nie przyniosłaby nam pożytku. Już jako młoda dziewczyna, i jako jedyna z moich córek, wpadłaś na pomysł, żeby używać rąk do pracy, a nie tylko jako wieszaków na ładne rzeczy. Ciągle jest mi przykro, że kiedyś wypowiedziałam to zdanie głośno, nasza kochana Josepha była zupełnie przerażona.

– A ja się bałam, że inni będą zazdrośni. Zwłaszcza Vicky. Przecież byliśmy w jednym wieku.

– Jeśli chodzi o zazdrość, żadna z moich córek nie ustępowała drugiej. Wszystkie trzy miały do niej naturalny talent.

Długi, ciemnoniebieski, przefarbowany płaszcz wojskowy Hansa został przerobiony

na krótką kurtkę męską. Z odciętej części Anna uszyła Sophie płaszcz z kapturem. Dziewczynka była tak szczęśliwa, że Anna wykorzystwała swój jedyny zachowany z czasów przedwojennych sweter, by wydziergać jej nowe rękawiczki i pasujący do nich szalik.

– Ten jasnoniebieski sweterek – opowiadała, gdy pruła wełnę – zrobiła na drutach jeszcze gospodyni Hansa z Offenbach. Nosiłam go tylko w wyjątkowe dni. Gdy Hans wrócił z Polski, na przykład. A te piękne guziki pochodzą jeszcze z pasmanterii.

– Guziki możesz sobie zatrzymać – pocieszyła ją praktyczna córka. – Czapka nie potrzebuje guzików. Ani szalik.

– Czas, żebyś poszła do szkoły – powiedział jej ojciec. – Ktoś wreszcie musi cię poskromić.

– Szkoły są zamknięte – przypomniła mu Fanny. – Z powodu zimna. Nie ma węgla, żeby je ogrzać. Ostatnio siedzieliśmy w płaszczach i rękawiczkach, okrywając się kocami i omawialiśmy klimat na Saharze. Bardzo mi przykro, panno Glaubrecht, nie mogę podejść do tablicy i pokazać pani przebiegu równika, moje stopy właśnie zamarzły. Ciągle jeszcze jestem zła, że to nie ja wpadłam na tak piękne zdanie, tylko Lore Hannewald, która zawsze wszystko wie i w każdej chwili może iść odpowiadać do tablicy, nie obawiając się blamażu.

Przeraźliwe zimno panowało w całej Europie Środkowej. Meteorolodzy odnotowali najmroźniejszą zimę od 1893 roku. Burze śnieżne sparaliżowały Anglię i szalały we Francji, w austriackich dolinach alpejskich zanotowano temperaturę minus trzydzieści stopni Celsjusza. W Niemczech zamarzły rzeki, co spowodowało blokadę transportów węgla. Nie tylko szkoły, lecz także większość urzędów musiała zostać zamknięta. Otwierano je, jeśli w ogóle, tylko na parę godzin. Ludzie głodowali jeszcze bardziej niż pierwszej zimy po wojnie, zamarzali na ulicach i w swoich zimnych, ciemnych mieszkaniach. Do szpitali przyjmowano pacjentów z odmrożeniami i wzdęciami z głodu – leżeli tam na korytarzach i byli zbyt słabi, by wyciągnąć rękę ku życiu.

Zbierano ubrania, buty, sprzęt domowy i pościel dla sierot, inwalidów wojennych, tych, którzy wracali do domu, oraz uchodźców. Dary kradziono jednak już w miejscach zbiórek i sprzedawano na czarnym rynku. Niektórzy lekarze i dentyści odbierali swoje należności w naturze. Aptekarze wydawali leki jedynie w zamian za węgiel i papierosy. Rzeźnicy, którzy zabijali konie, wymieniali ich łajno na bieliznę stołową i srebrną zastawę. Coraz więcej ludzi tęskniło za przeszłością i otwarcie mówiło, że „za Adolfa czegoś takiego nie było”.

Drut kolczasty na płotach, którymi odgrodzono specjalne tereny zamieszkiwane przez

wojska amerykańskie i ich rodziny, podniesiono wyżej niż w czasach tuż po wojnie. Kradzież węgla i prądu była na porządku dziennym. Dostojnicy kościelni osobiście angażowali się w tę rozpaczliwą sytuację. Otto Dibelius, ewangelicki biskup Berlina-Brandenburgii, poprosił radę kontrolną aliantów o opał dla cierpiącej ludności. Kardynał Joseph Frings w swoim noworocznym orędziu następująco odniósł się do kiepskiej sytuacji zaopatrzeniowej oraz plądrowania pociągów z węglem: „Żyjemy w czasach, w których jednostka w potrzebie może wziąć sobie to, co niezbędne jej do zachowania własnego życia i zdrowia, jeśli w inny sposób, dzięki pracy czy prośbie, nie może tego otrzymać”. Rzadko kiedy tak żarliwie cytowano słowa jakiegokolwiek biskupa. Od jego nazwiska ukuto nawet określenie na radzenie sobie z nędzą przez rabunek i kradzież – „fringsowanie”.

– Wczoraj – powiedziała Adelheid von Hochfeld i skinęła w stronę swojego bulgoczącego pieca kaflowego – trochę pofringsowałam. Z synem aptekarza. Młodzi znacznie łatwiej wskakują na pociągi i ciężarówki. Młody do młodego, stary do starego, każdy trzyma się druha swego – to było ulubione powiedzenie mojej babci. Znowu się to sprawdza. A jeśli chodzi o aptekarza Straubingera, to cała jego rodzina winna mi jest podziękowania.

– A kto nie jest, pani von Hochfeld?

– Hermann Straubinger, przyjaciel mojego męża z młodości, nie tylko był przecież członkiem partii z pierwszego rzutu. Przy każdej okazji chełpił się własną miłością do ojczyzny i wiernością Führerowi. Jeszcze gdy Norymberga płonęła, skarżył się klientom, jakie to dla niego straszne, że z powodu wrodzonej wady serca nie mógł dać się zastrzelić w obronie ojczyzny. Oczywiście ten wielki bonzo Straubinger po wojnie stracił wszystkie nadzieje. O mały włos nie poszedłby za swoim Führerem i nie popełnił samobójstwa, ale nie znalazł żadnego sznura.

– Odkąd to wygłasza pani moralitety, pani von Hochfeld?

– To nie są żadne moralitety, panie doktorze. To historia upadku naszego kraju. Pani Straubinger w swoim małżeństwie nie mogła nawet ust otworzyć, ale gdy jej mąż nie widział, pomagała ludziom w potrzebie. Dlatego że mi współczuła, zapoznałam ją ze swoim fryzjerem. W czasach nazistów nie umiał trzymać języka za zębami i nazwał Goebbelsa ulubioną pokraką diabła. Dostał za to trzy lata więzienia i od tamtej pory ma na pieńku z niemieckim wymiarem sprawiedliwości. Ale dzięki moim radom i kontaktom aptekarz Straubinger dostał zaświadczenie, w którym można było przeczytać, że w czasie wojny pod groźbą utraty zdrowia i życia zapewniał osobie prześladowanej z powodów politycznych i rasowych niezbędne lekarstwa. Mój fryzjer

ciągle teraz potrzebuje lekarstw. Jego syn cierpi na płuca, matka jest schorowana, a on sam nabawił się w więzieniu chronicznych bólów żołądka. Widzi pan, dzisiaj wszyscy Niemcy są braćmi. Wszystko dzięki potrzebie i fringsowaniu.

– To ja już wolę być jedynakiem – powiedział Fritz. – W każdym razie do momentu, kiedy można będzie sobie wybrać tych braci. Poza tym jestem zdania, że niemiecki prawnik nie może być ani złodziejem, ani paserem. Jeśli dobrze pamiętam, nawet drobna kradzież mogłaby zagrozić mojej karierze.

– Zrozumiałam, co ma pan na myśli, ale do końca życia będzie mnie gryzło, że w ogóle pan pamięta, że w Niemczech są jeszcze sądy. Nie, natychmiast to odwołuję. Z wielkim żalem. Mówiąc poważnie, panie doktorze, z całego serca cieszę się razem z panem, że wizyty u rodziny wykorzystał pan, by znowu stać się osobą, którą pan był i którą zasługuje pan być.

– Nadzwyczajnie dobrze to pani wyraziła, szanowna pani, ale też nad wyraz taktownie. Czy przeczytała pani może pismo, które przekazała mi pani dziś rano z zupełną obojętnością?

– Oczywiście, że nie – odparła pani von Hochfeld. – Nie jestem kobietą, która otwiera cudzą pocztę nad czajnikiem. „Ciekawość to pierwszy stopień do piekła” – mawiała nasza kucharka i trzaskała pokrywkami, gdy my, dzieci, chcieliśmy podpatrzeć, co jest na obiad. Ale mam szósty zmysł. Ciągle można go dostać bez talonu. I aby usłyszeć bicie pańskiego serca, nie trzeba studiować medycyny.

– Ach, tak?

– Aby wyobrazić sobie, co zawiera list, którego nadawcą jest frankfurcki Wyższy Sąd Krajowy, potrzebna jest jedynie najwyżej przeciętna inteligencja i szczypta daru obserwacji, którą przypisuje się kobietom. A pan zrobił się błąd jak trup, monsieur, i zaczął pan mrugać. Proszę mi to pokazać. Nie, niech pan lepiej przeczyta. Widzę, że pan tego chce. I ma pan rację. „Tylko tchórz pozwala, aby mu czytano” – mawiał zawsze mój małżonek.

– Pozwoli pani, że ją ostrzegę. Laikowi zarówno język prawniczy, jak i czyny i pisma prawników wydadzą się chińszczyzną.

– Mimo to proszę przeczytać. Moi ulubieni kuzyni byli prawnikami. Obaj zaginęli w Rosji. Zanim wcielono ich do armii, w każdy piątek się spotykaliśmy i wytaczaliśmy światu proces. Tak więc jestem przyzwyczajona do chińszczyzny.

Trudno było Fritzowi nie okazywać poruszenia. Gdy rozkładał list, który w ciągu

ostatnich dwóch godzin wielokrotnie przeczytał, tak że każde słowo zostało wypalone w jego sercu, zauważył, że drżą mu ręce. Czytał jednak głosem równie mocnym i opanowanym jak w czasach, gdy był notariuszem na frankfurckiej Biebergasse i odczytywał to, co zaprotokołowano.

Niniejszym ustanawia się Pana od chwili obecnej do odwołania, na ogólnych warunkach zatrudnienia urzędników, sędzią pomocniczym i jednocześnie wyznacza do pracy w Sądzie Krajowym we Frankfurcie nad Menem. W okresie zatrudnienia przysługują Panu status urzędnika mianowanego i tytuł sędziego kontraktowego. Uprasza się o jak najszybsze objęcie urzędu i zameldowanie się u Prezesa Sądu Krajowego we Frankfurcie nad Menem w celu zaprzysiężenia. Sygnatariusz tego pisma jest z polecenia Prezesa Wyższego Sądu Krajowego upoważniony do przekazania Panu, że poczyniono już stosowne kroki w celu wystarania się o trzypokojowe mieszkanie dla Pana i Pańskiej córki.

Oboje szukali słów, które nakierują ich na właściwy kurs, ale ich nie znaleźli. Już dążyli do różnych portów, oddzielonych od siebie całymi kontynentami. Fritz podniósł zasłonę. Przyłożył czoło do zimnej szyby, wziął głęboki wdech i poczuł upojenie, które odbiera wzrok zwycięzcom. W tej chwili zadziwienia i radości liczyła się dla niego tylko przyszłość. Przeszłość rozbiła się w drobny mak niczym kieliszek rzucany na żydowskich weselach. Fritz zobaczył siebie jako pana młodego we fraku i czarnych lakierkach, stojącego pod baldachimem. Rozdeptał rozbite szkło i wierzył w szczęście bez granic. Vicky w białej sukni była piękna jak Helena trojańska. Jego matka, która przez całe życie szydziła z płaczących matek oblubieńców i nazywała je sentymentalnymi żydowskimi *mamele*, otarła oczy. Tym razem oszczędzono mu bólu tych, którzy patrzą wstecz. Doktor Friedrich Feuereisen, sędzia kontraktowy we Frankfurcie nad Menem, człowiek, któremu sam prezes frankfurckiego Wyższego Sądu Krajowego chciał zapewnić mieszkanie, spojrzął w obiecane niebo i uśmiechnął się do terażniejszości.

Nie przeszkadzało mu, że to właśnie Adelheid von Hochfeld była pierwszą osobą, która dowiedziała się o zmianach w jego życiu. Nie godziło w jego poczucie przyzwoitości i rzetelności to, że o swojej przyszłości rozmawiał właśnie z nią. Fritz już nie brał samego siebie w krzyżowy ogień pytań, nie przypisywał sobie żadnych grzechów i nie odprawiał pokuty. W ramionach Adelheid wyćwiczył się w odsuwaniu gorzkich wniosków, jakie przynosiło życie.

– A teraz egzamin końcowy – wymamrotał pod nosem. Nie zauważył, że powiedział to głośno. Nie zauważył, że odkładał *ad acta* fotografie, które nie potrzebowały długiego czasu, by żółknąć.

Pani von Hochfeld tak mocno zacisnęła ręce, że zbieleły jej knykcie.

– Co znaczy – spytała – w tym konkretnym przypadku „do odwołania”? Brzmi tak tymczasowo.

Ślad nadziei w jej głosie był słyszalny tylko dla niego. Zachował się jak Odyseusz i pozwolił się przywiązać do masztu. Dla tego, który znał drogę, którą miał podążać, wszystkie rozstania stawały się nowymi początkami. Nie uważał także za przypadek tego, że przed czterema tygodniami znalazł w „Neue Zeitung” wiersz Hermanna Hessego *Stopnie* – i będąc wiernym swojej młodości – nauczył się go na pamięć.

Serce na życia zew niechaj ochotnie  
Żegna się z życiem, by je wszcząć od nowa,  
By się odważnie, bez żalów zbytecznych  
Wdać w nowe sprawy i snuć inną nić.<sup>[46]</sup>

Fritz Feuereisen był gotów. Nie wracał do domu, tylko do miasta swojego urodzenia. Miał rozpocząć nowy rozdział życia. Nie będzie już uciekinierem, żadnym amsterdamskim mośkiem, któremu odcięto korzenie i który ze spuszczoną głową i w mowie, na której łamie sobie język, bo nie jest to jego ojczysta mowa, prosi o pracę i dach nad głową.

Już nigdy Fritz nie dopuści do tego, by pożegnanie z jakąkolwiek kobietą go zabolalo, by jego złudzenia powstrzymały go przed zrobieniem tego, co trzeba. Nauczył się uciekać od melancholii, zanim zamieni się ona w smutek i zwątpienie. Wiedział także, jako mężczyzna, który mógł kochać tylko swoją córkę, jak się chronić przez miłością. Pobłaźliwie patrzył na ludzi pełnych nadziei, że życie będzie miało wzgląd na tych, którzy kochają.

– Nie rozeznaję się już w finezji urzędowego języka niemieckiego – powiedział i mógł uśmiechnąć się jak ktoś, kto za ból uważa tylko cierpienie ciała. – Ale z dużym prawdopodobieństwem mogę założyć, że „do odwołania” jest zwyczajowym zwrotem używanym podczas powoływania sędziów. Szybko odpowiedzieli na moje podanie.

– Niezwykle szybko. Nie sądziłam, że to możliwe.

– Ja też nie, ale już we wrześniu poszedłem do Wyższego Sądu Krajowego. Niemiecki wymiar sprawiedliwości poszukuje pilnie, jak mi otwarcie powiedziano, politycznie nieobciążonych sędziów. Ze zrozumiałych względów nie ma ich zbyt wielu do dyspozycji. Moje zatrudnienie zostanie odwołane tylko w wypadku, gdy ukradnę srebrną łyżeczkę lub przyjdzie nowy Hitler, by udowodnić światu, że historia się

powtarza.

– Bardzo chciałabym wiedzieć, skąd u ciebie takie poczucie humoru.

– Czerpię je codziennie od nowa z szubienicy tutejszych katów. Tylko dlatego, że kaci w Norymberdze nie musieli działać w ukryciu, zostałem tłumaczem w procesie zbrodniarzy wojennych. Musi pani sobie uświadomić, że humor szubieniczny dla Żyda, który chce przeżyć własne życie, jest ważniejszy niż mleko matki. O naszym humorze mówi się z dużym szacunkiem, większym niż o naszych zmarłych. Nawet najwięksi antysemita z rozkoszą opowiadają żydowskie kawały. Powiedzmy lepiej: kawały o Żydach. Rozumiałem to i tego nienawidziłem już jako mały chłopiec.

– Na litość boską, nie chciałam pana dręczyć.

– Ależ nie dręczy mnie pani. Ani trochę. Po prostu wróciło do mnie to wszystko, co od lat z trudem od siebie odpychałem. Nasza wrażliwość to także dziedzictwo nazizmu. I ta bezlitosna pamięć, która w każdej chwili może na nas spaść jak orzeł na swoją ofiarę. Nawet gdy wachamy różę lub toczymy kolorową dziecięcą piłkę, lub tłumaczymy młodej dziewczynie, że jesteśmy mężczyznami. Także wtedy wspomnienia nas atakują. Szanowna pani, niechże pani nie słucha, niech pani zamknie swoje serce. Lepiej niech mi pani potowarzyszy na pocztę. Człowiek chętnie dzieli się swym szczęściem. Poza tym nadal gubię się w tych politycznie obciążonych ruinach Norymbergi.

– Co mężczyzna z pańskimi widokami na przyszłość chce robić na pocztę?

– Nadać telegram do córki. Mam nadzieję, że nigdy nie odkryje, że nie była pierwsza, która dowiedziała się o naszym nowym życiu. Fanny nie wie jeszcze, że moja umowa tutaj, w Norymberdze, traci ważność piętnastego marca. Nie miałem odwagi jej tego powiedzieć. Wiem, że bardzo się boi, że mógłbym znowu wyjechać do Holandii. Żadne z nas nie odważyło się o tym mówić.

– Przynajmniej wiem, od kiedy będę miała nowego lokatora. Nie wolałby pan raczej zadzwonić do Fanny?

– Wolałbym, ale nie mogę. Hans Dietz nadal nie ma telefonu. Dwa tygodnie temu odrzucono jego czwarte podanie. Obecne władze nie mają względu nawet na jego starą żydowską teściową z żydowską wnuczką. Mimo że kto tylko może, zapewnia go, że politycznie i rasowo prześladowani są uprzywilejowani we wszystkich urzędach. Mam nadzieję, że obietnica ze strony wymiaru sprawiedliwości, że wystara mi się o mieszkanie, nie jest tylko gadaniem i częścią wielkiego planu uspokajania niemieckich sumień. Byłoby ciężko mieszkać u Anny. Mieszkanie już teraz ledwo mieści wszystkich lokatorów.



Gdy wyłączono prąd, wypili butelkę czerwonego wina z Doliny Loary przy świetle prawie niezżytej świecy komunijnej, na którą pani von Hochfeld wymieniła dwa jedwabne krawaty swojego męża. Wino, rocznik 1938, pochodziło z ciągle jeszcze dobrze zaopatrzonej piwniczki aptekarza Straubingera. Jego bratanek, podoficer, który początkowo chciał studiować teologię, został w czasie wojny wysłany do Paryża, skąd zaopatrywał całą rodzinę w koniak, dobre wina, sery i materiały. Jego matka i obie siostry nosiły futra z żydowskiej dzielnicy. Na siedemdziesiąte urodziny dziadka podarował mu obraz Madonny z jakiegoś wiejskiego kościołka. Namalowana Madonna oczarowała nawet tę część rodziny, która już w 1933 roku wystąpiła z Kościoła.

– Zuch chłopak, ten Sepp Straubinger – wspomniała pani von Hochfeld, gładząc butelkę. – Że też musiał zginąć, a tak wielu innych, którzy na to nie zasłużyli, przetrwało.

– Od kiedy to żąda pani od Boga prawa do głosu?

Wino źle zniosło upływ czasu. Było gęste niczym olej i pływał w nim korek. Jednak Fritz, który nigdy nie był znawcą wina, a po czerwonym dostawał zgagi już jako młody chłopak, pochwalił jego bukiet i dwukrotnie westchnął z rozkoszą. Przy drugim „ach” jego myśli odbiegły zbyt daleko. Myślał o obrzezaniu swojego syna i przypomniał sobie, że mohel zmoczył wacik w czerwonym winie, by uspokoić krzyczące dziecko. Pani von Hochfeld zauważyła, że doktor Feuereisen ma mokre oczy, ale niewłaściwie zrozumiała tego powód. Podniosła swój kieliszek i uśmiechnęła się do niego z młodzieńczą nieśmiałością.

O północy stanęła w czarnym jedwabnym szlafrocuku przy jego łóżku – jak tamtej nocy, kiedy zaczęła się historia, która nie powinna była się zacząć. Jej haftowany szlafrok znowu rozchylił się na kształtnej piersi, jej dłonie znowu pachniały mydłem różanym ze sklepu PX. Teraz jednak przedstawienie potoczyło się inaczej niż w dniu premiery. Podczas powtórki Fritz myślał głównie o tym, że jako niemiecki urzędnik we Frankfurcie nie będzie już mógł kupować w sklepie PX. Nie było też orkiestry grającej uverture do *Czarodziejskiego fletu*. Fritz nie pożądał już królowej nocy tak mocno jak poprzednio. Gdy Adelheid zdała sobie sprawę, że jej życzenia, marzenia i rzeczywistość już się ze sobą nie zgadzały, również straciła fason. Pokręciła głową i udała, że usłyszała trzask okna.

– To tylko wiatr. – Fritz podszedł do niej.

– Wiatr, wiatr, niebiański brat – próbowała zazartować. On jednak wymazał z pamięci niemieckie bajki, więc nie można było podtrzymać rozmowy w tym tonie.

Zdmuchnęła świecę i obiecała sobie, że zanim znowu uda się kupić świece w sklepie, będzie oszczędzać tę komunijną na rodzinne okazje.

Ostatnie dni w Norymberdze Fritz mógł wykorzystać lepiej, gdyż nie obciążały go ani smutek pożegnania, ani niepokój zerwania. Z Washim, tym sprytnym mistrzem improwizacji, poszedł po raz ostatni do rajy zwycięzców, by kupić kawę, masło, paczkowaną wieprzowinę, cukier i mąkę, mydło, proszek do prania, materiały, nici i wełnę. Załadował bluzki i sukienki dla Fanny, Betsy i Anny, dwie koszule i sweter dla Hansa, buty, zabawki dla dzieci i trzy wielkie jaja wielkanocne ze szczerzącym zębem króliczkiem, które były tak brzydkie, że aż się zawstydził. „Gustu trzeba się nauczyć” – usłyszał głos Vicky. A potem, zatroskany, usłyszał samego siebie: „Nie tylko gustu, moja droga. Można się także nauczyć, że nie jest się pępkiem świata”. Dla siebie kupił tyle papieru listowego i kopert, że kasjerka nabrała podejrzeń i zawołała przełożonego. Do tego spinacze biurowe, dziurkacz, klej, nożyczki do papieru. Washi otrzymał pierwsze w swoim życiu wieczne pióro i notatnik oprawiony w czerwoną skórę. A także zaproszenie do Frankfurtu.

– Zawsze gdy przyjedziesz, ucieszymy się z wizyty przyjaciela – powiedział Fritz.

– Przyjaciel prawdziwego sędziego! – zaśmiał się Washi. – W domu nikt mi w to nie uwierzy.

Wpisał nazwisko i adres Frizziego do notesiku i obiecał, że zawiezie go, z bagażem i licznymi prezentami, do Frankfurtu.

– Na wszelki wypadek kupiłem paczki i masło orzechowe dla twoich dzieci – wyjawiał. – A swojej nowej Veronice dwie pary nylonowych pończoch, lakier do paznokci i lokówkę, żeby wyglądała jak prawdziwa panienska.

– A co się stało ze starą Veronicą?

– Znalazła sobie oficera.

Pani von Hochfeld nie dostała zaproszenia do Frankfurtu, ale Fritz czuł potrzebę ulżenia jej bólowi w sposób odpowiedni do czasów. Kupił jej kawę ziarnistą, masło, karton chesterfieldów, by mogła spełniać swoje inne życzenia, oraz buteleczkę chanel nr 5, co wywołało u niej łyzy wzruszenia. W pożegnalnej paczce znalazły się też mydło różane, które wzięła do ręki z rozanieloną miną, oraz krwistoczerwona szminka. Myśl, że szanowna wdowa po generale von Hochfeldzie, która gdy żył jej mąż, wiernie przestrzegała nazistowskiej zasady głoszącej, że niemiecka kobieta się nie maluje, teraz wyjdzie na ulicę z ustami umalowanymi na czerwono, bardzo ją poruszyła.

– Szkoda – powiedziała na pożegnanie.

Fritz siedział już w jeepie. Nie widział, że zrobiła się bardzo blada ani że jeszcze na ulicy musiała otrzeć łzy. A wszystko to, bo Washi zapytał akurat o dwie wielkie paczki macy, które Fritz kupił w sklepie px. Musiał użyć wszystkich angielskich słów, by wyjaśnić przyjacielowi, dlaczego Żydzi podczas ucieczki z Egiptu nie mieli czasu wypieć porządnego chleba.

– Drożdże nie wyrosły. Co roku to wspominamy. Zawsze w święto Pesach. Wy nazywacie to Paschą. Wypada zawsze razem z Wielkanocą.

Gdy w Würzburgu przekraczali Men po tymczasowym moście, Washi wrócił do tematu.

– W szkółce niedzielnej uczyliśmy się, że anioł śmierci zawsze oszczędza Żydów – przypomniał sobie.

– Tylko raz tak było, przyjacielu. Podczas wyzwolenia z niewoli egipskiej. To było dość dawno temu. W innych przypadkach anioł śmierci chętnie nas zabiera.

We wtorek 1 kwietnia doktor Friedrich Feuereisen, lat czterdzieści siedem, wcześniej posiwiący, wcześniej pogrążony w troskach, choć nieprzestraszony i niezłamany, wrócił po dziesięciu latach emigracji do Frankfurtu nad Menem. Było to miasto jego urodzenia, miasto, którego nigdy nie mógł zapomnieć i o którym jeszcze w momencie przejścia władzy przez Hitlera miejscowi Żydzi sądzili, że nie zapomni zasług ich przodków i nie pozwoli, by stała im się krzywda.

– Kiedy wyjeżdżasz? – spytała Sophie, gdy wyciągnęła z jego kieszeni pierwszego zielonego cukierka.

– Nie wyjadę już, moja mała.

– To dobrze. Chciałam, żeby tak było.

W latach śmiertelnego strachu, a także gdy dowiedział się o śmierci Victorii, Sala i matki w obozie koncentracyjnym, Fritz chciał zwątpić w Boga. Nie udało mu się to jednak. Głęboki szacunek dla tego, czego nauczył się w domu rodzinnym, tradycja i pamięć o zmarłych nigdy go nie opuściły. Pierwszego piątku we Frankfurcie poszedł do synagogi.

– Betsy powiedziała mi, że znajduje się ona na Baumweg – poinformował Fanny. – Przed Hitlerem mieściło się tam żydowskie przedszkole. Zawsze chciałem, żebyście tam chodzili, ale nigdy do tego nie doszło. Teraz sam tam idę. U nas zwykło się dziękować Bogu za uczynione dobro. Chcę mu podziękować za posadę i za to, że

wreszcie mogę mieszkać ze swoją córką.

– Idę z tobą – zdecydowała Fanny. – Też podziękuję mu za twoją posadę i za to, że jesteście razem. A może Bóg nie lubi ludzi, którzy naśladują to, co mówią mądrzy, i w dodatku chwala się w jego domu swoją nową bluzką?

– Ciebie na pewno lubi. Mnie zresztą też. Udowodnił to, chociaż jak dla mnie to trochę długo trwało.

Zaraz po błogosławieństwie nad winem ten, którego Fritz nie chciał opuścić, przekazał mu wiadomość o nadchodzącym nowym początku. W synagodze Fritz stał obok mężczyzny w swoim wieku, który go bardzo serdecznie pozdrowił i zaraz zaczął opowiadać swoją historię. Przeżył Auschwitz, jego żona i troje dzieci zginęli w Bergen-Belsen. O swoim losie – także o śmierci obu braci i matki – opowiadał spokojnym, rzeczowym tonem, który głęboko poruszył Fritza. Podczas gdy rozmawiali, sąsiad co chwila patrzył w stronę kobiet siedzących po drugiej stronie sali.

– Moja żona – powiedział – nie może już wystać z innymi. Jest w szóstym miesiącu i jest jej ciężko. – Odczekał chwilę, gdyż wiedział, o czym pomyślał Fritz, i rozumiał, że potrzebuje on czasu, by nie okazać tego, co myśli. – Mówię o swojej drugiej żonie – ciągnął. – Siedzi obok tej młodej dziewczyny w bluzce w paski. Też była w obozie. Ravensburg. Pobraliśmy się w czerwcu 1945 roku w obozie przejściowym w Zeilshheim. Tam nas przenieśli. W marcu 1946 roku urodził się mój syn.

– Że też się pan na to odważył! Ja nie mogłem.

– Wszeczmocny się odważył. Nie chciałem się wtrącać.

Piętnasty kwietnia wypadł we wtorek. Pogoda była jak w lecie. Tego właśnie dnia zaprzysiężono doktora Friedricha Feuereisena. Frankfurckiemu wymiarowi sprawiedliwości nie udało się jednak zapewnić powracającemu z emigracji sędziemu obiecane trypokojowe mieszkanie. Urzędnikowi, który musiał mu tę wiadomość przekazać, było bardzo przykro.

– Kto nie smaruje, ten nie jedzie. Jeszcze się pan przekona, doktorze. Niemcy to już nie ten kraj co kiedyś – powiedział z troską znaczącym szeptem, tak typowym dla tych czasów.

Ufny oficjalista wybrał się z nim do Urzędu do spraw Ksiąg Wieczystych, gdzie Fritz chciał sprawdzić, czy dom przy alei Rothschildów 9 faktycznie należy do Baldura Ehrlicha. Nowo zaprzysiężonemu sędziemu, o którym już od kilku dni mówiono po korytarzach, że jest Żydem, towarzysz zaproponował filiżankę kawy zbożowej ze

swojego termosu. Fritz zrewanżował się papierosem z norymberskiego sklepu px.

- To dla mnie szczęśliwy dzień, doktorze – powiedział urzędnik.
- Dla mnie również – odparł Fritz.

**TO NIE MOŻE BYĆ PRAWDA**

Marzec–czerwiec 1948

W środę 24 marca niebo było bezchmurne, a powietrze łagodne jak w lecie.

– Pogoda na Wielkanoc zupełnie jak przed wojną – wymądrzał się Hans po swojej drugiej filiżance kawy zbożowej i połówce papierosa, którą zaoszczędził z poprzedniego dnia. – Możecie schować płaszcze. Oraz przestać się bać, że ktoś nam ukradnie węgiel z piwnicy. Wierzcie staremu człowiekowi. Noga, której nie mam, i blizny na ramieniu nigdy nie kłamią. Nie to co te gaduły w radiu. Ostatnio jeden z nich powiedział „zaciemnienie” zamiast „zachmurzenie” i jeszcze następnego dnia sam z siebie śmiał się do rozpuku. A teraz straszy ludzi przymrozkami, ochłodzeniem i przemarzniętymi kwiatami wiśni.

Hans dokładnie rozplanował swój dzień. Chciał złożyć piąte podanie o przydział telefonu – tym razem wskazując na okoliczność, że w jego gospodarstwie domowym zamieszkiwał radca sądu krajowego, któremu telefon się po prostu należał. Po południu był zaś umówiony z kolegą Feldmeierem z zecerni. Nie cierpiał go. W jego oczach Feldmeier był oportunistą i fałszywym łajdakiem, czasy nakazywały jednak nawet tak prostolinijnym ludziom jak Hans dbać o przychylność tych podłych i schlebiać oportunistom. Dzięki pożywnym darom dla odpowiednich ludzi udało się Feldmeierowi uzyskać zaświadczenie o tym, że nie jest obciążony politycznie, mimo że do partii zapisał się już na samym początku ruchu i jako volkssturmführer, czyli dowódca oddziału obrony terytorialnej, do końca wykazywał zapał wojenny.

Hans oczywiście cenił w Feldmeierze jego wielki ogródek działkowy w parku Huth. Nie hodowano w nim już róż, lecz warzywa. Dzięki swoim kartoflom, kapuście i cebuli Feldmeier odnosił takie sukcesy jak z prostowaniem własnej biografii. Właściciel ziemi, któremu wielu zazdrościło i który z tego powodu miał też wielu nowych przyjaciół, obiecał Hansowi, że w zamian za funt mąki, zdobyty z wielkim trudem, a potrzebny pani Feldmeier do wielkanocnych wypieków, dostanie sześć jaj i wielki

pęk ziół do zielonego sosu.

– Z dodatkową porcją pietruszki – przyrzekł Feldmeier. – Pietruszka jest tysiąc razy lepsza niż szczaw. Już moja babcia to wiedziała.

– Jego babcia chyba pochodzi z Konga – złościła się Anna. – Co też ludzie dzisiaj sobie myślą. Kiedy doda się za dużo pietruszki, sos jest za gorzki. Przynajmniej tak było kiedyś, gdy mieliśmy jeszcze pietruszkę.

– Ostatni zielony sos jadłam w alei Rothschildów – rozmarzyła się Betsy. – Naszej ostatniej wiosny w tamtym domu. Nie praliśmy już zasłon i nie wykładaliśmy półek świeżym papierem. Clara, Erwin i Claudette już wyjechali, ale jeszcze mieliśmy nasz stek od rzeźnika i zielony sos. Zawsze go jedliśmy w Wielki Czwartek. I tylko wtedy. Jeśli chodzi o stek, to Josepha się nie targowała. Boże drogi, znowu te przekłete wspomnienia.

– Trzymajcie kciuki, żeby Feldmeier, ten obrzydliwiec ze słabą pamięcią, dzisiaj pamiętał, co mówił wczoraj. Inaczej będziemy mieli taki Wielki Czwartek jak w zeszłym roku i w poprzednich czterech latach. Zielony sos z mniszka i pokrzyw. Z erzacem jaj w proszku. Nie patrz na mnie jak zbity pies, Anno. Wszyscy tu obecni mogą zaświadczyć, że nie ty zaczęłaś tę wojnę.

– Ani ja – ucieszyła się Sophie.

Termometr z napisem *Property of the US Army* o ósmej rano pokazywał już sześćdziesiąt stopni Fahrenheita. Woźny sądowy Baumann sprezentował go Fritzowi, ale ani Fritz, ani Hans nie umieli przeliczyć skali. Baumann świetnie się dogadywał z nowo zatrudnionym sędzią, bo mógł z nim rozmawiać o Holandii, co chętnie robił. Na początku wojny został przeniesiony z jednostką do Rotterdamu. Bardzo dobrze wykorzystał ten czas – szczególnie zapadły mu w pamięć dobre sery z Alkmaar i handlarka mięsem o obfitych kształtach.

– Proszę mi wierzyć, panie radco – opowiadał, gdy miał wolną chwilę – na niemieckich żołnierzy wcale tam nie patrzono tak źle, jak się dzisiaj uważa. Naprawdę.

Nie tylko wróble i sikorki, ale także dzieci i optymiści byli w dobrych humorach. Po raz pierwszy w tym roku chłopcy mogli założyć krótkie spodnie. Kopali na ulicach pogniecione puszki, kierując je do bramek wyznaczonych przez położone kurtki. Gdy ich puszki już się nie nadawały do gry albo gdy zostali przegonieni przez zrzędlive stare kobiety, które bały się o swoje ściany i okna, bawili się w ruinach w policjantów i złodziei. Okładali się gałęziami, na których pojawiły się już pierwsze listki.

Dziewczynki wyprowadzały na spacer lalki, które miały jeszcze sporo garderoby z dobrych czasów. Do tego eleganckie dodatki dorobione z resztek wełny. Do wielkanocnych wazonów swoich matek grzeczne córeczki zbierały piękne żółte kwiaty, które szczególnie dobrze rosły w runiach. Sophie opowiedziała swojej koleżance Lenie, dlaczego nie będzie już dostawać zielonych cukierków od hojnego wujka Fritza.

– Teraz jest sędzią – wyjaśniła mądra dziewczynka. – Może tylko pisać i patrzeć przez okno. I spuszczać lanie złym ludziom.

– Ty to masz zawsze szczęście – westchnęła Lena. – Zawsze.

– No, bo nie jestem uchodźcą.

Następnego dnia gazety ogłosiły, że odbudowa znanego w całym mieście hotelu Frankfurcki Dwór posuwa się do przodu, a popularny aktor Hans Söhnker zapowiedział swój przyjazd na premierę najnowszego dzieła, *Filmu bez tytułu*. Donoszono też, że coraz częściej używa się słowa „trizonia” na określenie gospodarczej wspólnoty stref amerykańskiej, brytyjskiej i francuskiej. Chociaż Sophie miała problemy z wypowiedzeniem tego nowego słowa, już od lutego śpiewała szlagier *Mieszkamy w Trizonii*. Grano go w radiu równie często jak *Rybaka z Capri* i *Jesteś różą z jeziora Wörther*.

Gdy pobliski dzwon kościelny wybił jedenastą, Sophie znalazła na ulicy biały lalczyny but. Postanowiła, że odda go właścicielce – dobrze wiedziała, kto nią jest, i po całej ulicy opowiadała o tej dziewczynce, że jest tchórzliwą pieśniczka mamusi – ale tylko w zamian za czerwoną kłamrę do włosów, na którą miała wielką ochotę już od Bożego Narodzenia. Dokładnie godzinę później Anna przyniosła zawiadomienie pocztowe, które na początku, jak wszystkie urzędowe pisma, sprawiło, że wpadła w panikę.

Pismo było skierowane do pani Betsy Sternberg. Informowano ją, że w Urzędzie Celnym w katedrze czeka na nią paczka z zagranicy. Musi się tam osobiście stawić i paczkę „odebrać po okazaniu dowodu tożsamości”, inaczej „po upływie dziesięciu dni zostanie ona niezwłocznie odesłana do nadawcy”.

Urząd Celny był otwarty tylko rano. Odbiorczyni, która do tej pory nie dostała żadnej paczki z zagranicy i nie wiedziała nawet, że we Frankfurcie jest taki urząd, nie mogła więc od razu ruszyć w drogę. Opanował ją niepokój i pewien dyskomfort, który odczuwała jako ból fizyczny. Czuliła się, jakby miała decydować w sprawach życia i śmierci.

– Oddałabym obie kostki mydła, które Fritz mi przywiózł ze sklepu PX, i cały zapas



aspiryny – powiedziała Betsy przy obiedzie (jedli akurat zastygła na kamień papkę z kaszy kukurydzianej i cebuli) – gdybym już dziś mogła pójść do tego przekłętego Urzędu Celnego. Nie wiem, jak ja wytrzymam do rana tę swoją niecierpliwość.

– Czy niecierpliwość boli? – spytała Sophie. W górze żółtego grysiku wykopała tunel i była gotowa przeprowadzić przez swoje dzieło brązowy sos za pomocą przypieczonej obierki kartofla.

– Gorsze niż niecierpliwość jest to, że człowiek nie uważa i nagle cofa się w przeszłość – wyjaśniła jej Betsy. – Gdy mu się to przydarza, całkiem mocno go boli.

Widziała Victorię w różowej sukience i z białą wstążką we włosach, siedzącą przy świątecznie nakrytym stole w hotelu Pod Wiśnią w Baden-Baden. Sześćoletnia dziewczynka przelewała sos holenderski przez kopiec marchewek ułożonych warstwami. Vicky, nie rób tak! Siadaj na miejsce! Jedzeniem się nie bawimy. Jeśli nie umiesz się odpowiednio zachować, pójdziesz do pokoju bez kolacji. Siądź wreszcie prosto. Dlaczego kiedyś wychowywano dzieci przy obcych stołach i musztrowano jak rekrutów? Dlaczego to było tak ważne, żeby siedziały sztywno i łykały posiłek w milczeniu?

– Prawie nic nie jesz – stwierdziła Sophie.

– Ty też nie, panno przemądrzała – powiedziała jej matka. – Tylko się bawisz. Jedzeniem się nie bawimy. I siądź prosto. Jak będziesz miała garb, to nie znajdziesz męża.

– Nie chcę żadnego męża. Wyjdę za Washiego. Pojedziemy razem do Ameryki i będę mogła jeść przez cały dzień pączki.

– Wcześniej zaczynasz.

– Z czym?

To była dla Betsy długa noc. Gdy zasnęła, biegnąc bosą, zderzała się z przepełnionymi pociągami albo wspinała na tratwę na krwawoczerwonym morzu i błagała prezydenta Roosevelta, by nie wyrzucił z łodzi ratunkowej psa Claudette. Gdy się obudziła, zaczęła się zastanawiać, jak miał na imię ten pies i co się z nim stało. Z każdą godziną było jej coraz trudniej odrzucić nadzieję, że paczka przyszła od Erwina i Clary albo z Afryki Południowej. Nie minęły jeszcze cztery tygodnie, odkąd list adresowany do Alice, do Durbanu, wrócił z adnotacją *Unknown* – podobnie jak listy, które wcześniej Betsy wysłała do Pretorii i Johannesburga.

Ostatecznie krótkie godziny otwarcia Urzędu Celnego okazały się jednak szczęśliwym zrzędzeniem losu. Fritz miał w Wielki Czwartek akurat wolne

i powiedział, że będzie jej towarzyszył.

– Na wypadek gdyby ta paczka była tak duża, że nie dasz rady jej sama przynieść.

– Nadal wierzysz w Świętego Mikołaja? Czy może sądzisz, że jestem tak słaba, że nie wolno mnie samej wypuścić z domu?

– Na litość boską, nawet we śnie bym tak nie pomyślał. Tak między nami: od kilku dni chcę ci powiedzieć coś ważnego, ale tylko tobie. W tym ulu nie możemy być sami. Poczekamy jednak z tą sprawą, aż odbierzemy paczkę. „Najpierw gwizdek, potem pieśń” – mawiała moja matka.

– A ja nauczyłam się od ojca, że kto się ociąga, ten wypada z gry, zanim się ona zacznie.

Mimo wiosennego ciepła i słońca w Urzędzie Celnym było zimno i ciemno. Niepomalowane ściany wyglądały na wilgotne. Tłum ludzi czekających na swoje paczki sprawiał, że wielkie pomieszczenie wydawało się mniejsze niż w rzeczywistości. W powietrzu unosiła się woń wilgotnych płaszczy i niewietrzonych butów. Na jednej z przeciwległych ścian wisiała tablica z napisem: „Palenie surowo wzbronione”, na drugiej instrukcja dla oczekujących: „Najpierw odebrać numerek z okienka II, potem czekać na wezwanie. Inwalidzi wojenni z grupą I i kobiety od 8. miesiąca ciąży meldują się przy okienku specjalnym”.

– Najważniejsze, żeby nie użyć słowa „proszę” – mruknął Fritz.

Naprzeciwko okienek, w których wydawano paczki, stały cztery wysłużone krzesła. Wszystkie były zajęte. Na jednym z nich siedziała młoda kobieta z włosami ufarbowanymi na platynowy blond, w których tkwiła krzykliwa srebrna spinka. Guma do żucia, którą na sposób amerykańskich żołnierzy co jakiś czas wyjmowała z ust, eleganckie nylonowe pończochy, krwistoczerwona szminka, długie paznokcie pomalowane na fioletowo i nieco za ciasny jasnozielony sweter obciskający jej wielkie piersi – wszystko to wskazywało, że była jedną z tych zdecydowanych panien, które Niemki powyżej trzydziestki, niemające już szans na awans ekonomiczny, oraz starsi moralisci nazywali „kochaneczkami Amerykańców”. Fritz zdecydowanym tonem – już w trakcie gdy mówił, wydał mu się on zupełnie pozbawiony zwykłej grzeczności – powiedział kobiecie, że powinna natychmiast ustąpić miejsca jego matce. Mocno podkreślił rozkazujące „natychmiast” i wskazał na tabliczkę z napisem: „Pomóż starszym, chorym, inwalidom wojennym i dzieciom”. Wstrząsnęła nim świadomość, że jest zdolny do takiej samej ograniczoności i nietolerancji, jaką gardził u innych. Kobieta również się przeraziła, przestała żuć gumę i rozejrzała się jak ktoś, kto szuka

wsparcia myślących podobnie. Potem wstała z ponurą miną.

– Dziękuję za „matkę” – szepnęła Betsy i usiadła.

– To te kłamstwa w potrzebie, które Bóg aprobuje. W tym kraju teściowe nie są specjalnie dobrze postrzegane – odparł Fritz. – Kiedyś w ogrodzie botanicznym widziałem ogromnego kaktusa. Wyglądał jak taboret, miał złośliwie wyglądające kolce i nazwano go fotelem teściowej. Bardzo mnie to uderzyło. Poczekaj tu chwilkę. Twój zięć znowu ma pewien pomysł.

– Mój syn – zaśmiała się Betsy.

Wobec człowieka z okienka specjalnego zachował się tak samo stanowczo i posługiwał się tym samym pańskim tonem, który zaskoczył Betsy już wtedy, kiedy zięć spędził młodą kobietę z krzesła. Przed urzędnikiem stały manierka i składany blaszany kubek. Przygotowywał się on właśnie do wytłoczenia w szerokim brązowym pasku kolejnych dziurek za pomocą biurowych nożyc. Ku zaskoczeniu Betsy Fritz przedstawił się mężczyźnie jako „doktor Feuereisen, radca sądu krajowego do specjalnych poruczeń”. Nieznoszącym sprzeciwu tonem przełożonego wyjaśnił mu, że jego matka „fizycznie nie jest w stanie znieść zwykłego w tym urzędzie czekania, gdyż odbija się ono na jej zdrowiu. Od czasu pobytu w obozie koncentracyjnym cierpi na niezwykle ciężkie napady lęku o długotrwałych skutkach, jeśli musi dłużej przebywać w obcych zamkniętych pomieszczeniach”. Wstydził się, gdy to mówił, również tego, że nadmiernie podkreślił słowo „obóz koncentracyjny”, ponieważ sam gardził ludźmi, którzy starali się zbić kapitał na swoim losie. Spojrzał zatroskany w stronę Betsy i miał nadzieję, że go nie słyszała. Wiedział, że myślała tak jak on. Nigdy nie rozmawiała z obcymi o Theresienstadt. Gdy kobiety w kolejkach do piekarni czy rzeźnika opowiadały o swoich wojennych cierpieniach, nocach pod bombami, poległych lub zaginionych mężach oraz o drogach ucieczki ze wschodu, ona milczała. Nie wykorzystywała swojej pozycji osoby prześladowanej, dzięki której mogła mieć przywileje w urzędach i kolejkach.

Urzędnik odłożył nożyce i pasek. Rozejrzał się, jak wcześniej ta kobieta, którą Fritz wyrzucił z wygodnego miejsca, przygryzł dolną wargę, zrobił ruch w stronę otwartych drzwi i zawołał jakiegoś pana Kammera, który jednak się nie pojawił. Wreszcie pogładził się obiema rękami po włosach i wstał. Zwykłym dla tego czasu solennym tonem osoby świadomej swej winy przestraszony urzędnik zapewnił Fritza:

– Oczywiście, panie radco. Osobiście zajmę się tą sprawą. Osobiście. – Wcisnął nożyce pod imponującą stertę akt i wielkimi krokami, lecz ze spuszczoną głową, odszedł do pokoju pana Kammera, który nie zareagował na jego wezwanie. Po ledwie

trzech minutach powrócił do okienka – tym razem z podniesioną głową, uśmiechnięty, zadowolony i z paczką zawiniętą w jasnozielony papier pakowy. Była tak wielka, że musiał trzymać ją w obu rękach. – Rzeczy niemożliwe załatwia się natychmiast, panie radco – powiedział. Jego uśmiech zmienił się w nieznaczny uśmieszek zwycięzcy. – Cuda trwają nieco dłużej. Ale u Karla Kohlmanna wciąż nie tak długo. Ma on dryg do robienia rzeczy niemożliwych.

– Mamo – zawołał Fritz. Jego głos zabrzmiał ostro, niczym głos dziewczynki wybijający się wśród chichotu koleżanek. Pot oblał mu czoło, zrobiło mu się niedobrze, ręce szukały podpory i jej nie znajdowały, ale odzyskał mowę. Ponownie zawołał Betsy – tym razem tak głośno, że ściany urzędu zatrzęśły się, jakby zaraz miały upaść niczym mury Jerycha. Pochylił się, zamknął oczy i czekał na dźwięk trąb, ale gdy usłyszał pierwsze tony, uświadomił sobie, że to było tylko silne bicie jego serca.

Znaczkami na paczce jarzyły się jak pochodnie w środku nocy – Fritz jeszcze nie widział aż tak kolorowych, chociaż jako chłopiec zbierał znaczki z Afryki. Tańczyły na zielonym papierze, robiły salta i wyskakiwały w jego stronę niczym nadzy Buszmeni w stronę wroga w książkach przygodowych z jego dzieciństwa. „Afryka Południowa” – chciał zawołać w stronę Betsy, ale nie mógł wypowiedzieć tych słów. Utkwiły mu w gardle jak kotlet najeżony igłami. Kolana się pod nim ugięły, do oczu napłynęły łzy.

– Mamo – krzyknął i złapał się za gardło.

Zobaczył, że starsza kobieta wstaje. On też mógł się już znowu poruszać, widzieć, słyszeć, czuć, myśleć, dziękować i się cieszyć. Rozluźniony podszedł do tej, która mu pozostała. Wziął Betsy pod ramię, poczuł jej oddech na swojej twarzy i przez krótką chwilę, której miał nigdy nie zapomnieć, myślał, że to naprawdę jego matka.

Stali obok siebie i patrzyli na paczkę z lśniącymi znaczkami i licznymi stemplami. Próbowali coś powiedzieć, ale mogli tylko szeptać, gdyż oboje nie wierzyli w to, co widzieli. Mężczyzna w okienku, który mówił o cudach, jakby od ludzi zależało to, że się wydarzają, chrząknął znacząco. Fritz podał Betsy swoją chusteczkę, przełknął sól własnych łez i powiedział tonem kogoś, kto nauczył się pocieszać innych:

– Już wszystko dobrze. Alice nas znalazła.

– Mój Boże, to pismo – zdziwiła się Betsy. – Ani trochę się nie zmieniło. Nadal pochylone na lewo. Johann Isidor zawsze się z tego powodu złościł. „Moja najmłodsza córka zezuje przy pisaniu” – naigrawał się, a potem Erwin go uspokajał i mówił: „To nie szkodzi, ojczy. U dziewczyny, która wygląda tak jak Alice, pismo nie ma znaczenia.

Nie jest nawet ważne, czy w ogóle umie pisać”.

– Proszę potwierdzić odbiór przesyłki, panie radco – powiedział urzędnik. – Nie musi pan otwierać paczki przy mnie. Sprawdzamy tylko wybiórczo. Właściwych ludzi. – Mrugnął do Betsy. – A do tych, których trzeba sprawdzić, mam dobre oko. Karl Kohlmann był znany ze swojego szóstego zmysłu już w Barras<sup>[47]</sup>.

– Boże drogi, jak mogłam być taka głupia – szepnęła Betsy w drzwiach urzędu. – Taki ze mnie ptasi mózdzek, jakby to powiedziała Fanny. Jak matka może zapomnieć nazwiska własnej córki? Nie, nie ma na to usprawiedliwienia, mój drogi, żadnego wyjaśnienia. Inni też byli w Theresienstadt i nie zapomnieli, jakie nazwiska noszą ich dzieci. Wszystkie listy wysyłałam do Alice Zucker do Pretorii. To był jej ostatni adres, jaki miałam. Po prostu nie wiedziałam, że jej mąż nazywa się Zuckerman. Leon Zuckerman.

– Znałaś go w ogóle?

– Widziałam go tylko jeden raz. W synagodze. Z babinca. Myślę, że wtedy nie wiedziałam jeszcze, że będzie moim zięciem. Wyjechał sam, Alice pojechała za nim i tam się pobrali. Wtedy jeszcze nie rozumieliśmy, że to był dla niej ratunek. Niezameżne kobiety już nie otrzymywały wiz. Potem często odwiedzałam matkę Leona. Jeszcze tydzień przed jej deportacją byłam u niej. Jej mąż już nie żył. Miała czwórkę dzieci, ale mówiła tylko o Leonie i była pewna, że znowu go zobaczy. Kiedy ją słyszałam, serce mi się krajało.

Ruszyli do domu i widzieli, że stokrotki na trawnikach, jeszcze dzień wcześniej drobniutkie jak w marcu, teraz wyciągały się w stronę nieba i uśmiechały do chmur. Kosy, o których ludzie mówili, że noszą czarne wdowie sukienki i śpiewają o dawnym cierpieniu, wyglądały na syte i zadowolone, jakby wierzyły w wielkie szczęście. Betsy i Fritz trzymali się blisko siebie, jak zakochani odkrywający chwilę, w której wypełnia się wieczność. Tylko w ich oczach widać było, że paczka z Afryki wymaga dwóch męskich rąk i mnóstwa siły.

– Alice w moich wspomnieniach – powiedział Fritz – nigdy nie urosła, chociaż gdy ją po raz pierwszy spotkałem w alei Rothschildów, miała już szesnaście lat. Była przepiękna. Jeszcze dzisiaj ją widzę. Trzymała w ręku konewkę, miała na sobie zieloną sukienkę, która idealnie pasowała do jej oczu. Miałem okropnie grzeszne myśli i bardzo się tego wstydziałem.

– Była typowym późnym dzieckiem – wspominała Betsy. – Rozpuszczonym przez wszystkich i już w wieku trzech lat pewnym swojej urody. Prawdziwa mała bestyjka. Ale zawsze chętnie dawała innym coś od siebie. Nie mogła znieść, gdy któraś z jej

sióstr albo Claudette były smutne. Skąd miała adres Anny i jak się dowiedziała, że żyje?

– Od dobrego Boga.

– Naprawdę tak może być.

– Jeśli dzisiaj nie udowodnił nam, że osobiście nas zna, to kiedy ma to zrobić?

Droga była uciążliwa, paczka z Kapsztadu ciężka jak z kamienia, a niespokojna noc, napięcie w Urzędzie Celnym i jeszcze odczuwana radość odbierały siły. Gdy tylko natykali się na jakąś ławkę, która nadawała się do siedzenia, robili przerwę. W górnej części Zeil Fritz odkrył zwęgloną deskę, którą jakiś przyjazny człowiek położył na dużym, wysokim kamieniu przywleczonym z ruin.

– Zdziwiał mnie, że w ogóle jestem w stanie usiąść na tak wymyślnej ławce – ucieszyła się Betsy. – Większość kobiet w moim wieku nie może się ani schylić, ani podciągnąć w górę, no i ma spuchnięte stopy.

– Ja się tobie w ogóle nie dziwię – odparł Fritz.

– Każdego dnia zdumiewa mnie, że jeszcze żyję. A gdy mam trudny dzień, potrząsam głową i pytam dobrego Boga: „Czy tak musiało być?”.

– Musiało. Zapytaj Fanny, zapytaj jej ojca. Anna ciągle od nowa opowiada mi, ile znaczy dla niej i dla Hansa to, że do nich wróciłaś.

Rozglądali się za tramwajem, ale przejechał tylko raz. Za to taksówki jeździły szybko, głośno na nich trąbiąc. Chociaż Fritz wiedział, że to na nic, próbował jakąś zatrzymać. Pokazywał na Betsy i starał się sam wyglądać jak człowiek idący ostatkiem sił. Żaden samochód jednak nie przystanął. Te taksówki jeździły tylko dla Amerykanów, którzy płacili kierowcom głównie benzyną, papierosami, kawą i nylonowymi pończochami.

– A my, biedni Niemcy, którzy zawsze robiliśmy tylko to, co nam kazano, niszczyliśmy buty i dostajemy pęcherzy – wyrzekał Fritz. – Gdyby tylko Führer o tym wiedział.

– Nie pozwól, żeby dzieci to usłyszały. Są za małe na tego typu żarty. Wypapłają każdą bzdurę. Na ulicy czy w sklepie.

– Nie Fanny. Z nią można rozmawiać jak z człowiekiem. Ma poczucie humoru i zmysł ironii. I szare komórki. Na pewno nie po mnie.

– Nie miałam na myśli Fanny. Z nią zawsze można pogadać. Już w wieku dziesięciu lat była dorosła. Inaczej by tego wszystkiego nie przetrwała. Anna mówi, że przez cały ten czas nie zadała ani jednego pytania i od razu wiedziała, o co chodzi. Przypomniałam

sobie, że chciałeś mi o czymś powiedzieć. Może teraz? Tak dobrze nam się tu siedzi. Jesteśmy bezpieczni jak na łonie Abrahama. I nie będziemy bardziej sam na sam w tym naszym gołębniku.

– Mimo to uważam, że powinniśmy raczej jak najszybciej wrócić do domu i otworzyć paczkę. Na pewno Alice dołączyła list i mogę sobie wyobrazić, co się dzieje w twoim sercu. Jedyne, co dotąd o niej wiemy, to że umie robić węzły jak marynarz i nadal jest żoną tego samego mężczyzny. Leona Zuckermana. Przez jedno „n”. To, co stary Fritz ma ci do powiedzenia, musi poczekać. Przynajmniej do jutra, jeśli liczyć dokładnie. Nie przeciągajmy struny, Betsy. Dobrze wiesz, że za dużo szczęścia przynosi nieszczęście.

– Kto to powiedział?

– Mój nauczyciel w czwartej klasie. Doktor Braubach, zwany Brzuchaczem, u którego zauważyłem ukrytą skłonność do antysemityzmu. Miałem najlepsze oceny w klasie i zapytałem go, dlaczego z zachowania postawił mi tylko „poprawne”.

Gdy przyszedli do domu, otworzyli cud-paczkę z Afryki Południowej. Alice wysłała im puszkowaną marmoladę z pomarańczy, kawę i herbatę w kilogramowych paczkach oraz puszki sardynek zawinięte w złoty papier. Do tego ser w porcelanowym naczyniu, oliwę w blaszanej kance, świeże cytryny, które przy rozpakowaniu pachniały tak mocno, jakby nadal wisały na drzewie pod afrykańskim słońcem, suszone banany w paskach i trzy paczuszki suszonej wołowiny z napisem „Biltong”.

– Wygląda tak – powiedział zadziwiony Fritz – jakby dzieci Izraela zabrały ją w wędrówkę ku ziemi obiecanej. Może z tego powodu narzekali na brak egipskich garnków pełnych mięsa.

Każda sztuka była troskliwie i z miłością w coś owinięta. Kawa w zielony ręcznik kuchenny z obrazkiem lwa, a trzy puszki ananasa w tęczowe chustki na głowę. Paczuszki z budyniem znajdowały się w jasnoniebieskich kopertach, a pierniki w grubych słojach obwiązanych bransoletkami z drobnych szklanych perełek. Do każdej z ogromnych paczek kakao doczepiona była niewielka lalka zrobiona na drutach, z długimi czarnymi kolczykami w uszach, a do tytoniu została dołączona bibułka.

– Jeśli dostanę tylko jedną bransoletkę, już nigdy nie będę niegrzeczna – obiecała Sophie. – Nigdy, nigdy, do końca życia. Będę codziennie przynosić węgiel z piwnicy i rąbać drewno.

– I nigdy już nie będziesz bić brata – podsunął jej ojciec.

Fanny szarpnęła za kolczyk jednej z laleczek w pasiastej spódniczce na szelkach.

– A jeśli ja dostanę jedną bransoletkę, nauczę się na pamięć wszystkich czasowników nieregularnych, jakie tylko są w języku francuskim – obiecała, jakby też była dzieckiem.

– A ja bym chciał tę żółtą pachnącą piłkę – powiedział cicho Erwin. Przytrzymał cytrynę przed nosem i przybrał najbardziej proszącą minę w życiu. – Nie będę nią rzucał, tylko wachał. I miał.

– Nie była w stanie nawet posprzątać swojego pokoju. – Betsy pociągnęła nosem – ani przyszyć guzika. Jej zeszyty wołały o pomstę do nieba, a jeśli się nad czymś zastanawiała, to najwyżej nad fryzurą albo nad tym, czy będzie mogła pójść do szkoły w białej sukience. A teraz zawija czekoladę w pończochy, robi na drutach laleczki i doskonale sobie wyobraża, czego nam brakuje. Patrzcie, czerwony pieprz i proszek musztardowy.

– I cynamon – ucieszyła się Anna. Podniosła wysoko czerwoną puszkę z żółtym napisem.

– Nie. Jeśli dobrze rozumiem, tutaj jest proszek do pieczenia. Zupełnie zapomniałam, że w ogóle coś takiego istnieje.

Do paczki z biltongiem przytwierdzono olbrzymią niezaklejoną kopertę. Betsy wyjęła kolorowe zdjęcie. Potem patrzyła już tylko na swoją córkę. Alice ciągle nosiła białe sukienki. Z szerokim paskiem i rozkloszowanym dołem, który sięgał jej do kostek, w modnym obecnie stylu New Look Diora z Paryża. Wyglądała na dumną i zadowoloną. We włosach sięgających ramion miała szeroką czerwoną opaskę. Na ramieniu zaś trzymała czarno-białego szczeniaka spaniela z wyciągniętym językiem. Między nią a Leonem stało czworo dzieci – trzech chłopców i około dwuletnia, bardzo ładna ciemnowłosa dziewczynka, która uśmiechając się, pokazywała wszystkie zęby i wyglądała jak Alice, gdy była w jej wieku. Leon miał na sobie spodnie khaki, koszulę z podkasanymi rękawami, a na głowie myckę, jaką pobożni Żydzi noszą zarówno w domu, jak i w miejscach publicznych. Wyglądał niesamowicie młodo i czuć było jego radosną chęć działania. Sprawiał wrażenie brata własnych dzieci. Także trzej chłopcy mieli na głowach mycki. Wszyscy byli ubrani tak samo – w krótkie szare spodnie, białe koszule z długim rękawem i krawaty w niebiesko-białe paski.

– W Afryce Południowej chyba noszą mundurki szkolne – uznała Betsy. – Opowiadała mi o tym pewna kobieta w domu starców. Jej syn wyjechał do Johannesburga.

Średni syn, który jako jedyny w rodzinie miał poważną minę, trzymał za rękę małą



dziewczynkę. Widoczna więź między bratem a siostrą sprawiła, że Betsy przypomniał się Otto, który na zdjęciach rodzinnych tak samo trzymał za rękę Victorię. Od tej chwili pamięć nie oszczędziła jej żadnego obrazu. Kalendarz z proroczym przysłowiem „Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę” pokazywał datę 19 sierpnia 1914 roku. Otto siedział przy śniadaniu, jego tornister był spakowany. Wypił dwie filiżanki kawy, ale nie tknął ani rogalika karlsbadzkiego, ani bułki z makiem, które Josepha już o siódmej rano przyniosła z piekarni na Berger Strasse. „Zjem, gdy wrócę, Josepho. Wtedy upieczesz mi ciasto śliwkowe, którego nie da się zapomnieć, a które pan całych Prus zjada całe zupełnie sam” – zapowiedział. „Co cios, to Francuz” – cieszyła się Victoria. Dziś nie ma śpiewów przy śniadaniu, Vicky.

Miała sześć lat i wypadł jej pierwszy ząb. Jej brat nie miał jeszcze osiemnastu, a marzył o Żelaznym Krzyżu. Z Dworca Wschodniego pojechał bezpośrednio na wojnę. Trzy miesiące później zginął na froncie zachodnim.

– Alice mimo czwórki dzieci – Betsy przełknęła łzy – jest nadal tak samo szczupła i piękna jak zawsze. Prawie – poprawiła się. Naciąganie prawdy w tej chwili łaski Bożej wydało jej się niewdzięcznością.

– Jest jeszcze piękniejsza – sprzeciwiła się Anna. – Nadal wygląda jak Królowna Śnieżka. Boże drogi, ależ ja ją podziwiałam.

List leżał na dnie paczki, mocno przyklejony do białego porcelanowego naczynka z serem stilton. Na jasnożółtej kopercie ręka jednego z dzieci wypisała dużymi literami: *My Darling Granny!*<sup>[48]</sup>. Każda litera była w innym kolorze, a na wykrzykniku powiewała brytyjska flaga. Łzy paliły Betsy. Wszystkie jej dzieci malowały wielkie litery – Otto, Clara, Erwin, Victoria, Alice, także Claudette. Tylko Fanny i Salo tego nie robili. Gdy nauczyli się pisać, żydowskie dzieci już nie kolorowały literek.

Na siedmiu kartkach drobno zapisanych na maszynie Alice starała się streścić dziesięć lat swojego życia. Pierwsza strona zawierała szczegółowe wyjaśnienie, dlaczego tyle czasu zabrało jej znalezienie matki.

To znowu wina Anglików – donosiła. W ciągu dwóch ostatnich lat wszystkie listy, które wysyłałam do Palestyny, tam nie dochodziły, chociaż Erwin, Clara i Claudette od czterech lat mieszkają pod tym samym adresem w Tel Awiwie. W ostatnim liście informowali, że napisali do Was natychmiast, jak tylko się dowiedzieli, że Ty, kochana Mamo, przeżyłaś. Tyle że nie mieli wtedy Twojego adresu, nie wiedzieli też, że Anna wyszła za Hansa i nosi teraz nazwisko Dietz. Na szczęście Erwin był na tyle mądry, by napisać do frankfurckiej Gminy Żydowskiej. Leon i ja w ogóle nie wpadliśmy na ten pomysł, nie sądziliśmy, że jeszcze jakaś istnieje.

Najwyraźniej poczta przetrzymuje listy rodzeństwa Sternbergów w jakimś angielskim biurze

cenzury i jakiś oficer położył na nich rękę. To zemsta za hotel King David, który przed dwoma laty został otoczony i o mały włos nie wysadzono go w powietrze. Anglicy obwiniają o to wszystkich Żydów na świecie. Zresztą byli ostrzeżeni, że będzie taki atak, ale dokąd byśmy zaszli, gdyby Brytania reagowała na żydowskie ostrzeżenia?

Widzisz, w Afryce Południowej nie kocha się Anglików. Mimo to nasi chłopcy chodzą do angielskiej szkoły. Te placówki są najlepsze w kraju, nawet jeśli dzieci uczą się w nich, że tylko Anglicy są odważni, a Burowie, Hindusi i Murzyni – głupi, zuchwali, tchórzliwi i leniwi. Nie brzmi Ci to znajomo? Leon wstydzi się, ilekroć coś takiego słyszy. Nie chcę się jednak uskarżać. Trudno jest tu znaleźć dobrą szkołę, na którą moglibyśmy sobie pozwolić. W tej kapsztadzkiej naszym synom wolno przynosić swoje koszerne jedzenie i nie zmusza się ich do udziału we wspólnych posiłkach. Nie muszą też chodzić na poranną modlitwę. Troje dzieci w wieku szkolnym to ogromny koszt. Same tylko mundurki, wyposażenie na zajęcia sportowe i prywatni nauczyciele kosztują majątek. David gra w hokeja, Aby według swojego nauczyciela muzyki będzie drugim Chopinem i chodzi na lekcje gry na pianinie (gdy sobie pomyślę, jaki skutek odniosło to w moim przypadku, włosy mi siwieją), a dla wszystkich trzech zaangażowaliśmy nauczyciela religii z Łodzi. Trzy razy w tygodniu przychodzi on do nas do domu i uczy ich poza czytaniem po hebrajsku wszystkich tych rzeczy, których uczył się Leon w swoim domu rodzinnym. Nasza mała Rachel, ubóstwiana, niestety, przez braci i jeszcze bardziej rozpieszczona niż ja w najpiękniejszym okresie swojego życia, kosztuje nas na razie głównie trochę nerwów. Jestem bardzo szczęśliwa, bo ma wspaniałą niańkę (czarną), która jest dość tania i umożliwia mi przedpołudniową pracę u jednego żydowskiego okulisty oraz spotkania, co drugą środę, z moimi dwoma przyjaciółkami (obie pochodzą z Wiednia). Wtedy przez trzy godziny czuję się tak, jakbym nie miała ani obowiązków, ani trosk.

Mój szef to prawdziwy skarb. Pochodzi z Augsburga i jest jednym z tych ludzi, którzy nie udają, że zapomnieli swej ojczystej mowy, co tu jest dość częste wśród emigrantów. Korzystam z tego i mówię z nim po niemiecku. Leon i ja próbowaliśmy sprawić, by nasze dzieci były dwujęzyczne, ale się nie udało. Ta banda rozumie tylko rozkazy wydawane po angielsku. Doktor Hausmann wprost uwielbia Aby'ego. Jego żona i syn, którego ostatni raz widział, gdy ten był w wieku Aby'ego, nie opuścili Niemiec. Przez Czerwony Krzyż doktor dowiedział się, że zginęli w Auschwitz. Teraz wszystkie żydowskie święta i szabasowe wieczory spędza z nami. Tak więc ogólnie rzecz biorąc, możemy być zadowoleni z naszego życia, przede wszystkim gdy pomyślimy sobie, co się przytrafiło innym, którzy musieli zostawić wszystko w Niemczech i wieść nędzny żywot emigrantów. Wielu starszych ludzi nawet po tylu latach nie mówi dobrze po angielsku. Nasze początki też były trudne. Leon pracował, gdzie się dało, byle tylko wyjść na prostą i wykarmić rosnącą rodzinę. Był górnikiem w kopalni złota, pracował na trzech farmach, w tartaku i dwóch warsztatach samochodowych. Przez dwa lata uczył matematyki w prywatnej szkole (nie biorą tu za bardzo pod uwagę papierów; najważniejsze, by umieć robić to, czego się wymaga). Dzisiaj jest menedżerem w najelegantszym hotelu w Kapsztadzie. Jego szef się cieszy, gdyż Leon pracuje w niedzielę. Wybacz mu po pierwsze to, że jest Żydem, a po drugie to, że potrzebuje wolnych sobót.

Ja pracowałam jako niańka w angielskich rodzinach. Większość z nich wychowywała dzieci po spartańsku. Kiedy sobie przypomnę te zasady, aż mnie skręca. W tamtych czasach Leon i ja byliśmy ciągle osobno. W pierwszej ciąży opiekowałam się dwuletnią dziewczynką, której matka nie spędzała w domu więcej niż cztery dni z rzędu. Podróżowała z dzieckiem i ze mną po całym kraju, a dla mnie te przejazdy były okropne i wymiotowałam pod co drugim mijanym drzewem. W tym czasie Leon pracował na kolei w Pretorii, a ja w każdej wolnej chwili ryczałam. Teraz to nam się naprawdę powodzi w porównaniu z tamtymi czasami.

Leon dobrze zarabia. Mieszkamy w domu z siedmioma pokojami i dwiema łazienkami (co tutaj, inaczej niż w Europie, nie jest niczym niezwykłym) i mamy samochód, odpowiednio duży, by pomieścić nas wszystkich. Ogród jest ogromny, a personel nie kosztuje nas wiele. Możemy pozwolić

sobie nawet na kucharkę, ale ja wolę gotować sama. Trudno byłoby mi wpuścić tu jakąś kobietę, na pewno miałyby mnie za wariatkę ze względu na reguły koszerności. Całymi dniami bym się zamartwiała, że zmiesza śmietaną z mięsem albo rosół ugotuje w garnku na mleko.

Nasze dzieci naprawdę się udały. Przynajmniej jak dotąd nie mogę narzekać. David ma dziewięć lat i umie już płynnie czytać po hebrajsku. Aby ma siedem i pół, jest rodzinnym filozofem i czyta wszystko, co tylko wpadnie mu w ręce. Opowiada swojej siostrze niezwykle, pełne fantazji historie. Sześciolatek Rafael, zwany Ralfim, spodobałby się Erwinowi. Całe dni potrafi spędzić z kolorowymi pisakami nad kartką papieru. Rachel, dwa i pół roku, będzie kiedyś żydowską księżniczką, a jej mąż obsypie ją diamentami. Bo Afryka Południowa to kraj diamentów. Chłopcy często nas pytają, dlaczego nie mają dziadków, podczas gdy inne dzieci mają po dwoje z każdej strony. Brakuje im także ciotek, wujów i kuzynów w ich wieku. Nie mieliśmy odwagi opowiadać im o Tobie, zanim nie nawiązaliśmy kontaktu, a na opowieść o obozach koncentracyjnych wszyscy są jeszcze za mali.

Nadal jestem z Leonem tak szczęśliwa jak w czasach, kiedy nasza miłość dopiero rozkwitała, kiedy potajemnie spotykaliśmy się i całowaliśmy na ławce w parku Grüneburg i marzyliśmy o dalekich krainach (co się nam spełniło, chociaż inaczej, niż wtedy myśleliśmy). Kobiecie, która jak ja wychowała się w liberalnej rodzinie i do synagogi chodziła tylko po to, by robić maślane oczy do młodych mężczyzn, nie jest łatwo być żoną ortodoksyjnego Żyda. Koszerne gospodarstwo domowe mi nie przeszkadza, już bardziej zakazy szabasowe i świąteczne, a najmniej godzę się z poglądem, że dzieci są błogosławieństwem dla małżonków. Nieco mniej błogosławieństwa zupełnie by mi wystarczyło. Ostatnią ciężę zniosłam z trudem. Niech Bóg da, by była naprawdę ostatnia!

Za pół roku Leon może wziąć cztery miesiące urlopu i jeśli nie będziemy znowu przy nadziei, chcemy ruszyć ze wszystkimi dziećmi do Frankfurtu. Tak, właśnie to napisałam! Leon mówi, że skoro Bóg zostawił jego dzieciom przynajmniej jedną babcię, nie powinniśmy patrzeć ani na koszty, ani na uciążliwość podróży, ani nawet na głód panujący w Niemczech. Dzięki swojej pracy może kupić korzystne cenowo bilety na statek. Ja, która nigdy nie nauczyłam się modlić, modłę się co wieczór, żeby się nie okazało, że jestem w ciąży. To tajemnica między Bogiem a mną. Mam już trzydzieści trzy lata i nie ważę się nawet myśleć, jak będzie wyglądać moje życie, jeśli Wszechmocny znów postanowi mnie pobłogosławić.

A skoro o tajemnicach. Nie mogę nie zdekspirować Erwina. Otóż mój brat zamierza w czerwcu przyjechać do Frankfurtu i niespodziewanie stanąć przed waszymi drzwiami. Ja jednak nie mogę tego wziąć na swoje sumienie, bo uważam, że tego rodzaju niespodzianki (wybacz, Mamo) są szaleństwem wobec osoby siedemdziesięciosześcioletniej. Próbowałam wybić mu ten głupi pomysł z głowy, ale on zawsze był uparty i w tej Palestynie chyba się to zaostrzyło. Napisał dość tajemniczo, że potem Claudette nie będzie mogła podróżować i Clara musiałaby z nią zostać. Dla mnie wygląda to na ciężę, ale może jestem przewrażliwiona pod tym względem. Ponieważ nie napisał nic o mężu Claudette, możliwe, że poszła w ślady matki. Tyle że dzisiaj nieślubnego dziecka nie uważa się za tak wielkie nieszczęście jak w roku 1918, choć zapewne kobietom nadal wcale nie jest łatwo. Erwin pracuje w amerykańskiej firmie (nie pisze, w jakiej konkretnie) i wydaje się, że całkiem dobrze zarabia.

Kochana Mamo, być może uznasz, że to z mojej strony samolubne, że nie piszę nic o ojcu, Vicky i małym Salu, ale nie mogę wyrazić w liście tego, co czuję, gdy o nich myślę. Brakuje mi także słów, by Ci powiedzieć, jak bardzo ciągnie mnie z Twojego powodu do kraju, który na wieczne czasy zabrał nam naszych najukochańszych i nasz dom. Mogę tylko powiedzieć, że ciągle myślę o Tobie. Nim się zobaczymy, Twoja córka Alice z Leonem, Davidem, Abym, Ralfim i Rachel wysyłają Ci uściski.

PS. Gdy do mnie napiszesz, na litość boską, nie wspominaj o tym, że wysłałam Ci biltong. To nie jest koszerne mięso i Leon zmyje mi głowę, gdy się dowie. Chciałam jednak, żebyście dostali przynajmniej trochę mięsa.

Gdy Betsy doczytała list do końca, także w całym Frankfurcie zabrakło słów. Złożyła kartki i starannie umieściła je w jasnożółtej kopercie, która pachniała lekko cytrynami z krainy czarów, gdzie ser trzyma się w porcelanowych naczyniach, a bransoletki błyszczą nocami malutkimi perełkami niczym żarówki. Zamknęła oczy i zobaczyła małego chłopca w białej koszuli, w krawacie w niebiesko-białe paski i czarnej mycce na głowie. Siedział przy stole, na którym stało pudełko z akwarelami i blaszany kubek z pędzlami wypełniony wodą. Chłopiec malował kolorowe wielkie litery – dla swojej babci, której nie zna, mieszkającej w kraju, o którym nic nie wiedział.

– Znowu płaczecie – zauważyła Sophie. – Nawet wujek Fritz. Mogę iść się pobawić?

– David, Aby, Rachel – mamrotała Betsy. – Próbuję zapamiętać imiona swoich nowych wnucząt. Leon i Alice Zuckermanowie. Przez jedno N. Nie Zucker.

– Zapomniałaś o Ralfim – powiedziała Fanny. – To najmłodszy z chłopców. Ten, który tak chętnie maluje.

– Jak okazać Bogu, że jestem szczęśliwa, bo pozwolił mi przeżyć?

– W najzwyczajniejszy sposób i od razu, moja kochana, poprzez modlitwę.

– Co zrobimy, gdy Alice i Leon przyjadą z czwórką dzieci? Albo Erwin, Clara i być może ciężarna Claudette? Bóg pewnie wtedy powie, że problemy z zakwaterowaniem nie należą do niego.

Tuż przed północą Fritz, nadal w ubraniu, zapukał do drzwi Betsy i to wcale nie tak cicho, jak by to wynikało z późnej godziny.

– Przepraszam – powiedział. – Naprawdę próbowałem się zachować jak dorosły człowiek, ale nigdy nie umiałem zatrzymać niespodzianki dla siebie. Od trzech dni ganiem z buzią zamkniętą na kłódkę, ale już nie daję rady. Do tego miałem świetną sposobność, żeby porozmawiać z tobą w drodze z Urzędu Celnego.

– Na litość boską, siadaj i nie gap się na tę ścianę. Dałam radę z czwórką nowych wnucząt i cytrynami z drzewa, to dzisiaj dam radę ze wszystkim.

– Odzyskaliśmy aleję Rothschildów – wypalił Fritz. – A mieszkanie na pierwszym piętrze znowu będzie wolne. – Jego twarz była czerwona, ale tak błyszczących oczu Betsy jeszcze u niego nie widziała.

– To niemożliwe. Wiem o tym. To, co zabrane, jest zabrane, co przepadło – przepadło. Gdy ktoś chce coś odzyskać, musi udowodnić, że to do niego należy. Zawsze tak było w tym kraju. Tak mi podpowiada rozum. A my nie zabraliśmy do Theresienstadt

dowodu, że dom przy alei Rothschildów 9 należał do Johanna Isidora Sternberga.

– Nie, Betsy, tylko że mordercy i złodzieje nie są już chronieni przez niemieckie państwo. Gdy znajdują się spadkobiercy, żydowskie majątki są im zwracane, a gdy ich nie ma, przechodzą na instytucję, która będzie należała do Żydów. Jeśli chodzi o nasz przypadek, to chytry pan Pius Ehrlich nie zadał sobie nawet trudu, by wpisać swoją własność do ksiąg wieczystych. Jemu i jego synowi, który jeszcze trzy dni temu był właścicielem domu, wystarczyło, że cała rodzina Sternbergów została deportowana i wydana na śmierć. To, że ktoś z nas przeżyje, w ogóle nie przyszło im do głowy. – Fritz oczekiwał, że będzie musiał Betsy raz jeszcze wytłumaczyć zawilosci prawne. Objął ją ramieniem jak dziecko, które potrzebuje pocieszenia. – Brunatny Theo musi oczyścić pole – wyszeptał. – To tylko kwestia tygodni. Dyrektor sądu krajowego, doktor Fritz Feuereisen, kończy właśnie to z nim załatwiać. Thea sklasyfikowano jako obciążonego w stopniu znacznym i jego kwaterunek ma pierwszeństwo w biurze meldunkowym.

– Nie dajesz mi chwili spokoju – powiedziała Betsy. – Najpierw Alice i pobożny zięć, który nie może wiedzieć, że moja córka wysyła mi mięso. Jak to się nazywa?

– Biltong.

– Potem czwórka wnucząt, o których wczoraj jeszcze nic nie wiedziałam. A teraz dom. Nasz dom. Część Johanna Isidora, część mnie. Nasze ognisko domowe. To, co pozostało nam z przeszłości. Nie, nie będzie wzruszeń. Tylko zapłaczę się na śmierć i trzeba będzie mnie wynieść. Nie wiem tylko dokąd. Zawołaj Hansa i Annę. Jeśli ktoś na to zasłużył, to właśnie ona. I przyprowadź Fanny. Ona już od dziecka wie, co to cud.

## PRZYPISY

- [1] Eufemistyczna nazwa akcji masowego mordowania Żydów, stosowana w propagandzie nazistowskiej (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
- [2] Był to pierwszy otwarty i powszechny fizyczny atak na Żydów w nazistowskich Niemczech. Do historii to wydarzenie przeszło pod nazwą nocy kryształowej.
- [3] SA (Sturmabteilung) – pierwsze bojówki Niemieckiej Partii Narodowosocjalistycznej. W latach trzydziestych po serii walk wewnątrzpartyjnych zaczęły tracić siłę i wpływy na rzecz SS. Podczas II wojny światowej oddziały SA rekrutowały mężczyzn, którzy z różnych względów nie trafili do wojska, kierując ich między innymi do działań związanych z deportacjami Żydów.
- [4] Certyfikat aryjski – dokument potwierdzający aryjskość przodków okaziciela.
- [5] Gauleiter – partyjny przywódca okręgu.
- [6] Pismo Sütterlina – uproszczone pismo kaligraficzne stworzone na początku XX wieku w Niemczech do nauki pisania. Zabronione w 1941 r. ze względu na swoją nieczytelność, mimo to używane jeszcze kilka lat po II wojnie światowej, do czasu upowszechnienia się pisma maszynowego.
- [7] *Pieśń o dzwonie* – kanoniczny dla niemieckiej literatury wiersz Friedricha Schillera.
- [8] *Only for army dogs* (ang.) – tylko dla psów wojskowych.
- [9] *Good old Ike* (ang.) – stary, dobry Ike. Ike to powszechnie używany przez podległych mu żołnierzy pseudonim generała Dwighta Eisenhowera, naczelnego dowódcy wojsk amerykańskich w Europie w czasie II wojny światowej.
- [10] *Is this Germany or Australia?* (ang.) – to Niemcy czy Australia?
- [11] *God bless America* (ang.) – niech Bóg błogosławi Amerykę.
- [12] *Property of the US Army* (ang.) – własność Armii Stanów Zjednoczonych.
- [13] *Nebich* (jid.) – zwrot, który znaczy „szkoda”, a także „nieborak”, „niedojda”. Można nim wyrazić zarówno współczucie, jak i pogardę. Używany jako wtręt wskazujący na zaskoczenie lub niechęć.
- [14] *Attention!* (ang.) – Uwaga!
- [15] *Chewing gum* (ang.) – guma do żucia.
- [16] *Fuck* (ang.) – pieprzyć.
- [17] Władze okupacyjne podzieliły ludność niemiecką na kategorie w zależności od stosunku do hitlerowskiego reżimu. Nauczyciele jako urzędnicy nazistowskiego państwa zostali włączeni do kategorii „politycznie obciążonych” i objęci zakazem nauczania.
- [18] *Baśń o słodkiej zupie* – jedna z baśni braci Grimm.
- [19] Elizabeth Bergner (1897–1986) – austriacka aktorka, z pochodzenia Żydówka z Drohobycza. Odnosiła wielkie sukcesy na berlińskich scenach, a potem w filmie. W 1934 roku została nominowana do Oscara. Po dojściu Hitlera do władzy musiała wyjechać z Niemiec, dokąd wróciła w 1954 roku po krótkiej karierze w Hollywood oraz na scenach nowojorskich.
- [20] Gerhart Hauptmann (1862–1946) – jeden z najwybitniejszych dramaturgów niemieckich, przedstawiciel nurtu naturalizmu. W 1912 roku otrzymał literacką Nagrodę Nobla.

- [21] *You fucking German fool* (ang.) – ty pieprzony głupi Niemcu.
- [22] *Bravo, jumping jack!* (ang.) – tu: Brawo, niezły z ciebie gimnastyk.
- [23] *For the Kraut. For the ugly German Kraut* (ang.) – dla kapuścianej głowy. Dla brzydkiej niemieckiej kapuścianej głowy. (*Kraut* to niemieckie słowo oznaczające kapustę, które od I wojny światowej było używane w języku angielskim jako pejoratywne określenie Niemca).
- [24] Aryzacja – proces wypierania Żydów z życia społecznego nazistowskich Niemiec. W jego ramach pozbawiano ich własności, posiad, przejmowano żydowskie firmy oraz nieruchomości.
- [25] Dzień Pokuty i Modlitwy – doroczne ewangelickie święto, w którym wierni dokonują podsumowania swoich grzechów oraz zastanawiają się nad własną wiarą.
- [26] Hans Fallada (1893–1947) – jeden z najwybitniejszych pisarzy niemieckich XX wieku.
- [27] Florian Geyer – jeden z dowódców wojskowych z okresu wojen chłopskich (XVI wiek), tytułowy bohater tragedii Gerharta Hauptmanna.
- [28] Hans Morgenthau (1904–1980) – prawnik i teoretyk stosunków międzynarodowych, pochodzenia niemiecko-żydowskiego. W okresie nazistowskim wyemigrował do Stanów Zjednoczonych.
- [29] Wilhelm Busch (1832–1908) – niemiecki satyryk, autor humorystycznych obrazków uznawany za pierwszego autora komiksów.
- [30] Rosz Haszana – żydowski Nowy Rok obchodzony we wrześniu. Rozpoczyna siedmiodniowy okres pokuty, który kończy się Jom Kippur – Świętem Pojednania.
- [31] *Meszuge* (jid.) – osoba szalona, ekscentryczna, niespełna rozumu.
- [32] Pesach – święto żydowskie upamiętniające wyjście z niewoli egipskiej, obchodzone w okolicach chrześcijańskiej Wielkanocy.
- [33] *Souvenirs from fucking Germany* (ang.) – prezenty z pieprzonych Niemiec.
- [34] PX (Post Exchange) – specjalny sklep armii amerykańskiej w zagranicznych bazach wojskowych.
- [35] Heinrich von Kleist (1777–1811) – niemiecki pisarz, poeta, uznawany za jednego z najwybitniejszych dramaturgów okresu romantyzmu.
- [36] Frankfurt nad Odrą jest, rzecz jasna, miastem niemieckim leżącym na granicy. Tylko jego wschodnia część należy do Polski i nosi nazwę Słubice.
- [37] Gottfried Keller, *Frühlingsglaube*. Cytowany fragment podano w przekładzie Katarzyny Sosnowskiej.
- [38] *Bloody bastard* (ang.) – przeklęty łajdak.
- [39] *Fucking German* (ang.) – pieprzony Niemiec.
- [40] Friderich Schiller, *Wilhelm Tell*, przeł. Jerzy Gawroński.
- [41] Filemon i Baucis – w mitologii greckiej uosobienie miłości małżeńskiej, para biednych, lecz szlachetnych ludzi, którzy ugościli Zeusa i Hermesa.
- [42] *Do ut des* (łac.) – daję, abys dawał; łacińska formuła określająca zasadę wzajemności.
- [43] Rdz 12,19 (za *Biblią Tysiąclecia*).
- [44] Erich Kästner (1899–1974) – niemiecki pisarz, krytyk teatralny i satyryk.
- [45] W dzień Świętego Marcina (11 listopada) niemieckie dzieci dostawały prezenty.
- [46] Przeł. Maria Kurecka.
- [47] Barras – miejscowość w Prowansji. Pan Kohlmann czyni tu zapewne aluzję do swojego zatrudnienia w czasie

niemieckiej okupacji Francji.

[\[48\]](#) *My Darling Granny!* (ang.) – Kochana Babciu!